

ATENEUM.

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

ZBIORU OGÓLNEGO TOM XXV.

ROK VII.

TOM I. — ZESZYT II.

Luty.

WARSZAWA.
DRUKIEM K. KOWALEWSKIEGO,
ulica Królewska, Nr. 23.

1882.

SPIS RZECZY.

Druk ukończono 31 Stycznia 1882 r.

WYBORY POZNAŃSKIE.

Korzystny dla ludności polskiéj w W. Księstwie Poznańskiém i Prusach Zachodnich rezultat wyborów, zwrócił się na siebie baczną uwagę równie dalszych stron naszego kraju, jak więcéj może jeszcze samychże władz pruskich. Fakt, że żywioł polski zostający pod naciskiem innoplemiennego, przeważającego liczbą i środkami materyalnemi pierwiastku, dziesiątkowany w dolnych swych warstwach gromadném wychodztwem do Ameryki, w wyższych wypuszczaniem ziemi z rąk swoich w obce, pozbawiony w znacznéj części przewodnictwa duchownego, prawa używania własnego języka w szkole i urzędzie,—zdołał mimo wszystkich tych sprzysiężonych przeciw sobie trudności wystawić liczniejszą, niż kiedykolwiek falangę reprezentantów swych do sejmu Rzeszy niemieckiéj,—pozostanie zastanowienia godnym. Pocieszający dla *swoich*, przykry dla *przeciwników*, wyzywa ze strony tak jednych, jak drugich zbadanie *kwestyi przyczyn* tak mało spodziewanego pojawu. Dla piewszych niechaj będzie argumentem otuchy i nadziei, dla drugich, jeźli w nich głos rzeczywistéj i zdrowéj racyi stanu zdolny wziąć górę nad głosem plemiennéj namiętności i niechęci, niechajby się stał powodem dojrzałego namysłu, czy podejmując system gwałtownéj germanizacyi w przekonaniu, że żywiołowi polskiemu pod berłem pruskiém można już zaintonować *requiescat in pace*, nie omylili się mocno, nie przedsięwzięli dzieła przedwczesnego, nie podrażnili i nie pobudzili do tém ruchliwszego życia pierwiastku, z którym się *liczyć* trzeba raczéj, aniżeli go chcieć i módz bezwzględnie zniszczyć.

W analizie przyczyn powodzenia polskiego w ostatnich wyborach do sejmu niemieckiego należy, prócz przypadków i okoliczności zewnętrznych, stawających w roli *dei ex machina* w przebiegu każdéj walki politycznéj czy wojennéj,—uwzględnić *dwa* czynniki, zewnętrz-

nego i wewnętrznego charakteru, czynnik zewnętrznéj organizacyi z jednéj, czynnik wewnętrznego naszego gruntu, jaki we wszystkich swych odłamach i warstwach stanowi nasze społeczeństwo z drugiéj strony. Pierwsza wykwita z drugiego, drugi bez pierwszéj uległby rozbiciu i anarchii, tak pierwszą, jak drugi należy poddać bliższéj lustracyi, chcąc odpowiedziéć na pytanie, jakie sami położyliśmy sobie z góry.

Przed rokiem 1848 nie miało Księstwo Poznańskie politycznéj reprezentacyi parlamentarnéj. Reprezentacya jedyna, jaką posiadało były sejmy prowincyonalne zaprowadzone prawem z dnia 27 Marca 1824, składające się z trzech stanów: rycerskiego, miejskiego i włościańskiego a mające za przedmiot swéj kompetencyi, przy głosie doradczym, pewien zakres spraw finansowych i administracyjnych prowincyi. Instytucya ta istnieje dotąd mimo konstytucyonalizmu i parlamentaryzmu wielkiéj widowni a mieszcząc w swém łonie *notablów* prowincyonalnych i posiadając prawo przedstawienia najrozmaitszych żądań i potrzeb zakresu prowincyonalnego koronie, nie miałaby powodu wskazywać się na tak zupełne polityczne zero, jakiém jest dzisiaj w stosunkach Poznańskiego. Nie zapuszczając się jednakże daléj w przedmiot, któryby nas odwodził od naszego głównego zadania, powiedzmy, że właściwa praktyka wyborcza rozpoczyna się dla społeczeństwa poznańskiego z wiosną roku 1848. Wstrząśnienie na wielkiéj widowni europejskiéj, odzywające się i na bruku stolicy pruskiéj, udzieliło się również księstwu Poznańskiemu, a co najważniejsza potrząsnęło martwotą dotychczasową i nieużywalnością narodowo-polityczną *chłopskiego gruntu* w Poznańskiém. Wiosna roku 1848 jest rodzajem *fiat lux* dla poznańskiego wieśniaka. Zagadkowy dotychczas w swém usposobieniu i w swych uczuciach, staje zbiorowo a niespodzianie w postaci nie dopuszczającéj żadnych wątpliwości. Wychodzi jednym zamachem i od jednego razu na czującego porówno z wyższemi warstwami społeczeństwa obywatela kraju; dojrzewa, jeżeli jeszcze nie umysłowo, to uczuciowo, do tyla by się pojąć nierozerwalną, nieodłączną cząstką ogółu narodowego, by iść za radą i głosem jego większych i mniejszych przedstawicieli, by odpychać insynuacye z przeciwnéj pochodzące strony, by wszelkie podawanie im ucha uważać za grzech odstępstwa od własnego sztandaru. Odtąd to można we wszystkich wyborach, do jakichbądź korporacyj politycznych, czy to do parlamentu frankfurtskiego, czy do tak zwanego zgromadzenia narodowego pruskiego w Berlinie, czy do izby deputowanych sejmu pruskiego liczyć, z rzadkiemi wyjątkami, na chłopa wielkopolskiego, jako na cyfrę dodatnią. Wiosna roku 1848 i jéj wypadki są pod tym względem nową jakoby dlań *erą*. Grunt

był więc należycie przygotowany i użyzniony; można było być pewnym, że wieśniak nie zawiedzie, że pouczony i objaśniony chętnie naukę przyjmie, że byle warstwy naczelne w dziedzinie organizacyi wyborczéj dopełniły swego obowiązku, dolne z pewnością uczynią, co do nich należy. Pierwsze chwile po wypadkach roku 1848 nie pozostawiają téż pod tym względem niczego do życzenia. Do Frankfurtu wybierano tylko *jednego* reprezentanta z poleceniem protestowania przeciw wcieleniu Księztwa Poznańskiego do związku niemieckiego. Byli nimi kolejno ksiądz Janiszewski i Karol Libelt. Przy takiéj taktyce nie potrzeba było żadnéj organizacyi i agitacyi wyborczéj, bo rzeczą naturalną, iż na wybór *jednego* reprezentanta z pomienionym mandatem starczył pierwszy lepszy zamieszkały przez przeważającą ludność polską okręg wyborczy.

W sposób sforny daléj i gładki, jeszcze pod wpływem wypadków roku 1848, odbyły się wśród zaimprowizowanéj, spontanicznie praktykującéj rzecz swą organizacyi, wybory do zgromadzenia narodowego pruskiego w Czerwcu 1848, do izby deputowanych sejmu pruskiego w Lutym 1849, do nowéj izby deputowanych tegoż sejmu, po rozwiązaniu pierwszéj, w lecie roku 1849. Wszystkie te wybory wydały rezultat względnie korzystny dla ludności polskiéj. Jakkolwiek i wtedy były już komitety wyborcze i tak zwani mężowie zaufania po powiatach, zastępowało wówczas działalność i potrzebę agitacyjnéj organizacyi ciepło wyniesione z żaru wstrząśnienia przeszłorocznego. Wtedy to wchodzą w skład reprezentacyj sejmowych Księztwa, pamiętni w dziejach jego domowych obywatele, jak Gustaw Potworowski, Maciéj Mielżyński, Wojciech Lipski, Władysław Niegolewski, Erazm Stablewski, księża Janiszewski, Bażyński, Stefanowicz, w sejmie Erfurtskim r. 1850 Tytus Działyński. Sterując ku głównemu zadaniu charakterystyki chwili obecnéj, nie możemy się wdawać w szczegóły czynności ówczesnych reprezentacyj, jakkolwiek to w swoim rodzaju, względnie do stosunków wewnętrznych krajowych, przedmiot z pewnością nie pośledniego interesu a czekający jeszcze swego historyka. Materyału dostarczyłaby mu choć w niezupełnie wyczerpującéj mierze współczesna publicystyka poznańska; *Gazeta Polska* i *Dziennik Polski*, *Goniec Polski* i *Przegląd Poznański*, pisma wychodzące w latach 1848, 49, 50, i 51; w obfitszéj protokóły posiedzeń koła sejmowego polskiego w Berlinie począwszy od roku 1849. W interesie naszego zadania powiedzmy tyle tylko, iż w kwestyi *organizacyi* wyborczéj wyrobiła się, zatwierdzona statutami sejmowego koła polskiego w Berlinie, praktyka następna: Konstytucyjnie trwa mandat deputowanych do sejmu pruskiego trzy lata. Stosownie do tego wybierało koło sejmowe polskie pod koniec swego trzechletnie-

go mandatu, bądź to kogoś z pośród swego grona, bądź kogoś z poza niego, polecając mu z przybraniem sobie innych osób publicznego zaufania zająć się wyborami. Późniéj zmieniono nieco tę praktykę. Na dniu 29 Lipca 1867 zebrali się w Poznaniu delegaci wszystkich powiatów Księstwa, zwołani przez tak zwany komitet przedwstępny, składający się z deputowanych i innych pozasejmowych osobistości i wybrali komitet centralny wyborczy. Instytucya ta trwała i funkcyonowała do roku 1870. Co na zmianę jéj wpłynęło, powiemy niżéj a tymczasem zauważmy w interesie historycznéj dokładności, że lata po roku 1850, epoka tak zwanéj reakcyi Manteufflowskiéj przedstawiają w Poznańskiém widowisko pewnego omdlenia gorliwości obywatelskiéj w sprawie wyborów sejmowych. Nie można zaprzeczyć, że nacisk ze strony władz na swobodę wyborów był wtedy większym, niż kiedybądźindziéj. Prawda również, że jeżeli kiedy, to wtedy rozkład okręgów wyborczych był tak skandalicznie sztucznym i niesprawiedliwym dla ludności polskiéj, iż kandydaci jéj gdzie niegdzie tylko i to z najwyższą trudnością przeprowadzeni być mogli. Dość powiedziéć, że kadencya sejmu pruskiego z lat 1852 do 1855 wskazuje w składzie izby deputowanych tylko sześciu reprezentantów polskich, kiedy w kilka lat późniéj było ich siedemnastu. Stosunki narodowościowe nie zmieniły się przecież, nie mogły się zmienić do tego stopnia, aby się w wyborach sejmowych uwydatniać tak niesłychanemi różnicami. Przyczyną podobnego rezultatu, w smutném owém sześcioleciu między rokiem 1852 a 58, jest bezwątpienia w bardzo znacznéj części nacisk organów rządowych i systemu rządowego. Nie mylimy się jednakże twierdząc, że równocześnie przyczyniła się do tego słabość ówczesnéj organizacyi i agitacyi wyborczéj.

Trudności takiéj organizacyi i agitacyi były większe bez wątpienia, niż są dzisiaj. Swoboda prasy zapisana w artykuły ustawy konstytucyjnéj, nie istniała faktycznie dla Polaków. Drukarzy i nakładców chcących wydawać niezależne pisma polskie straszyła perspektywa odebrania koncesyi na drodze administracyjnéj, jak to spotkało w roku 1851 księgarza Stefańskiego. Jedynym nibyto politycznym dziennikiem polskim, wychodzącym wtenczas w Poznaniu, była *Gazeta W. Księztwa Poznańskiego*, własność niemieckiego nakładcy; obok niéj *Przegląd Poznański*, wydawnictwo sześciotygodniowe. O wpływie na wybory za pośrednictwem tych pism; o tém, co się nazywa agitacyą wyborczą w pewnym politycznym kierunku, wśród takich warunków mowy być nie mogło. Na dowód ówczesnego stopnia swobody prasy w Poznańskiém, dość przytoczyć fakt, iż wydawnictwo utworów *Kaspra Miaskowskiego*, poety XVI i XVII

wieku, wskazano przez dwie instancye na karę prasową, za napisany w epoce walk reformy religijnéj *List Lutra z piekła do swoich.*

Nie inaczéj działo się z zapisaném również pomiędzy artykuły konstytucyjne prawem swobody stowarzyszeń. Nad możnością praktycznego wykonywania tegoż prawa ze strony polskiéj sterczało groźnie policyjne *noli me tangere*, przekazujące w dziedzinę śmiesznych utopij wszelką próbę korzystania z zebrań i zgromadzeń, jako środka propagandy przedwyborczéj. Abstynencya od życia parlamentarnego ówczesnych żywiołów liberalnych, *dobrowolna* do pewnego stopnia ze strony ludności *niemieckiéj*, stała się smutną, nieuniknioną prawie koniecznością ze strony ludności *polskiéj*. Zamknięto jéj prasę, zamknięto stowarzyszenia, odebrano tém samém najskuteczniejsze środki agitacyi wyborczéj.

Mimo to wszystko i mimo uznania całego ogromu trudności ciążących wówczas na ludności polskiéj nie przestajemy twierdzić, że, zwłaszcza, skoro, jak nikt tego nie zaprzeczy, *grunt* naszego społeczeństwa pozostał takim, jakim go zrobiły wypadki roku 1848, że ponieważ chłop poznański przedstawiał ten sam materyał narodowéj gotowości, ochoczości i karności, co dawniéj, przy troskliwszéj organizacyi, przy pilniejszéj i zabiegliwszéj agitacyi, można było osięgnąć lepsze rezultaty. Dowodem tego wybory z miesiąca Listopada roku 1858, odbywające się już pod liberalném, tak zwaném ministeryum *nowéj ery*. Ustał z wyraźnego rozporządzenia ówczesnego ministra spraw wewnętrznych hr. Schwerina, prawda, że na bardzo krótko tylko, wszelki nacisk i przymus ze strony władz administracyjnych; ustała nadto kompetencya władzy policyjnéj odbierania koncesyi nakładców pism opozycyjnych. Rezultatem téj ulgi było powstanie z dniem 1 Stycznia 1859 *Dziennika Poznańskiego*, był nieco wcześniéj wybór siedmnastu Polaków do izby deputowanych sejmu pruskiego. Czynność, jaką wtedy rozwinął zacny ksiądz—kanonik Stefanowicz w charakterze członka komitetu wyborczego, wynagrodziła się świetnym rezultatem; rozwinięta dawniéj, nie byłaby miała następstw mniéj skutecznych. Na ten raz złożyły się harmonijnie ku osięgnieniu pożądanego rezultatu dwa, wspomnione wyżéj czynniki, *zewnętrzny*, energicznie i umiejętnie funkcyonującéj organizacyi; *wewnętrzny*, dobréj, ochoczéj, zawsze sobie równéj, nie zawodzącéj nigdy dobréj woli ludu.

Gdyby zadaniem naszém była historya parlamentaryzmu polskiego na sejmach pruskich i niemieckich, należałaby się niepoślednia jej część, świetnéj w pomniki wymowy i zabiegłéj pracy, czynności reprezentacyi Poznańskiego w ciągu tak zwanéj „*nowéj ery*“ mię-

dzy rokiem 1858 a 1862, dalej w ciągu tak zwanéj „*ery konfliktu*“ między rokiem 1862 a 1866. Jest-to epoka słynnéj swego czasu interpelacyi dr. Władysława Niegolewskiego, mozolnych i pracowitych usiłowań Władysława Bentkowskiego około ocalenia praw urzędowego języka polskiego w W. Księztwie Poznańskiém, Augusta Cieszkowskiego około założenia uniwersytetu w Poznaniu, prac i wymownych wystąpień księży Janiszewskiego i Prusinowskiego, braci Marcellego i Adama Żółtowskich. Jakiekolwiek mogły, w owéj epoce ciągle rozwiązywanych sejmów i ciągle powtarzających się wyborów, być niedomagania i ułomności wskazanéj przez nas wyżéj utrwalonéj praktyką organizacyi wyborczéj, podtrzymywał ją nastrój czasu, podtrzymywało uczucie solidarności i uczciwy duch ludu. Hasła wychodziły od komitetu wyborczego do powiatowych mężów zaufania. Księża i obywatele ziemscy, co gorliwsi, współubiegali się z sobą o pouczanie ludu w sprawie wyborczéj, przypominali mu termin wyborów, wskazywali kandydatów, na których ma głosować, wykładali mu i tłómaczyli ważność tego, co sam w języku swéj chaty nazywał i nazywa „*głoskami*.“ Przychodziły owéj pracy w pomoc pisma ludowe, jak *Nadwiślanin* dawniéj, jak późniéj *Przyjaciel ludu* Chełmiński, przychodziła w pomoc rozrzucana tysiącami po całym kraju, niezrównana w swoim rodzaju publikacya Ignacego Danielewskiego *Nauka o wyborach.* Raz zaś jeszcze niechaj nam będzie wolno przypomnieć, że w owéj epoce luźnéj nieco, nieujętéj w żaden paragrafowy statut organizacyi, świeciło przedewszystkiém zacne duchowieństwo poznańskie zabiegłą pracą około sprawy wyborczéj. Pouczając lud po nabożeństwie, uczestnicząc w zwoływanych przez mężów zaufania zebraniach, przemawiali księża do zgromadzonych, upominali ich do wytrwania, do dopełnienia obowiązku obywatelskiego, do czynów odwagi cywilnéj, równie mało znanych, jak na uznanie zasługujących.

Mamy przedewszystkiém na myśli ludzi służebnych polskich zamieszkałych we wsiach będących w posiadaniu właścicieli niemieckich. Tutaj-to okazywała się działalność miejscowych i zamiejscowych księży,—nie ubliżając zasłudze i świeckich ochotników, bardzo skuteczną. Głos ich był zawsze prawie przez ludność wiejską skwapliwie słuchanym i dopomagał do zwycięztwa polskiego w wyborach. Nadto nie należy zapominać wpływu i powagi duchowieństwa w interesie polskim w obec Niemców-katolików W. Księztwa Poznańskiego. Prócz sporadycznie po miastach i wsiach rozrzuconych katolików niemieckich znajdują się takowi w znaczniejszéj liczbie po wsiach najbliższéj okolicy miasta Poznania pod nazwą „*Bambrów*“ (*Bamberger*, koloniści sprowadzeni w przeszłym wieku z Bawaryi)

w Jeżycach, Winiarach, Ratajach, Dębcu, Górczynie, Żegrzu. *Ta* ludność zatraca coraz bardziéj, pod względem językowym przynajmniéj, ku wielkiemu zgorszeniu germanizatorów, charakter niemiecki, uważa się za polską, głosuje zawsze bez żadnego wyjątku, za kandydatem polskim a przypomina jedynie nazwiskami tylko i oryginalnym strojem kobiet podczas uroczystych świąt, mianowicie podczas processyi Bożego Ciała na bruku poznańskim niemieckie pochodzenie. Pogranicze przecież poznańskiego od Nowéj Marchii w powiatach: Międzyrzeckim i Babimostskim, tudzież od Szlązka w powiecie Wschowskim zamieszkuje istotnie po *niemiecku* mówiąca ludność katolicka, mniéj liczna wszakże od tamtejszéj ludności katolickiéj polskiéj. W Międzyrzeckiém i Babimostskiém nie są katolicy-niemcy dość liczni, by choć nawet w połączeniu z Polakami przeważyć ludność protestancko-niemiecką. Inaczéj we Wschowskiém. Tutaj koalicya katolików niemieckich z Polakami zwycięża zawsze prawie kandydata niemieckiego. Łatwo pojąć, jak ważną w zawiązywaniu podobnego aliansu rolę odgrywają miejscowi duchowni....

W stanie rzeczy, z jakiego zdajemy sprawę, miała dopiéro nastąpić zmiana a raczéj próba zmiany za objęciem w roku 1866 rządów archidyecezyi gnieźnieńsko-poznańskiéj przez księdza arcybiskupa Ledóchowskiego. Arcybiskup wydał w Maju roku 1866 poufny okólnik do podwładnego sobie duchowieństwa, zabraniający mu udziału w agitacyi, mianowicie publicznego przemawiania do ludu w sprawie wyborów, uczestniczenia w komitetach wyborczych i przyjmowania na sejm mandatów. Duchowieństwo poznańskie nie umiało się początkowo znaléźć w téj nowo-zaleconéj sobie roli; ztąd téż wydarzały się nierzadko przypadki wyłamywania się z pod rozporządzenia arcybiskupiego; niemniéj często *monita* i nagany ze strony przełożonéj władzy duchownéj. Nie można jednakże powiedzieć, aby zakazy owe wydawane do duchowieństwa, będące przedmiotem rozdrażniającéj się coraz bardziéj polemiki między reprezentującym naówczas jedynie świecki element *Dziennikiem Poznańskim* a organem kościelnym *Tygodnikiem Katolickim*, były wywarły szkodliwy wpływ na rezultat wyborów. Duchowieństwo mniéj głośno tylko, nie usuwało przecież ręki od pracy w wyborach; społeczność sama zresztą, nie wyjmując włościan, nauczyła się przez dotychczasową praktykę wyborczą tyle, aby rozumiéć ich przymuszone milczenie, aby sobie radzić sama. Dość, że nie przedstawiają *liczebnie*, o co głównie chodzi, wybory po roku 1866 ujemniejszych dla żywiołu polskiego rezultatów od poprzednich z przed roku 1866. Tyczy się to zaś niemniéj wyborów od izby deputowanych sejmu pruskiego, jak do utworzonego wskutek wypadków roku 1866 sejmu rzeszy północno-nie-

mieckiéj. A więc raz jeszcze: pozostają czynniki wyborów poznańskich aż do epoki po wojnie austryjackiéj, aż do czasu utworzenia północno-niemieckiéj rzeszy temi samemi, co dotąd, począwszy od nastania konstytucyonalizmu i parlamentaryzmu w Prusach, z jednéj strony organizacya wyborcza, któréj genezę i mechanizm wskazaliśmy wyżéj; z drugiéj poczciwy *grunt*, pozostający sobie wskróś wszelkich przemian i wstrząsających światem europejskim wypadków do tego stopnia wiernym, iż landwerzyści poznańscy znajdujący się pod bronią przeciw Austryi, nie wahali się oddawać do protokółu głosów za „*swoim panem polskim...*"

Uświęcona ta nie żadném prawem, ani zbiorową uchwałą, ale utrwalona długoletniém wykonywaniem praktyka wyborcza byłaby się przeciągnęła i nadal, istniała może aż do chwili obecnéj, gdyby nie fakt wyborów do sejmu północno-niemieckiéj rzeszy w okręgu poznańskim, w miesiącu Czerwcu 1869. Kandydatem postawionym i ogłoszonym przez centralny komitet wyborczy Księztwa, składający się naówczas według odbytych w r. 1867 wyborów z Anastazego Radońskiego, Pilaskiego, Bogusława Łubieńskiego, dr. Świderskiego, Władysława Wierzbińskiego, był Jan hr. Działyński z Kurnika. Na niego téż padły wszystkie polskie głosy z wyjątkiem stukilkudziesięciu z pewnego kompleksu dóbr w pobliżu samegoż miasta Poznania. Nastąpił niepraktykowany dotąd w annalach parlamentaryzmu poznańskiego fakt *scyssyi*. Secessyoniści głosujący za osobnym swoim kandydatem, także Polakiem, składali się w polemice ztąd wynikłéj argumentem, iż nie znają prawa, któreby ich obowiązywało do głosowania za jakim-bądź kandydatem w brew własnemu przekonaniu. W argumencie tym, jakkolwiek niefortunnie i ku poparciu smutnego czynu zerwania solidarności użytym, była przecież słuszność *formalna*. Dotychczasowa praktyka wyborcza, komitety wyborcze wraz ze swym składem i inicyatywą, mężowie zaufania po powiatach, ich zebrania i narady, ogłaszanie listy kandydatów, wszystko to od początku do końca było rzeczą, jak już powiedziano, jedynie tylko długoletniéj praktyki i obserwacyi, ale nie rezultatem troskliwie zbadanéj i wysłuchanéj zbiorowéj woli ogółu. Ze względu na prawdopodobieństwo, iż takie scyssye, zwłaszcza przy wzmagającéj się naówczas z każdym dniem drażliwości stronnictw, ze szkodą *polskiego* rezultatu wyborów, przy pierwszéj lepszéj sposobności powtórzyć się mogą, pojawiła się podjęta przez *Dziennik Poznański* myśl ułożenia regulaminu wyborczego, któryby, będąc wypływem sumiennie i wszechstronnie wyrozumianéj woli ogólnéj, obowiązywał całą społeczność polską do posłuszeństwa, a wykraczającym przeciw niemu nie dopuszczał zasłaniać się różnicą zdań czy przekonań.

Z takich to okoliczności i prób wytworzył się, bardzo potrzebnie i bardzo na czasie, jak zobaczymy niżéj, regulamin wyborczy Księztwa, obecnie obowiązujący. Myśl poruszona w *Dzienniku Poznańskim* w drugiéj połowie roku 1869 doczekała się urzeczywistnienia w pierwszych miesiącach roku następnego....

Przypatrzmy się jéj genetycznemu przebiegowi.

W połowie Lutego roku 1870 oświadczył komitet centralny wyborczy, że składa powierzony sobie zaufaniém publiczném urząd, a że zarazem dla uniknienia wszelkich kolizyj i nieporozumień na przyszłość, przedkłada całéj publiczności Księztwa do rozwagi, przyjęcia, odrzucenia lub dowolnéj zmiany projekt, mającego na przyszłość obowiązywać wszystkich Polaków w księztwie regulaminu wyborczego. Projekt ten, rezultat długich i wyczerpujących narad kół sejmowych polskich w Berlinie, przyszedł dnia 4 Lipca 1870 r. pod obrady delegatów 27 powiatów Księztwa i miasta Poznania. Po długiéj, toczącéj się pod przewodnictwem p. Władysława Bentkowskiego jako prezesa komitetu przedwyborczego, dyskussyi, przyjęło zgromadzenie z pewnemi modyfikacyami regulamin wyborczy, do dziś dnia społeczność polską obowiązujący. Nawiasowo powiedziawszy, jest redakcya tegoż regulaminu szczytem stylistycznéj zawiłości, na jaką się niewprawne pióro zdobyć może— a niech Bóg zachowa, aby jakie bądź prawa i postanowienia nasze podobnym językiem na przyszłość posługiwać się miały. Starajmy się zawiłości regulaminu wyborczego przetłómaczyć na język jakokolwiek zrozumiały i przystępny ogólnemu pojęciu.

Inicyatywa procedury wyborczéj wychodzi kolejno od kół sejmowych polskich w Berlinie, tak od członków sejmu pruskiego, jak członków sejmu rzeszy niemieckiéj. Każde z tych kół, według alternaty poczynającéj się od sejmu pruskiego, wyznacza pod koniec swéj trzechletniéj legislatury składający się z trzech poza sejmowych osobistości *komitet przedwyborczy*, osobny dla Prus Zachodnich w Chełmie, osobny w Poznaniu dla księstwa. Po upływie legislatury sejmowéj jest obowiązkiem *komitetu przedwyborczego* zebrać się w przeciągu najdaléj dwóch tygodni, wyznaczyć następnie na każdy z dwudziestu sześciu powiatów Księztwa po jednym mężu zaufania. Obowiązkiem takiegoż męża zaufania jest, w przeciągu najdaléj czterech tygodni po odebraniu mandatu, zwołać walne zebranie wszystkich wyborców powiatowych. Zadaniem takiego zebrania jest najprzód wybór powiatowego komitetu wyborczego, składającego się z trzech do pięciu osób, daléj delegata i jego zastępcy na czas trzechletniéj legislatury tak sejmu pruskiego, jak sejmu rzeszy. Równocześnie wybiera walne zebranie powiatowe po *sześciu* kandydatów do obu-

dwóch sejmów. Rzeczą wyborczego komitetu powiatowego jest: zbieranie potrzebnych funduszów na korespondencyą, drukowanie kartek wyborczych, rozpowszechnianie pism pouczających lud w kwestyi wyborów, kontrolowanie dokładności list wyborczych, staranie się o ich uzupełnienie, jeżeli dokładnemi nie są. Na wezwanie komitetu przedwyborczego zjeżdżają się wszyscy delegaci powiatowi Prus do Chełmna, a Księztwa do Poznania i tworzą *razem* walne zebranie będące najwyższą instancyą w sprawach wyborów. Pierwszą czynnością tegoż walnego zebrania po wyborze przewodniczącego, jest wybór centralnego komitetu wyborczego prowincyonalnego, składającego się z pięciu osób. Komitet tenże obejmuje bezzwłocznie swoje urzędowanie, a *jego* przewodniczący jest samym faktem swego wyboru, równocześnie przewodniczącym *walnego zebrania.* Mandat komitetu prowincyonalnego jest trzechletni, *obowiązkiem* jego kierować wyborami, przyjmować zażalenia w sprawie wyborczéj, zbierać fundusze na pokrycie ich rozlicznych potrzeb; *prawem* jego zwoływać walne zebrania delegatów powiatowych, ile razy tego uzna potrzebę.

Najważniejszą i najbardziéj skomplikowaną zarazem jest procedura przy ustawianiu kandydatów sejmowych różnych okręgów wyborczych. Chciano tutaj pogodzić dwa przeciwne niekiedy sobie prądy, interesu ogólnego krajowego z autonomią powiatową. Uwzględniając *drugą*, dopuszczał regulamin przedstawienie sześciu z kolei kandydatów z każdego okręgu wyborczego: w uwzględnieniu *pierwszego* pozostawiał, ostateczne zamianowanie przedstawianych przez powiaty osobistości na godność kandydacką, uchwale walnego zgromadzenia delegatów. Mogło się więc zdarzać i zdarza bardzo często, że kandydat postawiony na pierwszym numerze tego i owego okręgu wyborczego, przepada w głosowaniu delegatów. W ich téż ręku pozostaje decyzya różnych spornych wypadków, repartycyi kandydatów wybranych równocześnie w kilku okręgach wyborczych, zarządzenie losowania w celu rozstrzygnienia nadarzających się wątpliwości. Słowem, stanowi walne zebranie delegatów ostateczną i najwyższą instancyą w sprawach wyborów, pozostawiając centralnemu komitetowi prowincyonalnemu dzieło sankcyi swych postanowień, *egzekutywę*, ogłaszanie i repartycyą kandydatów na różne okręgi wyborcze. Rzeczą już potém agitacyi wyborczéj powiatowéj dołożyć wszelkich starań, ku przeprowadzeniu ogłoszonego przez komitet centralny kandydata. Do szczegółów tego nie zawsze i nie wszędzie łatwego zadania należy sprawdzenie, czy wszyscy uprawnieni wyborcy znajdują się zapisani w listy wyborcze, pouczanie ludu o obowiązku jego obywatelskim, przypomnienie go obojętnym lub bojaźli-

wym, rozdanie kartek wyborczych w potrzebnéj ilości w razie tajnego głosowania do sejmu rzeszy niemieckiéj, dostawienie wyborców na miejsce w razie otwartego protokularnie odbywającego się głosowania do izby deputowanych sejmu pruskiego, skomunikowanie się wreszcie z ludem polskim po dobrach znajdujących się w ręku niemieckim. Otóż to w najogólniejszych swych zewnętrznych kształtach organizacya wyborcza, jaka ludność polską obowiązuje aż do dnia dzisiejszego.

Nie tu miejsce wdawać się w jéj krytykę, do której by może wspomniany wyżéj regulamin dostarczył niejednokrotnie materyału. Nie ma wątpliwości, że praktyka wykazała wiele jego słabych stron, że przy dojrzałym namyśle dałoby się stworzyć dzieło o wiele doskonalsze i poprawniejsze. Cokolwiekbądź, nie można jednak zaprzeczyć, że postawienie jakiegobądź już regulaminu, uchwalonego i przyjętego przez całą polską społeczność Poznańskiego, było nietylko godnym uznania postępem, a co najważniejsza, niedopuściło scysyi i anarchii, któraby w razie przedłużenia dotychczasowego stanu rzeczy, była prawdopodobnie mogła zerwać tyle zaszczytną dla ziemi poznańskiéj dotąd solidarność narodową w wyborach. Najlepszym naszego twierdzenia dowodem pozostaną odbywające się w miesiącu Lutym roku 1871 wybory do sejmu rzeszy. Cała przygotowawcza czynność sprawy wyborczéj odbyła się *już* pod węzłem nowego regulaminu. Komitet centralny wyborczy składający się naówczas z Leona Smitkowskiego, Władysława Wierzbińskiego, Anastazego Radońskiego, Leona Skórzewskiego, Tadeusza Chłapowskiego, postawił w odezwie z dnia 13 Lutego 1871 listę kandydatów na cały obszar Księztwa, upominając do zgody i solidarności w celu uniknienia niebezpiecznéj dla rezultatu wyborów scyssyi. Wobec téj odezwy komitetu wyborczego pojawiło się zainicyowane przez organ kościelny w Poznańskiém, *Tygodnik Katolicki*, poparte listem księdza arcybiskupa Ledóchowskiego do p. Kajetana Morawskiego w powiecie Kościańskim, żądanie pewnéj części duchowieństwa i osób świeckich hołdujących temuż samemu kierunkowi, aby kandydaci sejmowi zobowiązywali się poprzednio piśmiennie do głosowania: 1) za władzą świecką papieża, 2) przeciw ślubom cywilnym, 3) przeciw szkołom bezwyznaniowym, 4) przeciw ograniczeniu swobody stowarzyszeń zakonnych. Inicyatorowie zwolennicy tych tak zwanych *czterech punktów kościańskich* oświadczali zarazem, że nie będą dawali głosów za kandydatem, któryby deklaracyi powyższéj treści nie podpisał. Pretensya podobna, niepraktykowana dotąd w wyborach poznańskich, pominąwszy, że zagrażała i że wywołała istotnie w okręgu szamotulsko-międzychodzkim scyssyą, któréj rezulta-

tem stało się zwycięztwo kandydata niemieckiego, była nadto w interesie sprawy, którą podejmowała, co najmniéj zbyteczną. Kwestya władzy świeckiéj papieża nie mogła, nie zapowiadała stać się przedmiotem parlamentarnéj dyskusyi, a tém mniéj decyzyi jakiegobądź sejmu niemieckiego. Co się zaś tyczy trzech innych punktów, można było bez piśmiennych rewersów być pewnym, że żaden, choćby z najnarydakalniéj usposobionych deputatów polskich, w sensie im przeciwnym ani przemawiać, ani głosować nie będzie, co téż doświadczenie późniejsze jak najdowodniéj stwierdziło. Cokolwiek bądź, groziło przecież podobne wystąpienie scyssyą i anarchią, która by się była mogła skończyć bardzo smutnym dla wyborów polskich rezultatem. Że się klęska ograniczyła na jeden tylko okręg szamotulsko-międzychodzki, że nie przybrała szerszych i groźniejszych rozmiarów, należy przypisać istnieniu regulaminu wyborczego, do którego zachowania i przestrzegania ostatecznie cały ogół polski zobowiązanym się poczuł. Jest-to jeden z najcharakterystyczniejszych przypadków, a któż ręczy, że w przyszłości nie nadarzą się podobne, w którychby się stwierdziła konieczność i użyteczność regulaminu wyborczego.

Po roku 1871 nie wskazują dzieje wyborów poznańskich wypadku podobnego rozdwojenia. Były i objawiały się w sposób często bardzo namiętny i burzliwy agitacye tak w łamach publicystyki, jak na zebraniach przedwyborczych w Poznaniu, Kościanie, we Wrześni, w latach 1873 i 1876, gdzie zwolennicy kierunków dzielących społeczeństwo polskie w Poznańskiém na obóz narodowy i obóz klerykalny, spotykali się w drażliwych i namiętnych zatargach i sporach. Byłoby rzeczą ciekawą, choć nie mogącą być przedmiotem *obecnego* właśnie zadania, skreślić w najcharakterystyczniejszych rysach fizyonomią obustronnéj agitacyi przedwyborczéj w obozie polskim Poznańskiego, usiłowania jednéj i drugiéj strony zyskania sobie podstawy w *massach* ludowych, środki i sposoby jakiemi stronnictwo klerykalne dążyło do tego celu w prasie i na zgromadzeniach przedwyborczych. Mimo tych wszystkich burz przedwstępnych, nie przychodziło już przecież *po* roku 1871 w samym akcie wyborczym nigdy do scyssyi między różnemi stronnictwami obozu polskiego w Poznańskiém. Wrzący namiętną często, drażliwą, pełną osobistych zaczepek i wycieczek, nie zawsze nawet godnie i szlachetnie podtrzymywaną walką obóz *przed* aktem wyborów, przedstawiał w ich terminie, czy to rzucając zwijane kartki do urny w wyborach do sejmu rzeszy niemieckiéj, czy oddając głosy do protokółu w wyborach do izby deputowanych sejmu pruskiego, — obraz najprzykładniejszéj zgody i jednolitości. Długoletnia praktyka wyborcza stała się pod tym

względem najwyborniejszą, polityczno-parlamentarną dla ludności polskiéj szkołą; uczucie narodowéj solidarności górowało w obec niebezpieczeństwa zagrażającego ze strony przeciwnéj nad wszelkiemi innemi różnicami; regulamin jako ostateczny wyraz organizacyi wyborczéj zrósł się ze świadomością ludności, przeszedł jéj *in succum et sanguinem*.

Tyle w kwestyi *organizacyi* wyborczéj w Poznańskiém, jako *zewnętrznego* czynności wyborczéj kształtu i czynnika. Naturalnie zależy mniejsza lub większa doskonałość jéj funkcyonowania od osobistości, którym kierownictwo tych i owych szczegółów jéj mechanizmu powierzone. Zdarzać się tedy może i czytamy co chwila w doniesieniach i korespondencyach z prowincyi do pism poznańskich, że w okręgu tym a owym, mąż zaufania powiatowy zaniedbał sprawdzić zawczasu listę wyborczą; że okręg taki a owaki nie dostał w stanowczéj chwili potrzebnéj liczby wyborczych kartek; że zamieszkała przez ludność polską wieś takiego a owakiego właściciela niemieckiego nie została pouczoną, jakby należało, o swych obowiązkach wyborczych. Właśnie jednakże takie skargi, takie żale, takie doniesienia dowodzą najlepiéj, że oko ogółu na czynności organizacyi wyborczéj jest otwarte, że działalność jéj podlega bardzo czujnéj kontroli, że wreszcie summa ogólna i ostateczna jéj pracy nie jest bezskuteczną i bezowocną, jak tego dowodzi choćby tylko rezultat ostatnich wyborów. Dla dokładności poświęconego *organizacyi* wyborczéj ustępu niniejszéj rozprawy, powiedzmy, że w skład obecnego komitetu centralnego wchodzą: ksiądz prałat Likowski, Władysław Wierzbiński, Mieczysław hr. Kwilecki, ks. Kantecki, Stanisław hr. Żółtowski.

Przechodząc od przedmiotu *organizacyi* wyborczéj do *wewnętrznego* wyborów poznańskich czynnika, do widowni, która jest przedmiotem jéj działalności, — powiedzmy przedewszystkiém, że się na niéj odbiło nader charakterystycznie wrażenie tego, co się w Niemczech i Prusach nazywa *walką kultury*. Z tego co powiedziano wyżéj, wiadomo, jak dalece przed rozpoczęciem owéj walki było usilném staranie naczelnéj władzy kościelnéj w Poznańskiém powstrzymać duchowieństwo od zstępowania na arenę parlamentarno-politycznéj walki, od udziału w jakiéj bądź agitacyi wyborczéj, od uczestniczenia w komitetach wyborczych, od przyjmowania mandatów deputackich. System ten nakładający z góry duchowieństwu obowiązek abstynencyi kruszył się, łamał i wolniał w praktyce, zamienił się co więcéj w taktykę wręcz przeciwną, odkąd książę-kanclerz niemiecki rozpoczął swą walkę z kościołem katolickim. Odtąd to widzimy duchowieństwo poznańskie, jak tego choćby tylko powyższy

skład centralnego komitetu dowodzi, pomiędzy przodownikami organizacyi i prac wyborczych; widzimy jego reprezentantów w gronie deputacyj sejmowych. Nie dość na tém, należy też nie czemu innemu, jeżeli nie *walce kultury* przypisać obecne zawieszenie broni, obecną ciszę na widowni dawnéj walki, jaką stronnictwa obozu polskiego z sobą *przed* rozpoczęciem i w pierwszych chwilach *po* rozpoczęciu walki kultury toczyły. Mogą trwać i trwają niezaprzeczenie, jak w każdém myślącém i rozumującém społeczeństwie, różnice zasad i przekonań pośród ludności polskiéj w Poznańskiém. Był materyał do walki, gdy żywioł narodowéj zachowawczości rozumiał, że znajduje do niéj powód w nieobliczającém się z jego prawami postępowaniem władzy kościelnéj. *Walka kultury* zmieniła jednakże gruntownie to położenie rzeczy. System obejmujący *wspólnym* rygorem kościół i narodowość, zarządzający równocześnie środki surowości przeciw pierwszemu, kiedy drugiéj odbierał uroczyście poręczone prawo posługiwania się własnym językiem w szkole, urzędzie, nawet w reprezentacyi gminnéj, nie mógł nie pogodzić obu stron, których waśń nie była tyle zasadnicza, ile wywołana okolicznościową polityką naczelnictwa kościelnego. Wspólne niebezpieczeństwo stworzyło tutaj bardzo naturalnie przymierze, walka ucichła i umilkła. Przymierze podobne oddziaływa niezaprzeczenie na sprawę wyborów i przyczynia się niewątpliwie do ich korzystnego pod względem narodowym rezultatu. Jeżeli niema w Poznańskiém pośród ludności polskiéj dość daleko posunionego w wyobrażeniach swych radykalisty, któryby w sejmach pruskich czy niemieckich głosował za utrzymaniem praw majowych, nie ma również dość gorliwego katolika, któryby z jakichbądź powodów i pobudek chciał czynić poświęcenie z interessu narodowego, z praw np. języka polskiego w tychże samych sejmach. Wśród takich zobopólnych usposobień mogą być ciche rywalizacye, choćby nawet ostrożnie objawiające się małe intrygi, ale drobiazgi podobne nie wpływają na ogólny rezultat wyborów. Przeciwnie, odkąd księżom wolno występować, jak się to dzieje od czasu walki kultury, z otwartą przyłbicą, zyskała w nich sprawa wyborcza uznania godnych pomocników, a jeźli rezultat wyborów wypada korzystnie, należy im się pod tym względem niepoślednia część zasługi.

Analizując, jak to zapowiedzieliśmy na wstępie niniejszéj rozprawy, przyczyny zwycięztwa polskiego w Poznańskiém, zbłądzilibyśmy, nie wskazując obok działalności organizacyi, obok zabiegłéj pracy posiłkującego ją duchowieństwa, jako głównych czynników: dobréj woli, odwagi cywilnéj, świadomości narodowéj, oświaty wreszcie i wykształcenia politycznego wielkiéj masy ludu wiejskiego w Po-

znańskiém. Łatwo pojąć, że czynność najdoskonalszéj organizacyi, że najzabieglejsza propaganda przedwyborcza inteligencyi świeckiéj i duchownéj okazałyby się bezskuteczną, gdyby nie napotykała gruntu łaknącego i przyjmującego chętnie sianego jéj rękami ziarna. Powiedzieliśmy już wyżéj, że grunt ten poruszyły z uśpienia i martwoty, że go użyźniły wypadki roku 1848. Jak zwyczajnéj glebie rolnéj, tak i gruntowi żywego społeczeństwa ludzkiego trzeba przecież ożywczéj rosy czy deszczu, któryby mu zasychać i jałowieć nie pozwolił. Zadanie takiéj działalności podsycającéj, utrzymującéj w ludzie polskim świeżość i świadomość życia narodowego, wzięła na siebie nasamprzód, począwszy od pamiętnego roku 1848 miejscowa prasa ludowa. Dla Prus Zachodnich położyły w tym względzie główną zasługę wychodzący w Chełmie *Nadwiślanin* i *Przyjaciel Ludu*. Wyżéj wspomnieliśmy już o niezrównanéj *Nauce o wyborach* Ignacego Danielewskiego, o któréj możnaby nieledwie powtórzyć słowa Ludwika XVIII wyrzeczone do Chateaubrianda: *Votre brochure m'avalu une armée.*

W Poznańskiém oddały równe pod tym względem, jeżeli nie większe usługi dwa, kolejno po sobie redagowane czasopisma ludowe utalentowanego kaznodziei i publicysty, przedwcześnie zgasłego księdza Prusinowskiego, *Wielkopolanin* i *Wiarus*. Oba pisma przestały wychodzić dobrze jeszcze przed rokiem 1860; odtąd posiłkował się lud poznański *Przyjacielem Ludu* chełmińskim, którego dla mniéj zamożnych wieśniaków co gorliwsi obywatele i księża w kilkunastu a czasem w kilkudziesięciu egzemplarzach zapisywali.

Późniéj, od roku 1872 zaczął w Poznaniu, dla ludu miejskiego i klas rzemieślniczych głównie, wychodzić *Orędownik*, późniéj, o wiele późniéj, jeszcze *Goniec Wielkopolski* przystępny przedewszystkiém taniością abonamentu i popularnością języka sferom ludowym. Do tych pism należy jeszcze dodać wydawnictwa treści religijno-literackiéj, jak *Oświatę* i *Niedzielę*, przeznaczone również dla sfer ludowych. Pisma te nie mają bez wątpienia równéj wartości i równéj dla sprawy ludowéj zasługi. Tak np. jeżeli *Goniec Wielkopolski*, pominąwszy słabość jego przedłużania rozpoczętych polemik do nieskończoności, podaje *zasadniczo* ludowi treść zdrową i dodatniéj natury, pojawiają się w *Orędowniku* aż nazbyt często nieostrożne próby wzbudzania waśni między różnemi warstwami społeczeństwa, rozmaite słowa i zdania, któreby lud mniéj dobry i uczciwy od polskiego w Poznańskiém obałamucić i na błędne tory poprowadzić mogły. Mimo to wywierają wszystkie te pisma, nie wyjmując nawet *Orędownika*, wpływ w ostatecznym rezultacie skuteczny na rozszerzenie ho-

ryzontu wiedzy i oświaty sfer ludowych. Każde z tych pism wytwarza koło czytelników; zdrowy instynkt ludu odróżnia w tém, co mu podaje, ziarno od plewy, przyjmuje i słucha, co znajdzie w nich dobrego, odrzuca złe, nie daje się niem psuć i bałamucić, a suma téj propagandy niosącéj światło do najuboższéj chaty, pod najciemniejsze poddasze, składa się w zastosowaniu do czynności wyborczéj, na sforne i sumienne dopełnienie obowiązku obywatelskiego ze strony choćby najskromniejszego ich mieszkańca.

Po za ową propagandą prasową nie należy przecież zapominać *innych* środków kształcenia i pouczania ludu, dróg i sposobów, za pomocą których zakwitla pośród niego narodowa świadomość i narodowa *oświata*, najnaturalniejsza gleba wszelkiéj narodowéj *roboty*. Do rzędu takich dróg i środków zaliczmy nasamprzód owe odbywające się od lat kilku w samém mieście Poznaniu i w różnych innych miejscach Poznańskiego tak zwane *wiece* czyli zgromadzenia ludowe w najrozmaitszych celach. Takie *wiece*, roztrząsające różne na czasie będące przedmioty z dziedziny potrzeb narodowych lub kościelnych, ściągają regularnie mnóstwo słuchaczy, nie wyjmując włościan, wywołują dyskusyą, w któréj i oni uczestniczą, kończą się petycyami tłumnie podpisywanemi a żądającemi bądź to np. uwzględnienia praw języka polskiego, bądź zniesienia praw majowych. Wolne zebrania przedwyborcze i toczące się na nich rozpawy, publiczne zdawanie sprawy z czynności sejmowéj ze strony tych i owych deputatów, sama wreszcie powtarzająca się od lat tylu praktyka wyborcza, kształci politycznie poznańskie sfery ludowe, rozbudza ich świadomość narodową, uczy ich coraz bardziéj stąpać samodzielnie, wychowuje poza dziesiątkowaną, przetrzebioną, znikającą naczelną warstwą społeczności, podstawniejszy zastęp mas ludowych, którym tylko dobrobytu materyalnego trzeba, aby zająć godnie miejsce wyniszczonego i osłabionego szeregu pierwszego.

Idąc daléj w lustracyi środków kształcących i pouczających poznański lud, źle i niewdzięcznie byłoby zapominać o dobroczynnéj, skutecznéj, od kilku lat zaledwie istniejącéj a już w błogie następstwa obfitéj instytucyi *Kółek włościańskich*, których gęsta sieć pokrywa cały obszar W. Księztwa Poznańskiego a których twórcą i duszą jest zacny ich patron Maksymilian Jackowski z Pomarzanowic. Kółka takie potworzone po parafiach, składające się z reprezentacyj co kilku wsi, zbierają się w święta czy niedziele wśród udziału i przodownictwa okolicznych obywateli na narady nad przedmiotami potrzeby gospodarskiéj. Przy téj sposobności przeczyta im się gazetę, pożyczy książek; pouczy i objaśni w różnych bieżących kwestyach.

Dyskusya zawiązana w przedmiotach z dziedziny rolnictwa kształci włościanina, uczy go myśléć, mówić i radzić o sobie; w ostatecznym rezultacie obraca się cała działalność, wszelki wpływ owych *Kółek włościańskich* na rozpowszechnienie *oświaty*, na rozbudzenie samowiedzy pomiędzy włościanami Poznańskiego. Jakże świetny, jakże przekonywający i pocieszający tego dowód mieliśmy niedawno temu w walném zebraniu kółek włościańskich w Poznaniu. Zgromadzenie złożone z samych prawie włościan odznaczało się zewnętrznym ładem i przyzwoitością, dyskusya szła porządnie i do rzeczy, niekiedy wśród pojawów nieurobionéj może jeszcze stylowo, przyrodzonéj wymowy. Widzieliśmy, co ważniejsza, protokóły z posiedzenia spisywane ręką, natchnione myślą włościan, świadczące o zrozumieniu rzeczy a nawet do pewnego stopnia i o wprawie pióra. Wieczorem zgromadzili się włościanie, członkowie walnego zebrania w teatrze polskim, gdzie ich niemniéj ze strony publiczności, jak ze strony artystów spotkało najserdeczniejsze przyjęcie. Nie mamy potrzeby dowodzić, że ludzie żyjący takiém życiem, ogrzani takiém ciepłem rodzinnéj oświaty, przyjmujący sympatycznie i chętnie jéj promienie, poczynają już być samodzielnymi kraju obywatelami, że przestają być owym ciemnym i bezmyślnym tłumem, któremuby pierwszy lepszy żandarm lub podoficer mógł wmówić, że mu ktoś inny dał wolność i ziemię, którą mu szlachcic i ksiądz chcą wydrzéć, a że mu dla tego w wyborach nie należy głosować za kandydatem Polakiem, lecz za „panem landratem“ lub kogo mu pan landrat przez komisarza lub żandarma wskaże. Z tego, cośmy powiedzieli dotąd, wynika naturalną koleją rzeczy, że polska agitacya wyborcza znajduje pośród masy ludności wiejskiéj grunt należycie przygotowany, że chłopi sami uważają za odstępców z pośród siebie tych, co głosują w wyborach przeciw kandydatowi polskiemu; że ci, co do tego zmuszeni stosunkiem zależności od panów niemieckich, wstrzymują się od głosowania lub uważają się za ofiary pogwałcenia sumień; że nie rzadko wydarzają się między nimi przykłady odwagi cywilnéj poświęcającéj byt materyalny obowiązkowi narodowemu; że niekiedy chorzy z pośród nich każą się wnosić do lokalów wyborczych, by głos swój oddawać; że sami często domagają się o kartki wyborcze by je módz zanosić sąsiadom i kumom do wsi „*z pod pana niemieckiego.*“

Otóż drugi, *wewnętrzny* czynnik działalności wyborczéj w W. Księztwie Poznańskiem. *Organizacya* jako czynnik *zewnętrzny*, jako wynik usposobienia ogólnego kraju, spełnia wprawdzie swój obowiązek i spełnia go sumiennie; nie mogłaby jednakże naturalnie nic zdziałać, gdyby się nie spotykała z podobnym gruntem. Posiadając taką glebę, nie potrzebuje jéj uprawiać; dość ziarno rzucić, by zeszło

pożądanym plonem. Gdybyśmy zagadnieni o wskazanie przyczyn polskiego zwycięztwa wyborczego w Poznańskiém, chcieli krótko a prawdziwie wskazać główną, odpowiedzielibyśmy: *Oświata ludu*. Bez niéj, bez jego samowiedzy narodowéj, nie możnaby wobec przerzedzającéj się coraz więcéj inteligencyi myśléć o zwycięztwie wyborczem. Pierwszy lepszy żandarm rozwożący kartki wyborcze, pierwsza lepsza obietnica zamieszczona w jakim *Dzienniku powiatowym* lub poznańskiéj *Landwehrzeitung*, mieliby racyą przeciw kandydatom komitetu polskiego a koło sejmowe polskie należałoby za dni naszych do bajecznéj historyi polskiéj. Prawda nakazująca uwzględniać *całość* pewnego wypadku we wszystkich jego szczegółach, nakazuje przyznać, że pomocniczemi okolicznościami do zwycięztwa wyborczego polskiego w Poznańskiém było na ten raz: rozstrzelenie się i rozbicie stronnictw niemieckich, było daléj rozdrażnienie Żydów przeciw Niemcom z powodu podnoszącéj coraz groźniéj głowę antysemickiéj agitacyi. Główną przecież podstawną zasługę tego zwycięztwa ma, cokolwiekbądź kwaśny czy zgorzkniały pessymizm przeciw temu powie, narodowa gotowość i świadoma siebie spontaniczność poznańskiego ludu wiejskiego. Zdobyło go sprawie narodowéj *fiat lux* roku 1848, utrwaliła dla niéj następnie tę zdobycz *oświata narodowa*. Jaką drogą, jakiemi środkami i sposobami, staraliśmy się wskazać pokrótce w ciągu niniejszéj pogadanki. Patrząc na W. Księztwo Poznańskie, licząc jego klęski ponoszone w dziedzinie wielkiéj posiadłości ziemskiéj, lustrując te i owe poronione jego różne przedsięwzięcia, nie zapominajmy, oceniając jego wartość układając końcowy bilans jego strat i zysków w ogólnéj sumie moralnego i materyalnego mienia narodowego, położyć przycisku na usposobienie ludu poznańskiego, jako na cyfrę bardzo poważnie dodatniego znaczenia. Jak w żadnym może zakątku kraju naszego, kiełkuje tutaj z poza wierzchniéj, poszczerbionéj i uszczuplonéj liczebnie warstwy naczelnéj, nowe społeczeństwo polskie, jako rękojmia i zadatek przyszłości. Zwycięztwo w ostatnich wyborach, problematycznéj skuteczności i wartości w obec niechęci i przewagi germańskiéj w sejmie, ma większą i donioślejszą pod *tym* względem może zasługę, iż oczywistość i świadomość téj bardzo ważnéj dla naszego życia narodowego prawdy, na niewątpliwy dla nikogo jaw wyprowadziło.

J. P.

KRÓL BOLESŁAW ŚMIAŁY.

DRAMAT W V-ciu AKTACH.

(*Dokończenie*).

AKT III.

Sala na zamku jak w akcie I.

Scena 1.

NIEMIRA I DOMARAD (wchodzą żywo rozmawiając).

NIEMIRA. Więc cóż, to prawda?....

DOMARAD. Stało się niestety!

NIEMIRA. Biskup go wyklął....

DOMARAD. W kościele na Skałce
Rzucił nań klątwę.

NIEMIRA. Straszne to zdarzenie!

DOMARAD. Straszne zaprawdę! I nikt nie przewidzi,
Jakie pociągnie za sobą następstwa.

NIEMIRA. Odpowiedzialność wielka na biskupa
Za ten czyn spada.

DOMARAD. Uczynił, co musiał;
Niewzrószonémi są prawa kościoła.
A co leżało tylko w jego mocy,
To wszystko zrobił, aby dać królowi
Czas do namysłu, rozwagi, poprawy.
Przez tydzień czekał ze spełnieniem groźby,
Odwlekał klątwę, snać pragnąc gorąco,
By ją królewski rozsądek powstrzymał.
A gdziś, gdy spełnił smutną swą powinność,
Zrobił to w sposób jak najłagodniejszy.

NIEMIRA. Jak to rozumiész?
DOMARAD. Bo rzucił na króla
Nie klątwę wielką, lecz tak zwaną mniejszą.
NIEMIRA. Jakaż różnica jest pomiędzy niemi?
DOMARAD. Ta, że gdy kogo dotknie klątwa mniejsza,
Temu nie wolno dawać sakramentów,
I do kościoła wstęp mu jest wzbroniony,
Ale na niego nie spada przekleństwo,
Co *anathema* zwie się w ich języku,
A co się równa prawie potępieniu.
Zwyczajnym ludziom, prostym śmiertelnikom
Z pod takiéj klątwy łatwo się uwolnić;
Przez obietnicę poprawy, przez skruchę
Mogą znów wrócić na łono kościoła.
Lecz król, czy zechce ich w tém naśladować,
Czy jego duma na to mu pozwoli?
NIEMIRA. Boże się zmiłuj nad nami! bo kiedy
Wielcy się kłócą, mali zwykle cierpią.
DOMARAD. Gdzież król? czy nie wiesz, gdzie jest, co porabia?
Jakim umysłem przyjął tę wiadomość?
NIEMIRA. Słyszałem tylko, że natychmiast wysłał
Zbyluta razem z kilkoma drużyny;
Ale gdzie, po co? nic mi nie wiadomo.
DOMARAD. Patrzaj, królowa, nasza pani idzie.
Biédna kobiéta! w jéj to piersi naprzód
Z podwójną mocą wszystkie ciosy godzą.

Scena 2.

Ciż sami; wchodzi królowa z małym synem, późniéj Krystyna.

KRÓLOWA (*wchodząc*).
Pójdź, moje dziécię, najdroższy mój synu!
Postawię ciebie jak anioła Stróża
Przy boku ojca, niech twoja niewinność
Od wszelakiego chroni go nieszczęścia,
Odgania odeń złą myśl i podszepty
Czarnego ducha! — o biedne ty dziecię!
(*do obecnych*)
Nie ma tu króla? czy kto go nie widział?
DOMARAD. Nie wiémy, pani, gdzie jest.
KRÓLOWA. O nieszczęsna,
Czegóż dożyłam, jak ciężko nademną
Zawisła ręka zgniewanego Boga!

O idźcie, proszę, szukajcie go wszędzie,
Niech mu ze łzami rzucę się do kolan,
Niech burzę, która wre pod jego piersią,
Złagodzę prośbą, pokorném błaganiem,
Lub jéj pioruny ściągnę na mą głowę,
I tym sposobem wrócę mu pogodę
I spokój duszy! Idźcie, śpieszcie proszę!
(*Dworzanie spuszczają głowy*)
Czemuż stoicie?... Wy go się lękacie,
W skuteczność moich nie wierzycie błagań,
Bo srogość jego zanadto wam znana.
O Boże, odwróć Ty od nas nieszczęście,
Dodaj mi mocy, uzbrój mię w nadzieję!

(Wchodzi KRYSTYNA, włosy rozpuszczone, ręce załamane; spostrzegłszy królowę, zatrzymuje się nagle i chwilę na nią patrzy).

KRYSTYNA. To ona — nie śmiem do niéj się przybliżyć,
I ona także cierpi przez mą winę —
O jak to straszne!... przekleństwo méj głowie!...
Ha, król!

Scena 3.

Ciż sami (wchodzi) Król, za nim Zbylut.

KRÓL. Więc Biskup?...
ZBYLUT. Wzgardził twym rozkazem,
Rzekł, że nie przyjdzie.
KRÓL. Tak!... wręcz tak powiedział!
ZBYLUT. Z dumną postawą słuchał twojéj woli,
Potém oświadczył, że z tego co zrobił
Nie ma potrzeby tobie się tłómaczyć.
KRÓL. O, pożałuje tego! — Masz gotowych
Ludzi pod ręką?
ZBYLUT. Są wszyscy w przedsionku,
Ci którzy ze mną u biskupa byli.
KRÓL. Gdzie on jest teraz?
ZBYLUT. Pozostał w kościele.
KRÓL. Pójdziecie ze mną. Nie chciał dobrowolnie.
Przede mną stanąć, więc go tu przywlokę
Za włosy, jeśli będzie się opierał,
A swoję klątwę on odwołać musi —
Musi, jak prawda to że królem jestem!
Jeśli nie dosyć mu na moich słowach,
To głód, więzienie przemówią dobitniéj

Do przekonania temu zuchwalcowi;
Choćby miał umrzéć, z rąk go mych nie puszczę,
Póki zniewagi mojéj nie nagrodzi,
Póki mi do nóg z pokorą nie padnie!

ZBYLUT. Buntownik, zdrajca godzien srogiéj kary,
W proch trzeba zmiażdżyć jego wielką pychę,
Inaczéj cienia z twojéj królewskości
Nie pozostanie, a najlichszy chłop twój
Pogardzać będzie panem bez powagi
I bez godności.

KRÓL. Pójdź, chodźmy po niego!

(Gdy się odwraca by odejść, z jednéj strony królowa z synem, z drugiéj Krystyna, klękają przed nim).

KRÓLOWA. Litości królu nade mną i synem!

KRYSTYNA. Litości królu nade mną nieszczęsną!

KRÓL. Co to jest?... czego wy kobiety chcecie?...

KRÓLOWA. Gniew swój ułagódź, powstrzymaj się chwilę,
Może Bóg dobry spokój ci przywróci!
Co chcesz uczynić?... O, nie chodź tam królu,
Świątyni pańskiéj nie znieważaj gwałtem,
I nie bądź katem dla bożego sługi!
Takiego grzechu Pan Bóg nie przebaczy,
Mścić się zań będzie nietylko nad tobą,
Lecz i nad twojém niewinném dziecięciem!....
O synu, ujmij ojca za kolana,
Błagaj, niech litość ma nad twą młodością,
Niech na nią Boga piorunów nie ściąga!

KRYSTYNA. Litości, królu — litości — litości!
Tchu mi brakuje — słów nie mogę znaleźć —
Zmiłuj się, panie!.. o, nie gub nas wszystkich!

KRÓL. Niewieście płacze i niewieście strachy!
Teraz nie pora na to!... Dajcie pokój,
Puśćcie mnie!

KRYSTYNA. Królu, nie pójdziesz!...

KRÓLOWA. Na Boga,
Ja cię nie puszczę! (*chwyta go za nogi*)

KRÓL. (*odrywając jéj ręce od siebie*) Precz, precz, precz ode mnie —
Ja go tu muszę mieć! (*uwolniwszy się od kobiet*)
Za mną Zbylucie!

(wychodzą, słychać za sceną głos króla)

Za mną drużyna, za mną!

Scena 4.

Królowa, Krystyna, Niemira, Domarad.

KRÓLOWA. Poszedł, poszedł! (*powstaje*)
Wszystko napróżno! — ni rozum ni litość
Do jego duszy nie mają przystępu,

(Do dworzan)

Idźcie za królem, patrzcie co się dzieje,
I powracajcie prędko z wiadomością,
Bo serce we mnie pęknie z niepokoju.

(Domarad i Niemira wychodzą.— Królowa siada, mając syna obok siebie).

KRYSTYNA. (*podnosi się, biegnie szybko do królowéj i rzuca się przed nią na kolana*). O przebaczenia!
KRÓLOWA. Co robisz, Krystyno?...
KRYSTYNA. Przebacz królowo, przebacz mnie grzesznicy!
Wszystkiemu złemu jam tylko jest winna,
Jam jest przyczyną twych cierpień i nieszczęść,
Jam tobie serce męża odebrała,
I jam bezprawnie, wbrew bożym rozkazom,
Nie dbając, ile nad tém boleć będziesz,
Przy jego boku twe miejsce zajęła!
Z méj to przyczyny król został wyklęty,
A ten grom kary co w niego uderzył,
Ugodził równie w twoje czułe serce,
I wygnał z niego szczęście i spokojność
Może na wieki! O przebacz mnie nędznéj,
Przebacz przez litość — ja umiéram z żalu!
KRÓLOWA. Powstań, ty biedna, i mnie żal jest ciebie!
Cóżeś ty winna? — ja żadnéj urazy
Nie mam do ciebie. Nie wzięłaś mi tego,
Co nigdy moją nie było własnością.
Król mnie nie kochał nigdy. On mię pojął,
Jak zwykle żony pojmują królowie.
Do niego nawet żalu mieć nie mogę;
Miłości trzeba było jego sercu,
Miłości, któréj ja w nim nie wzbudzałam,
A którą uczuł na widok twych wdzięków,
I pod spojrzeniem twych ognistych oczów.
O swe nieszczęścia ja cię nie obwiniam....
KRYSTYNA. Co słyszę?... Boże, możesz to być prawdą!...
KRÓLOWA. Tak jest, Krystyno, nie tylko przebaczam,
Lecz nigdy gniewu nie miałam na ciebie.

My obie dzielim los smutny i łzawy,
I więcéj mamy cierpień niż roskoszy,
A kto wie jeszcze ile nam zgotuje
Bolesnych godzin umysł tego męża,
Który znać nie chce żadnego wędzidła.

KRYSTYNA. O, jakżeś dobrą! świętszą niż anieli,
Którzy są w niebie! Więc mogę ustami
Dotknąć twéj ręki — a ty nie odtrącisz....

KRÓLOWA. Nie do méj ręki, pójdź do mego serca!

(Krystyna powstaje ze łzami radości w oczach, i łkając rzuca się w objęcia królowéj Chwila milczenia. — Królowa przypominając sobie, przystępuje prędko do okna).

Nie widać jeszcze nikogo. Im dłużéj
Król nieobecny, tym większa obawa
Rośnie w méj duszy. Kto wié, do téj chwili
Co się stać mogło.

KRYSTYNA. Módlmy się, królowo,
Módlmy za królem, niech go Bóg ratuje!

KRÓLOWA. Módlmy, Krystyno! Pójdź i ty mój mały,
Stań między nami i złóż drobne rączki,
Proś za swym ojcem niebieskiego ojca.

(*klękają obok siebie ze złożonemi rękami*)

KRÓLOWA. Boże, coś panem jest duszy człowieczéj,
Którego ręka wszystko zmienić zdolna,
Poskrom zbyteczną w królu popędliwość,
Daj mu łagodność i umiarkowanie,
Niechaj w zapędzie powstrzyma się gniewu,
I nic takiego nie uczyni, coby
Występkiem było i twoją obrazą!
Zlituj się panie! on nie tyle grzeszny,
Ile jest biedny — zły duch go opętał,
A on się wydrzéć z tych szponów nie może.
Zlituj się panie nad nieszczęsną żoną,
Nad biednėm dzieckiem, oszczędź im boleści,
By nie patrzyły na upadek tego,
Który na świecie jest dla nich najdroższym!

KRYSTYNA. Litości twojéj błagam, wielki Boże!
Gdy trzeba twemu gniewowi ofiary,
Niech ja nią będę, ja com najwinniejsza.
Niech król się czynem haniebnym nie splami,
Niech nie zasmuca swéj stroskanéj żony,
Dziecku pamięci smutnéj nie zostawia,
Oświeć go swoją przenajświętszą łaską,

Niech w nim odzyska rozum panowanie,
Nie gub go!... godzien on przecie jest szczęścia,
Zgrzeszył jak człowiek, lecz podnieść się może;
O panie, ratuj, ratuj go z przepaści,
Ja całe życie za to ci poświęcę,
Będę dziękować w każdéj dnia godzinie —
O panie, oszczędź mi strasznych wyrzutów,
Żem to ja!... Boże, zmiłuj się nad królem!

KRÓLOWA. Zmiłuj się Boże!

KRYSTYNA. O miéj miłosierdzie!
Już dosyć ciosów zniosła moja dusza,
A gdyby jeszcze... Nie, nie, to fałszywe
Moje przeczucie!... nie dopuścisz tego,
Tak srogo karać mnie Boże nie będziesz!
O daj królowi, daj upamiętanie!

KRÓLOWA. Ktoś idzie — słyszysz?

KRYSTYNA. Idzie! (*powstają obie*)

KRÓLOWA. To Domarad.

Scena 5.

Królowa z synem. — Krystyna. — Domarad, wchodzi pomięszany, nie podnosząc oczu na obie kobiety.

KRÓLOWA. Cóż? powiedz...

KRYSTYNA. Prędzéj mów!

KRÓLOWA. Król!..

DOMARAD. Ach, niestety.

KRYSTYNA. Co? co się stało?...

DOMARAD. Okropne nieszczęście!

KRÓLOWA. Okropne, mówisz?...

KRYSTYNA. O nie dręcz nas dłużéj!
Mów, mów, co zaszło!

DOMARAD. Gdy król wraz z drużyną
Wpadł do kościoła, biskup o téj porze
Stał przy ołtarzu, odprawiał mszę świętą.
Na kroki zbrojnych kiedy się odwrócił
I ujrzał króla, z wyciągniętą ręką
Na drzwi mu wskazał i surowym głosem:
„Idź ztąd, zawołał, tu wstęp ci wzbroniony!"
To takim gniewem napełniło króla,
Że....

KRYSTYNA. Że co?...

DOMARAD. Że miecz wydobył i....

KRÓLOWA. Chryste,
W kościele dobył miecza!..
DOMARAD. I dom boży
Zbeszcześcił ludzką krwią, krwią pomazańca,
Sługi ołtarza, kiedy przenajświętszą
Sprawiał ofiarę! Uderzył go w głowę,
I biskup upadł bez ducha na ziemię.
KRÓLOWA. Straszna wiadomość!... Więc do tego doszło —
Stało się gorzéj niż pomyśléć mogłam!
KRYSTYNA. O Boże, Boże nie miałeś litości!
Węże rozpaczy dławią mię za gardło!

Scena 6.

Ciż sami i Król, wchodzi powoli, blady i pomięszany, nie widzi nikogo z obecnych. Chwila milczenia.

KRÓLOWA. (*spostrzegłszy go, przystępuje do niego*)
Cóżeś uczynił!....
KRÓL. Co? co? com uczynił?
Czym ja Kainem, że się tak odzywasz?...
Jakież pytanie nierozsądne, głupie!
Ty wiész już, co ja uczyniłem, prawda?
Pocóż się pytasz?.. Co ja uczyniłem!
To com powinien, co musiałem zrobić.
KRÓLOWA. O królu, straszną popełniłeś zbrodnię!
KRÓL. Ni słowa więcéj — milcz! Odejdź ztąd zaraz,
Odejdź, nikogo nie chcę widziéć, słyszéć—
Odejdź, ja każę!...
KRÓLOWA. Serce mi się kraje,
Kiedy na ciebie patrzę, nieszczęśliwy.
Jakże Bóg ciężko, ciężko cię ukarał!
KRÓL. Precz z temi łzami, z tą głupią litością!
(*spostrzegając Krystynę*)
I ty tu jesteś... milczysz, nic nie mówisz,
Łez nie wylewasz, nie pytasz mię o nic,
Lecz patrzysz na mnie takim dziwnym wzrokiem...
Co? wy szalone jesteście kobiéty!
Cóż się to stało, co nadzwyczajnego?
Idźcie precz, idźcie! — wasz widok mnie drażni,
Nudzi mnie, gniewa!... Cóż, do wszystkich czartów
Jeszcze stoicie! (*tupie nogą*)
KRÓLOWA. (*tuląc syna do siebie*) Nie bój się, mój mały,
Ojciec się gniewa, ale on jest dobry,

Nic nam nie zrobi. (*bierze za rękę Krystynę*)
Pójdź, biedna Krystyno,
Nasza obecność przykrą jest dla niego,
Chce byśmy poszły, każe się oddalić —
Pójdźmy, niech duch się jego uspokoi,
By go opłakać, znajdzie się czas jeszcze.
(Wychodzi z synem i Krystyną, która idzie machinalnym krokiem, jakby bez przytomności. Za niemi Domarad).

Scena 7.

Król, sam, — później Lassota.

KRÓL. Dobrze iż poszły — lepiéj mi samemu.
(*pogrążony w myślach*)
On był bezbronny — przecież to nikczemnie
Na bezbronnego uderzać z żelazem...
Przeklęty! poco zmusił mię do tego
I okrył wiecznym wstydem i niesławą.
(*wchodzi Lassota niosąc miecz obnażony w ręku*)
LASSOTA. W kościele miecz ten upuściłeś królu,
Ja go odnoszę. (*chce kłaść miecz na stole*).
KRÓL. Precz, precz mi z tym mieczem!
Kto ci rozkazał?... ten miecz jest skrwawiony....
Przyszedłeś mi się naigrawać nędzny!..
Weź go ztąd, zabierz, bo cię zduszę łotrze,
Na śmierć zadławię!
LASSOTA. (*patrząc z podziwieniem*) Miłościwy królu,
Przebacz, nic złego nie chciałem uczynić;
Lecz gdy tak każesz, spełniam twoję wolę.
KRÓL. Tak, dobrze robisz. Tylko prędzéj, prędzéj!
(*Lassota wychodzi z mieczem*)
Widziałem w życiu dużo krwawych mieczów,
Ten sam był nieraz od krwi cały mokry,
Lecz dziś (*otrząsa się*) brr! patrzéć nie mogłem na niego!
Czuję się takim słabym, tak znużonym
Jak nigdy jeszcze. Gdyby dzień dzisiejszy
Można wyrzucić z rachunku lat moich,
Gdyby do wczoraj można się powrócić,
Gdyby bez dzisiaj jutro zadnieć mogło,
Czuję, że byłbym daleko szczęśliwszy.
Haniebna, podła rzecz dzisiaj się stała!...
Ale głos jego zdał mi się tak dumny,
A ten ruch ręki tak rozkazujący —

Mógłżem to przenieść?... Przeklęty człowieku
Twe słowo silniéj mi duszę przeszyło,
Niźli żelazo ciało przeszyć może —
Chciałem się zemścić, więc ciebie zabiłem! —
Co to? gwar jakiś — hałas pomięszany
Jak ludzkich głosów. Może mi się zdaje.
Dziś mi tak dziwnie, jakby to me ciało
Nie było mojém. (*wchodzi Zbylut*).

Scena 8.

KRÓL. — ZBYLUT.

ZBYLUT. Szukam ciebie królu....
KRÓL. Nie chcę nic słyszeć, nic, dajcie mi pokój,
Chcę sam pozostać.
ZBYLUT. Tego z czém przyszedłem
Musisz wysłuchać. W murach twéj stolicy
Bunt się rozszerza!
KRÓL. Co? bunt, bunt, powiadasz?
ZBYLUT. Bunt oczywisty! zbiegowiska ludzi
Wszędzie: na Skałce, w mieście, i tu nawet
Pod samą twoją królewską siedzibą.
Księża i mnichy zrobili gwałt wielki,
Ciało biskupa wynieśli przed kościół,
Zwołali naród, i chytrą go mową
Przeciw osobie twojéj podburzają,
Wzywając pomsty Boga na zabójcę.
Kobiéty, dzieci jęczą i szlochają,
Mężowie szemrzą, gromadzą się w kupy
I głucho radzą. Koło Żelimira
Bawiąca w mieście zebrała się szlachta,
I tu pod zamek idzie całym tłumem!
(Słychać krzyki i zgiełk za sceną. Zbylut zbliża się do okna, za nim król).
Patrz królu, cisną się pod samę bramę.
Ha! widzisz — łotry, żołnierza na straży
Już wywrócili — wtargnęli w dziedziniec!..
KRÓL. Idź, zbierz drużynę i załogę zamku —
Jak zasłużyli, ja ich tutaj przyjmę.
ZBYLUT. Dobrze, mój królu. (*wybiega*).

Scena 9.

Król (wchodzą) Żelimir, Kryspin, kilku innych Panów, Szlachta, późniéj Zbylut i Żołnierze.

KRÓL. Co to jest? skąd śmiałość?

Niezawezwani bez mego rozkazu
Wchodzicie w dom mój ze zgiełkiem i krzykiem,
Straż znieważacie wrót mych pilnującą —
Co to ma znaczyć? bunt to czy szaleństwo?
Ja na oboje mam skuteczną radę!

ŻELIMIR. To krok rozpaczy, do któréjś nas przywiódł.
Przeszła już miara naszéj cierpliwości,
Ile jej było w nas, wszystkęś wyczerpał
Przez swe postępki nie ludzkie i krwawe.
Dziś oburzenie tylko nami włada,
I to co dotąd tłumiliśmy w piersiach
Może z obawy, a może w nadziei,
Że Bóg odmianę w tobie jaką sprawi,
Gwałtem się w słowach donośnych wyrywa,
Bo dziś spodziewać się lepszéj przyszłości
Byłoby więcéj niżeli szaleństwem,
A wobec tego, czegośmy dożyli,
Już się niczego nie możemy lękać.
Długoś nas gnębił, znęcał się nad nami,
Wiek, urodzenie, dostojność, zasługi
Niczem już były w twoich oczach — wszystko
Twa samowola gniotła bez różnicy;
Przez długie wojny krew najszlachetniejszych
Synów ojczyzny toczyłeś bez miary,
A gdy kto uszedł miecza nieprzyjaciół,
To go w pokoju spotkał topór kata;
Po naszych domach szerzyłeś zgorszenie,
Król, wzór dla wszystkich, dawał przykład złego,
I nikt być nie mógł pewnym czci swéj żony,
Czystości córki przed twą dziką chucią!
Lecz cierpieliśmy, znosiliśmy wszystko,
Przed Bogiem chyba skarżąc się w cichości...
Gdy w tém jak piorun dziś w nas ugodziła
Nowa twa zbrodnia — straszna — niesłychana!
Tyś się ośmielił znieważyć świątynię,
Zabić kapłana na stopniach ołtarza!
Okropność!... włosy powstają na głowie,
Serce się ściska, myśl ludzka trętwieje
Na czyn podobny!.. Ostatnia ochrona
Dla biednych, słabych i uciemiężonych,
Która ich jeszcze broniła przed szałem
Twojéj wściekłości, padła pod twym mieczem.

Gdzie i kto teraz może być bezpieczny,
Gdy go przed tobą sam Bóg nie osłoni?
Na co nie targniesz się, gdyś wzniósł prawicę
Na tego, który Boga trzymał w ręku?
Ale wszystkiemu jest kres na téj ziemi—
Złość, choć potężna, natrafi na skałę,
O którą strzaska się i w gruz rozleci,
Dość tego królu! ani kroku daléj.
Wstrzymaj się!—dosyć, dosyć już twych zbrodni,
Raczéj umrzemy jak szlachetni męże,
Niżbyśmy mieli znosić twoje pęta!

KRÓL. Ha, podły gadzie! stary buntowniku!
Więc odsłoniłeś nareszcie przyłbicę,
I pokazałeś swoję twarz prawdziwą.
Nieposłuszeństwa duch przez ciebie gada,
Ten duch niesforny, który w poprzek stawał
Wszystkim mym chęciom, zamiarom i czynom.
Który zwycięstwo wydzierał mi z dłoni.
W zamęt bezrządu pogrążał ojczyznę.
Władza królewska cięży wam na karku,
Pragnęlibyście ją złamać i rzucić
Pod swoje nogi, i sługą swéj woli
Tego uczynić, co nosi koronę!
Z was każdy chciałby królem być dla siebie,
Słuchać, ulegać, nie waszym przymiotem,
Pycha i próżność pcha was do swawoli—
Znam ja was dobrze!—O, i wy mnie znacie,
Wiécie, że u mnie nic wskórać nie można
Przez gwałt i upór, że surową dłonią
Umiałem skarcić każde przekroczenie.
Własną mię siłą nie mogliście zwalczyć,
A więc w przymierze weszliście z kościołem,
Władza papieska miała mojéj mocy
Stawić granice, papież miał być tarczą,
Którą zakryci chcieliście uderzać
Jakby taranem w me królewskie prawa,
Dopókiby się w proch nie rozsypały.
Ale napróżno! Nie jestem ni ślepy
Ani bezsilny. Jeden już skarany,
I wszystkich zdołam zgnębić i ukorzyć.
(*klaszcze w dłonie*)
Hola, tu do mnie! (*wchodzi Zbylut za nim Drużyna*

i żołnierze) Żołnierze, swą głową
Odpowiadacie mi za wojewodę,
Wziąć go do wieży!

MIROSZ (n. s.) Co słyszę, o Boże!
Nieszczęsny ojcze! (*Zbylut i kilku z Drużyny odłączają się od reszty i otaczają Żelimira. Inni Panowie i Szlachta cofają się trochę w głąb.*)

ŻELIMIR. Macie tu me ręce,
Nędzni siepacze, wiążcie je powrozem!

KRÓL. W wilgotnych murach, w ciemnym jak noc lochu,
Gdzie promień słońca nigdy cię nie dojdzie,
Niedługo spadnie twoja górna duma,
I innym głosem mówić się nauczysz.
(*do Panów i Szlachty*)
Daléj, któż jeszcze pragnie się odezwać,
Kto wojewodzie ma chęć towarzyszyć?
Mówcie, no słucham! obwiniajcie, skarżcie
Waszego króla, plwajcie mu bluźnierstwem
Jedne was mury wszystkich razem schłoną!
Cicho stoicie!.. Dobrze, macie rozum.
Niech ta nauka służy wam na przyszłość:
Umiem być królem i chcę nim pozostać.
A teraz precz mi, precz z przed moich oczów!

(Żołnierze w głębi rozsuwają się na dwie strony; Panowie i Szlachta wychodzą przygnębieni słowami króla)

KRÓL (*po ostatnich słowach zbliżył się do stołu i oparł na nim ręką*) Lassota!

LASSOTA (*prędko przystępując*)
Jestem, słucham twych rozkazów.

KRÓL. Podaj mi rękę.

LASSOTA. Co ci jest, mój królu?

KRÓL. Nic, nic mi nie jest! prowadź do komnaty.

LASSOTA (*prowadząc króla n. s.*)
Jego dłoń zimna, a krok taki ciężki—
Biedny król, gniew ten zaszkodził mu widać.

(Król wychodzi z Lassotą)

Scena 10.

Żelimir, Zbylut, Mirosz, Drużyna i Żołnierze.

ZBYLUT (*do Żelimira*)
No, mości panie, w drogę, daléj za mną!

MIROSZ (*przystępując do Zbyluta*)
Wstrzymaj się, proszę, daj mi z wojewodą

Pomówić kilka słów.

ZBYLUT — Co chcesz?.. Nie można!

MIROSZ. — To ojciec Bogny, to ojciec mój drugi!
Byłżebyś tyle srogi i nieludzki
Téj mi ostatniéj odmówić pociechy,
Gdy mnie los jego tak ciężko dotyka.

ZBYLUT. — Źle, żeś ze zdrajcą takim się pokumał,
Widać czart nasłał na ciebie tę dziewkę.
No, dwa pacierze, więcéj ani chwili;
Długo on z ludźmi nie będzie rozmawiać.

(Na znak Zbyluta ludzie z Drużyny stojący przy Żelimirze cofają się nieco. Mirosz zbliża się do Żelimira, uklęka i chwyta go za kolana)

MIROSZ. — Drogi mój ojcze, niech przy twoich nogach
Nad ciężkiém twojem zapłaczę nieszczęściem!
Cóż się to stało? jakaż nagła zmiana!
Ty pan tak możny, tak znaczny w królestwie,
Dzisiaj, zrównany z najpodlejszym z tłumu,
Masz dni starości pędzić w zgniłym lochu!
O jakaż boleść przejmuje me serce!
Co powie córka twa, gdy ta wiadomość
Jak grom jéj życia całe szczęście zniszczy!
Czemuż drażniłeś zapalczywość króla,
Czèmuś na drodze stanął potężnemu,
Nie byłoż lepiéj ustąpić i zmilczéć!

ŻELIMIR. — Cicho bądź chłopcze! sam nie wiesz co mówisz.
Wielki hart ducha rodzi się w starości,
Gdy człowiek poznał już znikomość świata.
Przed nim nie ugnę mojéj siwéj głowy;
Bóg się za siebie i nas wszystkich pomści.
Lecz słuchaj, chcę ci powiedzieć mą wolę,
Na wszystko muszę być przygotowany.

MIROSZ. — Rozkazuj, słucham.

ŻELIMIR. — Staraj się uwolnić
Choć na czas krótki ze służby królewskiéj,
Jedź do mnie na wieś, i bierz jak najprędzéj
Ślub z moją córką.

MIROSZ. — Teraz, teraz, panie?...

ŻELIMIR. — Tak, właśnie teraz. Kto wie co mnie czeka,
Może niewola długa, aż do śmierci,
Może śmierć prędka. Bogna jest sierotą
Oprócz mnie nie ma nikogo na świecie,
Chcę, aby w tobie miała opiekuna.

Chcę wiedzieć o tém, póki jeszcze żyję,
Bobym inaczéj nie umarł spokojny.
Przyrzekasz mi to?

MIROSZ. Ah ojcze, ah ojcze,
Ty błogosławić nam nawet nie będziesz!

ŻELIMIR. Z za krat więzienia, czy z drugiego świata
Duszą ja przy was będę, moje dzieci.

ZBYLUT (*zbliża się do nich*)
Dosyć już tego, rozłączcie się!

ŻELIMIR. Żegnaj,
Bądź zdrów Miroszu!

MIROSZ. Do widzenia, ojcze!

(Żelimir postępuje kilka kroków. Słychać dzwony kościelne)

ŻELIMIR (*zatrzymując się*) Co to jest?... (*po chwili*)
A, wiem!... To legat papieski
Wjeżdża w granice naszéj dyecezyi.
Straszny przeciwnik występuje, królu,
Do walki z tobą;--papież walczyć będzie!

(Drużyna otacza Żelimira i wychodzi z nim. Mirosz z załamanemi rękami patrzy za odchodzącym)

AKT IV.

Przed kościołem na Skalce.

Scena 1.

Tłumy ludu na placu, mężczyzni, kobiety i dzieci. Po jednéj stronie większa gromada Szlachty rozmawiającéj między sobą. Po drugiéj, w niejakiém oddaleniu od tłumu stoi Domarad oparty na kiju i patrzy na kościół, który właśnie kilku robotników kończy obijać czarném suknem. Drzwi kościelne zamknięte; ganek przed kościołem całkiem wolny. Ogólna uwaga zwrócona na kościół w oczekiwaniu tego co się dziać będzie.

1-y Z GMINU (*stojący bliżéj kościoła, do sąsiada*)
Kiedy ten młotek uderza o ścianę,
To mi się zdaje, jakby w wieko trumny
Gwódź zabijali.

2-i Z GMINU Niedalekie grobu
Co się tu dzieje. Wszak to istny pogrzeb,
I więcéj niźli pogrzeb, bo nietylko,
Będą tu ciało lecz i duszę grzebać.

(*Wchodzi Mścisław przeciskając się powoli przez tłum*)

1-y SZLACHCIC Ja nie żałuję króla; dosyć złego
Narobił innym, niech pozna co boli.

2-i SZLACHCIC Księża trzymają z nami, to rzecz pewna,
Jeśli go karzą to za nasze krzywdy,
Że nas ciemiężył, że był dla nas srogi.
3-i SZLACHCIC Teraz się skończy jego panowanie,
Papież odejmie mu królewską władzę.
1-y SZLACHCIC Jak to być może?
2-i SZLACHCIC. Sza! o takich rzeczach
Głośno rozprawiać nie bardzo bezpiecznie,
Król jeszcze siedzi na zamku (*spostrzega Mścisława*)
Héj, Mścisław!
Jak się miewacie? (*do innych*) widzicie Mścisława.
MŚCISŁAW (*zbliża się do szlachty, podając rękę*)
Witajcie bracia!
2-i SZLACHCIC. Cóż tak chmurno patrzysz?
Wszak byś powinien z serca się weselić;
Jesteś pomszczony, dziś powtórna klątwa
Spadnie na króla i to z ust legata,
Co znaczy jakby sam papież ją rzucił.
MŚCISŁAW. Nie dosyć dla mnie téj zemsty, nie dosyć!
1-y SZLACHCIC Patrzcie, nie dosyć! Za twoję niewiastę
Król może musi oddać swą koronę.
MŚCISŁAW. Nie mam Krystyny, co mi po tém wszystkiém!
1-y SZLACHCIC Małoż to innych szlachcianek jest w Polsce
Młodych i gładkich! Dałbyś pokój żalom!
MŚCISŁAW (*spostrzegając Domarada*)
To jest Domarad, przecież się nie mylę,
On sam.
1-y SZLACHCIC. Gdzie idziesz?
MŚCISŁAW (*nie zważa na niego, przeciska się przez tłum i zbliża do* [*Domarada*
Bóg z wami, mój bracie.
DOMARAD. A to wy! dawno już was nie widziałem.
W bolesnéj chwili dzisiaj się schodzimy,
Jakiż to smutny obrzęd się gotuje,
Zakrwawić zdolny każde ludzkie serce,
To coś gorszego niż gdyby na ścięcie
Prowadzić mieli człowieka.
MŚCISŁAW. Szukałem
Ciebie, mój stary. Ty mi powiesz pewnie.
Co o Krystynie, gdzie jest, co porabia?
DOMARAD. Co wiem, to wszystko powiem ci najchętniéj.
MŚCISŁAW. Czy zdrowa? jakie zrobiły wrażenie
Na jéj umyśle ostatnie wypadki?

DOMARAD. Jakie?... toż łatwo sobie wyobrazić—
Najgorzej.

MŚCISŁAW.. Biedna! A więc chora może?..

DOMARAD. Tego nie mówię. Co się dziś z nią dzieje,
O tém nic nie wiem. Dnia tegoż samego,
Gdy biskup wyklął króla, i następnie
Gdy król... o reszcie wspominać zbyt przykro...
Krystyna z zamku nagle gdzieś zniknęła.

MŚCISŁAW. O Chryste! może w samobójczéj myśli...

DOMARAD. Nikt jéj już potém ni żywéj ni zmarłéj
Nie widział nigdy. Wszystkie swoje szaty,
Bogate stroje, złoto i kamienie
Pozostawiła jak były nietknięte.
Lecz dokąd poszła? mimo wszelkich śledzeń
Nie udało się nikomu dobadać.

MŚCISŁAW. O straszną, straszną rzekłeś mi nowinę!
Kto w taki sposób rozłącza się z ludźmi,
Tego wygania w świat rozpacz szalona!

1-y Z GMINU (*bliżéj kościoła*)
Patrzajcie!

KILKA GŁOSÓW (*dokoła*) Co? co?

1-y Z GMINU Drzwi się otwierają.

Scena 2.

(Odzywa się dzwon; biją powoli w jednę tylko stronę dzwonu. Równocześnie drzwi kościoła się otwierają, na ganek wychodzi Dwunastu Księży z zapalonémi świécami; grupują się; za nimi Ksiądz cały czarno ubrany, z kapturem głęboko zapuszczonym na oczy, a za tym wreszcie Kardynał—Legat. Ten ostatni usiada na wzniesieniu umieszczoném na ganku. Czarny Ksiądz staje przed nim poniżéj, tak że kardynała osobą swoją nie zasłania)

1-y SZLACHCIC Jak przeraźliwy jest głos tego dzwonu,
Zda się że duszę rozdziera w kawałki.

1-y Z GMINU. Dwunastu księży!

2-i Z GMINU. Co znaczy ten czarny?

KOBIETA. Patrzcie, kardynał spogląda tak srogo.

(Czarny Ksiądz podnosi rękę w górę dając znak milczenia i uwagi. Robi się cisza).

CZARNY KSIĄDZ (*po chwili*)
Ja, mianowany głosicielem klątwy,
W języku dla was wszystkich zrozumiałym
Powiem, co papież, ojciec nasz najświętszy,
Oznajmić kazał przez usta legata,
A czego wierną, dosłowną osnowę
Mam tu przed sobą, na tym pergaminie.

(*patrząc w kartę mówi*)
Bolesław, polski król, za okazane
Nieposłuszéństwo kościelnéj zwierzchności,
I za zabójstwo, które na biskupie
Na poświęconym popełnił kapłanie,
Popada w klątwę wielką, anathema.

KSIĘŻA. Anathema sit!

CZARNY KSIĄDZ. Niechaj przeklęty będzie ze wszystkimi,
Co mu pobudką, pomocą lub radą
Do wykonania jego zbrodni byli.
Niechaj przeklęty będzie w swoim domu,
Pod gołem niebem, w mieście i na roli;
Niechaj przeklęty będzie, kiedy siedzi,
Albo gdy stoi, gdy jé, pije, robi,
Przeklęty we śnie i w dzienném czuwaniu;
Niechaj przeklęty będzie tak, by w ciele
Nie pozostało mu zdrowego członka
Od wierzchu głowy aż do stopy nożnéj;
Wnętrzności jego niech z niego wypłyną,
A jego ciało niech robactwo stoczy!
Niechaj przeklęty będzie z Ananiaszem,
Z zdrajcą Judaszem i niecną Zefirą,
I z Abironem, z Datanem przeklęty,
Których otchłanie żywcem pochłonęły.
Niechaj go ściga przekleństwo Kaina,
Co pierwszy rozlał na ziemi krew ludzką;
Niechaj dom jego będzie spustoszony,
A on z żyjących wymazany księgi,
Pamiątka po nim niech na wieki zginie!
Niechaj przeklęty będzie równo z djabłem
I z aniołami jego, na wieki wieków,
Jeśli się w grzechach swych nie upamięta!

(*Kardynał wstaje, rzuca zapaloną świecę na ziemię i gasi ją*)

KSIĘŻA (*czynią toż samo i ponurym głosem się odzywają*)
Fiat! fiat! fiat!

CZARNY KSIĄDZ.
Oto żywota jego zgasło światło,
Do potępieńcow liczby już należy,
Jest marnym cieniem tego co był przedtém,
Na świecie żadnych już praw nie posiada,
Nikt względem niego nie ma obowiązków;
Gdy łaknąć będzie, a kto go nakarmi,

Kto pragnącemu łyżkę wody poda,
Lub drzwi nie zamknie przed nim swego domu,
Kiedy strudzony spoczynku zażąda,
Kto go powita, lub się doń odezwie
Choć jedném słowem w przyjaznym zamiarze,
Ten niechaj będzie z nim razem przeklęty!

KSIĘŻA. Anathema sit!

DOMARAD. Nieszczęsny królu, jak twój los okropny!

CZARNY KSIĄDZ.
A daléj jeszcze to pismo powiada:
Kiedy chorobą dotknięta jest głowa,
To całe ciało mdłe i z sił opadłe,
Więc by wyplenić tę straszną zarazę,
Jaka od króla na to państwo padła,
Papież interdykt kładzie na królestwo
I wszystkich ludzi polskiego narodu.

1-y SZLACHCIC Słuchajcie!

1-y Z GMINU. Co to? co to znów nas czeka?

KOBIETA. Najświętszy Jezu, my ludzie tak biedni!

CZARNY KSIĄDZ.
Kościoły będą dla wiernych zamknięte,
I służba boża wszelka w nich ustanie,
Dzwony w świątyniach zamilkną od dzisiaj,
I sakramentów łaski nikt nie dozna.
Kto się narodzi, ten chrztu nie dostanie;
Kto chce się żenić, temu przed ołtarzem
Z oblubienicą kapłan rąk nie zwiąże;
Kto konać będzie, tego wijatykiem
W drogę wieczności kościół nie opatrzy,
Ni z jego grzechów nie da rozgrzeszenia;
A gdy kto umrze, w poświęconéj ziemi
Nie będą jego zwłoki pochowane.
I to tak długo trwać będzie, dopóki
Kościół i papież zadość uczynienia
Nie otrzymają za doznane krzywdy.
A więc się módlcie, aby jak najprędzéj
Bóg was uwolnił od tego dopustu!
Bijcie się w piersi, posypcie popiołem
Głowy, i z płaczem żałujcie za grzechy!

KSIĘŻA. Amen! amen! amen!

(Rozlega się jęk i krzyk ogólny między gminem. Na szlachcie widać przygnębiające wrażenie. Dzwon który dotychczas ciągle uderzał, milknie. Kardynał a za nim księża wracają do kościoła, drzwi zamykają się za nimi).

Scena 3.

MŚCISŁAW. DOMARAD. SZLACHTA. LUD.

1y- Z GMIMU. Zmiłuj się, Boże!
KOBIETA. O najświętszy Jezu,
Ani pogrzebu, ni chrztu, ni spowiedzi!
2-i Z GMINU. Wszystkich nas czeka wieczne potępienie,
Ogień piekielny i zguba dusz naszych!
KOBIETA. Boże na niebie! co to z nami będzie!
Nieszczęsne dziecko, lepiéj żebyś było
Nie wyszło nigdy z pod mojego łona!
1-y SZLACHCIC Lud cały cierpieć nie będzie za niego,
I lepiéj głowę niźli duszę stracić.
1-y Z GMINU. Niech Bóg ukarze króla za nieszczęście
Co nas spotkało, on winien wszystkiemu!
MŁODZIENIEC Z GMINU (*wchodzi, przeciskając się gwałtownie przez ciżbę*)
Puśćcie mnie, puście niechaj do nóg padnę
Kardynałowi, musi się zlitować
Nade mną biednym! Puszczajcie mnie ludzie,
Śmierć nie zaczeka, muszę ją uprzedzić.
1-y SZLACHCIC Co chcesz człowieku, poco ci kardynał?
MŁODZIENIEC.
Ah panie! matka tam moja umiera,
Biedna staruszka chce olejów świętych,
Chce sakramentów, księdza z Panem Bogiem,
Aby spokojnie zeszła z tego świata,
A wszyscy księża na me prośby głusi,
Żaden iść nie chce, mówiąc że nie wolno.
A matka jęczy, zanosi się z płaczu,
Ręce przede mną łamie i w rozpaczy
Woła: o synu, wybaw mnie od piekła!
Do kardynała pójdę, on pozwoli,
On się zlituje nad syna boleścią,
Ostatnią wolę matki da mu spełnić.
1-y SZLACHCIC Napróżno pójdziesz, tam cię nie dopuszczą.
MŁODZIENIEC.
Co? nie dopuszczą? co, on nie pozwoli?
Gdy moja stara matka przy skonaniu
O to mię błaga... kamienne by serce
Mieć na to trzeba. Ja mu do nóg padnę,
I wprzód nie wstanę aż się ulituje,

Ten raz, raz jeden, dla méj biednéj matki!
Puście mię ludzie, ustąpcie się z drogi.

1-y SZLACHCIC Puśćcie go. Biedny, bliski jest rozpaczy!

MŁODZIENIEC.
O moja matko, ja wrócę nim skonasz,
Powrócę z księdzem! (*tłum się przed nim rozstępuje on wybiega*)

1-y SZLACHCIC Daremne nadzieje!

KOBIETA. Serce mi pęka z żalu. Biedny chłopiec,
Musi jak bydlę rzucić ciało matki
W otwartém polu. Czegośmy dożyli!
Biadaż nam, biada!

DOMARAD. O zmiłuj się Panie!

Scena 4.

Ciż sami (wchodzą) Mirosz i Bogna.

MIROSZ (*wchodząc*)
Pójdź, droga Bogno, nic się nie obawiaj,
Jestem przy tobie. Wkrótce się dowiemy,
Czemu w tę stronę jak wezbrana fala
Wciąż napływają niezliczone tłumy.
(*spostrzega Domarada*)
Oto Domarad, on nam wytłómaczy,
(*zbliżają się do Domarada*)
Co się tu stało, zechciéj nam powiedzićć.

DOMARAD. Nowe nieszczęście!

MIROSZ. Co? jakie? mój Boże!

DOMARAD. Kardynał wyklął powtórnie dziś króla,
Tu, z tego miejsca.

MIROSZ. O, prawdę wyrzekłeś:
Nowe nieszczęście! Z każdym krokiem daléj
W coraz to większe brniemy zamieszanie.
A te wypadki bolesne i straszne,
Jak nad otchłanią kręcące się wiry,
Niejednę jeszcze porwą w głąb ofiarę.
Oto jest Bogna, córka Żelimira,
Ma przyszła żona.

DOMARAD. Nieszczęśliwe dziecię,
I ty utratę opłakujesz ojca.

BOGNA. Dzięki ci, panie, za twoje współczucie.

Szlachetne w tobie napotkałam serce,
Które rozumie ciężkie me sieroctwo:

MIROSZ. Do miasta z Bogną dzisiaj przybyliśmy,
Bo choć Żelimir kazał nam się pobrać,
Ona nie chciała stanąć przed ołtarzem,
Dopóki z ojcem wprzód się nie zobaczy,
Dopóki on jéj nie pobłogosławi
Na nowe życie.

DOMARAD. Przywiązana córka!

BOGNA. O panie, Mirosz mówił mi o tobie,
Że jesteś dobry i szlachetny człowiek,
I z twarzy twojéj ja toż samo czytam
Jeżeli możesz, dopomóż nam, proszę,
Bym ojca chociaż na chwilę widziała.
Więzienne mury twarde są i grube,
Ale je dobroć i litość otwiera.
Chcę ucałować rękę mego ojca,
Kolana jego uścisnąć ze łzami,
Na mojéj głowie uczuć dłoń sędziwą,
I słyszéć z jego ust słowa miłości,
Błogosławieństwa dla nieszczęsnéj córki.
Choćby przez kratę, choć przez otwór w ścianie
Niechaj go widzę!

DOMARAD. Któżby się nie wzruszył
Na widok takiej dziecięcéj miłości!
Co mogę, zrobię; a może się uda
Do wojewody przystęp wam ułatwić.

MIROSZ. Będziesz prawdziwym dla nas dobroczyńcą.
A potém, chociaż w tak żałosnym stanie,
Przysięgnę Bognie wiarę przed ołtarzem,
Nazwę ją moją na wieki!

MŚCISŁAW. Młodzieńcze,
Z tego nie będzie nic, późnoś się wybrał.

MIROSZ. Co mówisz?

MŚCISŁAW. Ślubu żaden ksiądz wam nie da
Ni dziś, ni jutro, kto wie za jak długo.
Czyż nie wiesz o tém, że na całym kraju
Ciąży interdykt.

MIROSZ. Litościwe nieba,
Co słyszę! Prawdęż on mówi, Domarad?

DOMARAD. Tak jest, niestety!

MŚCISŁAW. Póki nam panuje

Ten, który został przez kościół wyklęty,
My wszyscy klątwę na sobie dźwigamy.

MIROSZ. O królu, nową więc muszę ofiarę
Złożyć dla ciebie! Dług mojéj wdzięczności
Już wymazany przez tyle poświęceń,
A przywiązanie, jakiem miał do ciebie,
Musiało zamrzéć pod ciosem tych cierpień,
Których ty sprawcą jesteś! Bogno moja,
Więc nie będziemy mogli się połączyć,
Miłość mi twoję wydzierają losy!

1-y ZE SZLACHTY (*która tymczasem żywą między sobą prowadziła rozmowę*)
Do Żelimira pójdźmy!

MIROSZ (*zwracając się ku nim*) Kto to wyrzekł?

BOGNA. Kto tu wymienił imię mego ojca?

1-y SZLACHCIC Tyś jego córka?

BOGNA. Jam ta nieszczęśliwa.

1-y SZLACHCIC Bóg da, że wkrótce może cię pocieszym.
Teraz gdy rzeczy nowy obrót biorą,
Gdy nam z zamętu trzeba się wydobyć
Cało i zdrowo, przyda nam się głowa
Od wielu innych mędrsza i silniejsza;
Twojego ojca teraz nam potrzeba.
Aby nam radził i kierował nami.
Żelimir za nas zawsze się nadstawiał,
Narażał całość swą i bezpieczeństwo
Za naszę sprawę, i za to téż dzisiaj
Cierpi więzienie. Naszym obowiązkiem
Wyrwać go stamtąd, a naszą korzyścią
Na swoim czele postawić go znowu,

GŁOSY SZLACHTY. Dobrze powiadasz, prawda, prawda święta!

MŚCISŁAW. Pójdziemy wszyscy wydrzéć go ze szponów
Krwawego sępa; niech mniéj chociaż jedna
Padnie ofiara jego okrucieństwa.

2-i SZLACHCIC Czy tylko nasze podołają siły?..

y-SZLACHCIC Nie ma co wątpić, sił mamy aż nazbyt!
Już tutaj jest nas dość spora gromada,
W mieście się znajdzie jeszcze więcéj szlachty,
Królem brzydzi się lud jak potępieńcem.
W nim powód swego nieszczęścia przeklina,
Tak więc jedynie na swoję drużynę
Może on liczyć, a téj damy radę,

Przeważną liczbą zgnieciemy ją łatwo.

MIROSZ. To Bóg was natchnął tą szczęśliwą myślą!
Daléj, pośpieszmy, nie zwlekajmy chwili,
Wydobyć starca ze zgnilizny lochów,
Powrócić światu szlachetnego męża!
Ja was powiodę, pokażę wam drogę'
A pod naciskiem naszego ramienia,
Jak krucha trzcina pęknie krat żelazo.

GŁOSY SZLACHTY. Tak, pójdźmy, pójdźmy!

MŚCISŁAW. Prowadź nas Miroszu,
Za Żelimira oddam chętnie głowę,
On króla równie jak ja nienawidził.

BOGNA. Wspieraj ich Boże, w tym świętym zamiarze,
I ochroń życie najdroższych mi osób!

MIROSZ. Miéj ufność Bogno, za szlachetną sprawę
Idziemy walczyć i nadstawiać piersi.
Pójdź, niech w bezpiecznėm zostawię cię miejscu.
Do Żelimira, rozkuć jego więzy!

1-y SZLACHCIC (*dobywa miecza, co i inni czynią*)
Kto wolność kocha, ten pośpieszy z nami!
Do Żelimira!

2-i SZLACHCIC. Precz ze srogim królem!

(Mirosz, Bogna, Mścisław i Szlachta wychodzą gromadnie)

1-y Z GMINU. Czy słyszeliście? szlachta się buntuje.

2-i Z GMINU. I dobrze robi, trudno znosić pana,
Na którym cięży przekleństwo niebieskie.

DOMARAD. Wojna domowa! Poddani podnoszą
Miecz na monarchę, brat przeciwko bratu
Stanie z żelazem!.. Straszne sądy boże
Nad naszą ziemią zawisły! Cierpiałem
Dużo przez króla, nie mogę zapomnieć,
Że gdyby nie on, miałbym dzisiaj syna,
A jednak żal mi, żal mi go jest szczerze,
Gdy widzę jaki grozi mu upadek. (*wychodzi*)

Scena 5.

LUD (później) KRÓL.

(kilkoro nowych ludzi wpada na scenę)

1-y Z PRZYBYŁYCH Król!.. uciekajcie!.. król!..

1-y Z GMINU. Czego tak krzyczysz?

1-y Z PRZYBYŁYCH Król tutaj idzie!.. król, król!

1-y Z GMINU. Uciekajmy!
Idzie wyklęty! (*Lud ucieka; ci którzy zdążyć nie mogli, cofają się pod mury kościelne z oznakami trwogi*)

KRÓL (*wchodzi, stąpa powoli, patrząc z podziwieniem na to co się dzieje*) Ludzie, co robicie?
Nie jestem marą ni duchem nieczystym,
Jestem człowiekiem tak jak wy jesteście.

KOBIETA. Nie przybliżaj się! nie mów do nas, odstąp!
Precz, uciekajmy!

1-y Z GMINU. W imię Ojca, Syna...
Kto w Boga wierzy, uciekaj co rychło!
(*Reszta ludu ucieka*)

KRÓL (*sam*) Stronią ode mnie, jakbym niósł zarazę,
Jakby me oczy zionęły płomieniem,
A ust mych oddech miał w sobie truciznę...
Każda człowiecza dusza jest mi wroga,
Nie widzi we mnie człowieka lecz czarta,
I na mój widok drży o swe zbawienie...
Głupi lud, szałem fałszu obłąkany!
A toż niedawno, jak też same tłumy
Wielbiły we mnie zwycięskiego króla,
Co im do kraju wnosił skarby wrogów,
Czciły monarchę, który silną dłonią
Od możnych panów chronił je ucisku!
Wdzięczność tak prędko wyszła im z pamięci
W inną się stronę zwrócił umysł płochy...

Scena 6.

KRÓL (wchodzą) ZBYLUT, LASSOTA i reszta Drużyny.

ZBYLUT. Gonimy, królu, za tobą. Sam jeden
Wyszedłeś z zamku...

KRÓL. Boicie się o mnie!

ZBYLUT. Po całém mieście wre jak gdyby w garnku,
Tysiące ludzi snuje się i kupi,
A między nimi więcéj liczysz wrogów
Niżli przyjaciół...

KRÓL. Daremna obawa!
Patrzcie! Widzicie ten pył co się wzbija
Od lecącego bez pamięci tłumu?
Cała ta rzesza tu przed chwilą była—
Gdym wszedł, jak gdyby grom im padł pod nogi,

Na wszystkie strony świata się rozpierzchli.
Oni przede mną jednym uciekają,
Jakgdybym w sobie miał siłę tysiąców,
A klątwa, którą widzą na mém czole,
Lepiéj mię broni niż stalowy puklerz,
Tak jest, wolałbym niźli tę ucieczkę,
Żeby stanęli mi hardo naprzeciw,
Pierś na pierś, oko rozżarte na oko!...
Ten wróg najgorszy, którego pochwycić
Nigdzie nie można—bo taki jest wszędzie.

ZBYLUT Raz trzeba koniec położyć tym rzeczom!
(*pokazując na kościół*)
Rozkaż, a wkrótce kamień na kamieniu
Z tego szerszeniu gniazda nie zostanie,
W puch je rozbijem, rozsypiemy w gruzy,
Na cztéry wiatry rozniesiemy! Cóż więc?
Mamy to zrobić? Póki tych co jątrzą,
Którzy buntują przeciw tobie naród,
W dłoń swą jak w kleszcze nie weźmiesz, dopóty
Spokoju w kraju nie będziesz mieć nigdy.
Trzeba ich zdusić, wybić i wyplenić!

KRÓL. Daj pokój!

ZBYLUT. Królu, możesz pożałować!

KRÓL. Daj pokój, mówię—to nic nie pomoże.

ZBYLUT. Nie nie pomoże?...

KRÓL. Zabiłem jednego
Żelazem za to, że słowem mnie ranił,
Na jego miejsce stanął zaraz drugi,
Śmiało, bez trwogi, i dotkliwszem słowem
Znów mię ugodził... I tego mam zabić?
Na co!... Zabiję ciało lecz nie słowo,
Które tymczasem jako ptak skrzydlaty
Daleki okrąg ziemi już obiegło,
Dziś już w tysiące dusz się zaszczepiło,
A jutro krociów stanie się własnością,
A późniéj całe ogarnie miliony.
Więc mam z wszystkimi walczyć, wyzabijać
Wszystkich, co przyjmą to słowo do duszy,
Co mu uwierzą? Gdybym mógł posiadać
Siłę olbrzymów i dokonał tego,
Jeszczeby nędzném było me zwycięstwo,
Bobym pozostał królem wśród pustyni.

Daj pokój, Zbylut!

ZBYLUT. Nie poznaję ciebie—
Nie jesteś, królu, tém czém dawniéj byłeś.

KRÓL. Odmianę w ludziach sprawia doświadczenie.
(*Słychać okrzyki za sceną*)

ZBYLUT (*postępuje kilka kroków i patrzy za scenę*)
Co to ma znaczyć, czy mi w oczach ćmi się?...
Spojrzyjno, królu—co widzisz?

KRÓL. Tłum szlachty –

ZBYLUT. A na ich czele?..

KRÓL. Poznaję—Żelimir!

ZBYLUT. Tak, nie inaczéj! Do tegoż więc doszło!
Łotry, przemocą wzięli go z więzienia,
Jeśli im wszystkim łbów nie poucinasz,
Źle z tobą królu!

Scena 7.

KRÓL, ZBYLUT, LASSOTA, DRUŻYNA (wchodzą) ŻELIMIR, MIROSZ, MŚCISŁAW, SZLACHTA.

ŻELIMIR (*zmierzając ku kościołowi*)
W téj najpierwszéj chwili,
W któréj znów wolném oddycham powietrzem,
Przyjm, święty mężu, hołd i cześć ode mnie.
(*pada na kolana i całuje ziemię*)
Z skruszoném sercem całuję tę ziemię,
Którą zrosiła twoja krew niewinna,
Za nasze dobro i wolność wylana.
Gdzie teraz mieszkasz, z wysokości niebios,
Spojrzyj litosném na swój naród okiem,
Orędownikiem bądź mu i patronem,
I łaskę bożą wyjednaj dla niego!

ZBYLUT (*przystępując do Żelimira*)
Wstań, buntowniku!

MŚCISŁAW. Ha, król i królewscy!

ŻELIMIR (*powstaje i powoli zbliża się do króla*)
Czy widzisz królu, jakie niezbadane
Są opatrzności rządy i wyroki?
Tyś chciał i kazał, abym zgnił w więzieniu,
Tyś mego życia i śmierci był panem,
Zguba mię tylko mogła czekać pewna—

Dziś jestem wolny, i silnym się czuję,
Bo za mną stoi zbrojny naród cały;
Ty, tak potężny przed niedawnym czasem.
Dźwigasz na sobie potępienia wyrok,
Z którego otrząść nigdy się nie zdołasz,
Który cię równa z najgorszym nędzarzem.
Rozważ to królu, niech to co się stało
Będzie nauką, przestrogą dla ciebie,
Niech cię oświéci, że po błędnéj drodze
Postępowałeś...

KRÓL. Do czego tém zmierzasz?..

ŻELIMIR. Aby wybadać, czyli naszym królem
Możesz być nadal, czyli nie...

KRÓL. Nędzniku!

ŻELIMIR. Klątwa koronę zdarła z twojéj głowy,
Jeśli na przyszłość masz ją znowu włożyć,
Musisz wprzód zatrzéć to piętno złoczyńcy,
Jakiém naznaczył kościół twą osobę,
Idź, idź do Rzymu, tam przed namiestnikiem
Chrystusa uchyl swoje grzeszne czoło,
Wyproś u niego sobie przebaczenie,
Przyrzeknij wszystkie wynagrodzić winy,
A gdy on przyjmie twój żal i twą skruchę,
Naród ci wróci tron i berło królów.

KRÓL. Nigdy, nie, nigdy!—Niebo, spadnij na mnie,
Zatrząś się ziemio pod memi stopami!
Czyliż upadłem już tak bardzo nisko,
Że ci, co winni drżéć przed moim wzrokiem,
Śmią kłaść warunki, wchodzić ze mną w targi!
To zgroza!.. Co ty mówiłeś, szaleńcze?
Bym szedł do Rzymu, ukląkł przed papieżem?...
Jeżeli Rzym jest tak wielką potęgą,
Że i najwyższe szczyty tego świata
Muszą się przed nim uchylać w pokorze;
Jeśli moc jego jest jak wściekły orkan,
Który stuletnie dęby na dół wali;
Gdy siła jego wyrównywa sile,
Z jaką się stacza oderwana skała,
I co napotka druzgocze pod sobą,
Niszczy, rozmiażdża i w proch drobny miele;
Jeżeli Rzym jest taki niezwalczony
Jak śmierć, przed którą obronić nie mogą

Ani żelazo ni z granitu zamki,
Która i wszędzie i wszystkich dosięgnie,
I całéj ziemskiéj wielkości urąga —
To Rzym mnie może zwalczyć, złamać, zmiażdżyć,
Ale na Boga! nigdy mię nie ugnie.
Mój wróg, gdy górę nade mną odniesie,
Może za gardło pochwycić mię dłonią,
Może mi usiąść na piersiach i w serce
Wepchnąć żelazo — lecz jednego słowa
O przebaczenie z mych ust nie usłyszy,
Znaku pokory w mych oczach nie ujrzy!
Błagać zwycięzcy — o, najokropniejsze
Ze wszystkich na tym świecie upokorzeń!...
Śmierć tysiąc razy, głód, nędza, zgnilizna,
Męczarnie tortur, wieczne potępienie —
Wszystko jest lepsze od téj nikczemności!

ŻELIMIR. (*do szlachty*)
Czy słyszeliście?... A więc tak być musi.
Tron Bolesława jest już opróżniony,
I kto bądź na nim, czy brat jego młodszy,
Czy syn usiędzie, on przestał być królem;
Od wszelkich względem niego obowiązków,
Od posłuszeństwa, poddańczéj przysięgi,
Jesteśmy wolni i z nich się zrzucamy.

LASSOTA (*dobywa miecza, rzuca się na Żelimira*)
Milcz, podły zdrajco!

MIROSZ (*z dobytym mieczem zasłania Żelimira*)
Stój!

LASSOTA. Co? i ty także
Po tamtéj stronie, w rzędzie buntowników,
Ty któryś służył przy królewskim boku.
Jadł chleb królewski, jego łask doświadczał —
Nędzny zmienniku, ty niewdzięczna duszo!

MIROSZ. Kochałem króla nie gorzéj od ciebie,
I Bóg mi świadkiem, jak gorzko boleję,
Że równie kochać nie mogę go dłużéj.
Większéj miłości żąda dziś ode mnie
Ten, który dla mnie stał się drugim ojcem,
A był przez króla srogo potérany;
Dziś muszę oddać téj całe me serce,
Co się omało nie stała sierotą,
Gdy wyrok króla odebrał jéj ojca,

A którą dziś już nazwałbym mą żoną,
Gdyby nie klątwa, co z jednego winy
Na wszystkich spadła. Kto oręż podniesie
Na Żelimira, kim chce niechaj będzie,
Choćby i król sam, z mym się naprzód spotka!

LASSOTA. Więc giń, jak na to zasłużyłeś, podły!

(Rzuca się na niego, kilku ze szlachty miesza się do walki; Lassota ugodzony w piersi, puszcza miecz, chwieje się; dwóch z drużyny przybiegają do niego i biorą go pod ręce).

Przeklęci zdrajcy!.. czuję raz śmiertelny...
Żegnam cię królu... umieram za ciebie...
Szczęśliwy jestem, żem choć w części spłacił....
(wyprowadzają go)

ZBYLUT. (*do drużyny*)
Hej, za mną, wiara! naprzód na tych łotrów!
Tnij, siecz, kól!.. naprzód!

MŚCISŁAW. Podłe najemniki,
Twardszy od waszych oręż wolnych ludzi!

(Obie strony uderzają na siebie. Walka. Królewscy po chwili zaczynają się cofać, Szlachta następuje na nich, tak, że scena się opróżnia i zostaje sam tylko Król).

Scena 8

KRÓL, późniéj ZBYLUT.

KRÓL. Krew się polała i bój się rozpoczął —
A we mnie serce żywiéj nie zabiło,
Jam nieruchomy i martwy, jak gdyby
Od tchnienia śmierci ta ręka skostniała.
To co się stało przechodzi mój rozum,
W możliwość zdarzeń nie mogę uwierzyć,
Jestem bez czucia, odurzony pijany!...
Co? jestże prawdą, że niejestem królem?...
W głowie się mąci, zmysły moje słabną...

(Chwiejnym krokiem zbliża się do kamienia leżącego na ziemi i siada. Wchodzi Zbylut, chowając miecz do pochwy).

ZBYLUT. Jesteś pobity, królu. Buntownicy
Rzeź z nas sprawili, a kiedy to mówię,
Już pewnie w twoim gospodarzą zamku.
(*widząc że król milczy*)
I ty nic na to? Ha, to koniec tobie
I nam wraz z tobą! Bywaj mi zdrów królu,
Nie mam co robić dłużéj w twojém państwie;
Tu inne rządy wkrótce się rozpoczną.

Pójdę w świat, pójdę gdzie oczy poniosą,
Na Ruś, na Węgry, do Hana Chazarów,
Wszędzie, gdzie żołnierz jest swobodnym panem,
Gdzie ten jest władcą, co ma oręż w dłoni.
Przegrałeś sprawę, a ja nie chcę służyć
U tego, który mnichów słuchać musi.
Żegnaj mi. — Ręki mi swojéj nie podasz?

KRÓL. (*machinalnie*) Masz ją.

ZBYLUT. Żal mi cię, królu, żal mi bardzo. (*wychodzi*).

KRÓL. Sam, opuszczony i zdradzony jestem!
Gdzież się podziała ta moja potęga?
Byłaż snem tylko?... Bo któżby ją zniszczył?...
Kto mię pokonał?... Rzym?... Lecz jaką bronią,
Jakim sposobem?.. wszakże nie widziałem
Zestępujących mu w pomoc aniołów!...
Więc tyś mię widać opuścił, o Boże!
Wiem, że przed tobą jam wielkim grzesznikiem,
I czując ciężar mych win i zdrożności,
Nie śmiem się spytać: dlaczego mnie karzesz?...
Duch mój gwałtowny, jak koń rozpętany,
Kiedym do wielkich kierował go celów,
Z prostéj mię drogi nosił na manowce,
I wrzucił w przepaść mnie i moje dzieła!...
Sam dziś, sam jestem!

Scena 9.

Król. — Krystyna, rozglądając się dokoła jakby z trwogą, weszła przed chwilą, w nędznéj sukni pokutniczéj, włos rozpuszczony, twarz ukryta. Staje przy królu, przy ostatnich jego słowach kładzie mu rękę na ramieniu.

KRÓL. (*podnosi głowę*) Ty mnie nie opuścisz!

KRYSTYNA. Przyszłam cię żegnać.

KRÓL. (*powstaje*) Co? co ty powiadasz?

KRYSTYNA. Żegnam cię królu — na wieki.

KRÓL. Krystyno,
Ty pozostaniesz przy mnie....

KRYSTYNA. Nigdy, nigdy!
Jam jest przeklęta i tyś jest przeklęty,
Wspólnictwo zbrodni skuło nasze dusze
Jednem ogniwem, aby je wybawić
Od mąk wieczystych, od piekielnéj kary
Trzeba nam stanąć na dwóch krańcach świata
Zdala od siebie, i nawet wspomnienie

Przeszłości z serc swych wymazać na wieki.
Ja w głuchą puszczę pójdę pokutować,
W poście, w modlitwie, w udręczeniu ciała
Będę żebrała u Boga litości;
A kiedy szkielet zrobi się z mych członków,
Kiedy omdlałe w dół mi wpadną oczy,
Gdy do krwi sobie wyklęczę kolana,
To może wtedy, w pustelniczéj grocie,
Dokąd głos ludzki nigdy nie dochodzi,
Zamknę nieszczęsna, ale spokojniejsza
Niż dzisiaj jestem, na zawsze me oczy.
Ty idź do Rzymu....

KRÓL. Do Rzymu!

KRYSTYNA. Idź królu!
U stóp papieża uklęknij z pokorą,
Proś przebaczenia, odpuszczenia grzechów,
I uzbrojony w jego absolucyą
Wróć do ojczyzny w majestacie króla.
Tak tylko możesz to złe wynagrodzić,
Któreś wyrządził sobie i ludowi.

KRÓL. I ty, ty także zmówiłaś się z nimi,
Nie szczędzisz dla mnie najdotkliwszych ciosów!
Téż same słowa słyszałem z ust ludzi,
Którzy nieprzyjaźń srogą ku mnie żywią,
Których zawiści jasne mam dowody.

KRYSTYNA. Kto tak ci radzi, nie jest twoim wrogiem.
Chciéj mnie wysłuchać, to ostatnia prośba,
Jaką do ciebie na ziemi zanoszę:
Idź, idź do Rzymu!

KRÓL. Przestań już, o przestań!
Takim balsamem moich ran nie zleczysz,
Choćby w nim była najmądrzejsza rada.
We mnie jest serce rozdarte, skrwawione,
Któremu innéj potrzeba pociechy.
Patrz, ja sam jeden na tym wielkim świecie,
Wszystko i wszyscy naprzeciw mnie stoją,
Po mojéj stronie ani żywéj duszy.
Duma uleczyć może klęskę króla,
Wzgarda mi może starczyć za zwycięztwo,
Lecz na tę boleść, którą człowiek czuje,
Gdzie znajdę leki, jak nie w drugiem sercu?
(*chce ją ująć za rękę*)

Pozostań przy mnie, choć ty jedna zostań!

KRYSTYNA. (*cofając się*)

Nie mogę — wola Boga się sprzeciwia!

KRÓL. I ty litości nie masz nad mym bólem?..

KRYSTYNA. Bóg ją mieć będzie! — Idź, królu, do Rzymu!

(Oddala się spiesznie, potém staje, patrzy z uczuciem na króla, który zwiesiwszy głowę stoi pognębiony, i robi w powietrzu znak krzyża; wychodzi).

AKT V.

Ossyak w Karyntyi. Okolica górska i lesista. W dalekiéj perspektywie widać część klasztoru. Część bliższa widzów tworzy szeroki wąwóz, którędy prowadzi droga.

Scena 1.

Kilku wieśniaków Karynckich, stoją na małym pagórku i patrzą za scenę w kierunku drogi. Zdaleka słychać przytłumiony śpiew).

1-y WIEŚNIAK. Tu się zbliżają, już minęli potok.

(*wchodzi inny wieśniak*)

1-y WIEŚNIAK (*do przybyłego*)

Kumie Tomaszu, idziesz z tamtéj strony,
Może nam powiesz, co za obcy ludzie
Do wsi przybyli.

PRZYBYŁY WIEŚNIAK. Pielgrzymi. Jak zwykle,
Przez nasze góry Karynckie ich wiedzie
Najprostsza droga, gdy idą do Rzymu.

1-y WIEŚNIAK. A skądże oni?

PRZYBYŁY. Zdaleka. Jak mówią
Z Polski, co leży gdzieś na wschodzie słońca.

1-y WIEŚNIAK. Duża gromada musi być?

PRZYBYŁY. Dość spora.
I wszystko widać jacyś ludzi znaczni;
Znać im po sukniach, a więcéj po minie,
Że to panowie, nielada osoby.
Lecz patrzcie, ojciec Ambroży z klasztoru
Także tu idzie.

1-y WIEŚNIAK. Pójdźmy go powitać.

(*wieśniacy schodzą z pagórka*)

Scena 2.

Wieśniacy. — O. Ambroży, wchodzi od strony klasztoru.

ZAKONNIK. Niech będzie Jezus Chrystus pochwalony.

WIEŚNIACY. Na wieki wieków! (*witają się z nim*)
ZAKONNIK. Pozdrawiam was, dzieci.
A cóż? nowego coś nam Pan Bóg zdarzył,
Mamy pielgrzymów.
1-y WIEŚNIAK. Już to wiecie ojcze?
ZAKONNIK. Wiem, wiem. Z klasztoru ktoś z naszych zobaczył,
Śpiew nas doleciał w jakiejś obcéj mowie,
I naprzeciwko nich idę powitać,
Gościnność w naszych ofiarować murach.
Ochotném sercem należy wędrowca
U siebie przyjąć i trud mu osłodzić,
Bo każdy, który nie jest pod swym dachem,
Wiele niewygód i przykrości znosi.
1-y WIEŚNIAK. Do takich posług wyście zawsze chętni.
ZAKONNIK. Pan Jezus kazał kochać nam się wzajem,
I nic nad miłość świętszego na świecie.
Wy także dzieci, jak który podoła,
Okażcie swoję życzliwość pielgrzymom.
Może i biedni są pomiędzy nimi,
Dla których chleba kawałek, łyk wody,
Na pęku słomy chwila odpocznienia
Jest dobrodziejstwem. Bóg wam to nagrodzi!
WIEŚNIAK. Pójdziemy ojcze za twą świętą radą.
ZAKONNIK. Otóż i oni. Bóg z wami pielgrzymi!
(*wznosi rękę na znak powitania*)

Scena 3.

Wieśniacy, Zakonnik, wchodzi głębią Procesya Pielgrzymów, suknie ich nawpół pokutnicze nawpół podróżne, u niektórych różańce u pasa albo w rękach. Pomiędzy Pielgrzymami są: Mścisław, Mirosz, Domarad. Na czele, z chorągwią w ręku, na któréj z jednéj strony wymalowany krzyż, na drugiéj św. Piotr z kluczami, postępuje Żelimir. Pielgrzymi śpiewają dopóki z góry nie zejdą na scenę i nie zrównają się z obecnymi

PIEŚŃ PIELGRZYMÓW.

Wierne sługi i dzieci kościoła
Pośpieszajcie zbliska i zdaleka,
Pod znak krzyża Chrystus Pan was woła,
Pod tym znakiem zwycięztwo was czeka.

ŻELIMIR (*gdy pieśń umilkła i Pielgrzymi stanęli, opierając chorągiew o ziemię*) Tutaj wytchniemy. Patrzcie, tam pod górą
Bieli się sławny Ossyacki klasztór,
Benedyktynów cnotliwych siedziba.

Takiego miejsca nie godzi się mijać,
Nie pochyliwszy w nim głowy przed Panem.

ZAKONNIK. Witajcie w Bogu świątobliwi goście!

ŻELIMIR. (*zdejmując czapkę*)
Za dobre słowo dzięki wam serdeczne.

ZAKONNIK. Jestem zakonnik tego tu klasztoru,
Ojciec Ambroży. Ksiądz przeor mię wysłał,
By was powitać imieniem zakonu,
I być pomocnym, gdy zajdzie potrzeba.
Skądkolwiek Bóg was do nas przyprowadził,
Skoro idziecie pod godłem zbawienia,
Braci i miłych witamy w was gości.

ŻELIMIR. Waszymi braćmi jesteśmy w Chrystusie,
Droga nas wiedzie z dalekiego kraju,
Z nieszczęsnéj Polski... pewnie słyszeliście?...

ZAKONNIK. Któżby nie słyszał!... tak, wiemy, niestety!
Ojca świętego dotknął was gniew ciężki...

ŻELIMIR. Tę dłoń, co słuszną wymierzyła karę,
Idziemy teraz w pokorze przebłagać,
By nas zwolniła od klątwy ciężaru.

ZAKONNIK. Święty wasz zamiar! Niechaj was szczęśliwie
Do tego celu Pan Bóg doprowadzi.
Tymczasem naszę przyjmijcie gościnność,
Na co nas stanie, czém możemy służyć
Ofiarujemy wam z całego serca —
Dla wszystkich stoją nasze drzwi otworem.

ŻELIMIR. Bóg zapłać, ojcze, za gorliwe chęci,
Lecz tu popasać nie możemy długo,
Chwila wytchnienia — no, i daléj w drogę!
Bo jeszcze mamy duży świat przed sobą.

ZAKONNIK. Lecz sił oszczędzać trzeba w długą podróż.

ŻELIMIR. Bóg sił dodaje i krzepi nam ducha,
Skoro u celu widzimy nadzieję
Spełnienia naszych najgorętszych pragnień.
Jam już dość stary, od was mało młodszy,
Choć u was broda jak śnieg biała, jednak
Jeszcze mi noga ni raz nie zadrżała,
Na chwilę w piersi tchu mi nie zabrakło,
Chociaż zrobiłem już sto mil od domu.

ZAKONNIK. Odwiedźcie choćby nasze skromne progi,
By po was jakaś pamięć pozostała,
Zobaczcie klasztór, zmówcie pacierz jeden

W naszym kościele.

ŻELIMIR. Bez tego, mój ojcze,
Ztąd nie odejdziem. W każdém świętem miejscu
Składamy modły przed Panem Zastępów,
By miłosierdzie jego wykołatać.
Więc zgiąć kolano przed waszym patronem
Jest dla nas także świętym obowiązkiem.
Prowadź nas, ojcze. (*do Pielgrzymów*)
Kto nie zbyt strudzony,
To proszę za mną. Kto pragnie spoczynku,
Niechaj go szuka w téj dolinie, albo
W gościnnych chatach tych poczciwych ludzi.
Chorągiew naszę zatykam w tém miejscu,
Tu zbór nasz będzie, tu się zgromadzicie.
Na dane hasło, by wyruszyć daléj.

ZAKONNIK. Tą ścieżką droga krótsza o połowę.

(Zakonnik, z nim Żelimir, Mirosz i kilku innych odchodzą ku klasztorowi).

WIEŚNIAK. (*do pozostałych Pielgrzymów*).
Za tym pagórkiem zaraz nasze chaty,
Tam w cieniu lepiéj sobie odpoczniecie.

(Reszta pielgrzymów odchodzi z wieśniakami, zostają tylko Mścisław i Domarad).

Scena 4.

MŚCISŁAW. — DOMARAD.

MŚCISŁAW. I ty zostałeś?

DOMARAD. Dla mnie pokrzepieniem
Najlepszém, kości wyciągnąć na słońcu,
I mieć spokoju chwilę. (*siada na murawie*)

MŚCISŁAW. Ah, spokoju!...
Jak trudno nieraz mieć chwilę spokoju —
Jam go oddawna już nie zakosztował.

DOMARAD. Biedny Mścisławie!

MŚCISŁAW. Patrzaj na mnie stary,
Wszak to dopiero jest dwa lata temu,
Jak Pan Bóg zesłał na mnie to nieszczęście,
A jam postarzał się o lat trzydzieści.
Jak kość wychudłem, pożółkłem, zczerniałem,
Troska wyjadła mi siły żywota,
Wypiła ze mnie wszystkie soki ciała,
I teraz chyba żywi się mém sercem,
Póki to jeszcze w piersiach się kołacze.

DOMARAD. O swéj Krystynie nie możesz zapomnieć?
MŚCISŁAW. Nie mogę. Na nic wszystkie me wysiłki,
Aby ją wydrzéć z pamięci. Wciąż stoi
Mi przed oczyma, jak widmo ofiary
Przed wzrokiem zbrodnia. Gdziem ja jéj nie szukał,
Gdziem ja nie bywał, żeby ją odnaléźć!
Toż w całéj Polsce niema pewnie kąta,
Gdziebym nie zajrzał, o nią się nie spytał.
DOMARAD. Może umarła!
MŚCISŁAW. O, nie mów mi tego!
Nie, ona żyje, musi żyć. Posłuchaj,
Mnie coś zabłysło jak promień nadziei,
Mnie się wydaje, żem ja ją już widział.
DOMARAD. I gdzież to było, kiedy ją widziałeś?
MŚCISŁAW. W czasie téj drogi.
DOMARAD. Próżne przywidzenie.
MŚCISŁAW. Czy uważałeś tę kobietę, która
W karpackich kniejach z nami się złączyła?
Gdzie? skąd i po co? nikt o tém nie wiedział,
I pokutnicza tylko na niéj suknia.
Pokazywała, że to jest istota,
Któréj iść z nami do świętego miasta
Kazała skrucha lub wyrzut sumienia.
DOMARAD. Nie, nie widziałem nigdy téj kobiety.
MŚCISŁAW. Być łatwo może. Od owego czasu
Szła ciągle w tropy za naszemi ślady,
Ale zdaleka, zawsze sama jedna,
Nigdy z swéj twarzy nie zdjęła zasłony,
Nie przemówiła do nikogo słowem,
A jeśli kto ją zaczepił, na migi
Odpowiadała, jakby niemą była,
Lub naszéj mowy rozumiéć nie mogła.
Ja także chciałem chociaż jeden wyraz
Z jéj ust usłyszéć, bo kiedym ją ujrzał
Raz pierwszy, zaraz tknęło mię przeczucie,
Że to Krystyna. Ale się napróżno,
Kusiłem o to przy każdéj zręczności,
Nic nie odrzekła, nie zdała się słyszéć,
I uciekała ode mnie co prędzéj.
DOMARAD. To przywidzenie. Nigdyś jéj nie widział,
Nie słyszał głosu jéj, skąd możesz wiedzieć,
Że to jest ona.

MŚCISŁAW. Serce tak mówiło!
I ja nie mylę się, przysięgnę na to.
W mojéj pamięci każdy ruch jéj ciała,
Jéj wzrost, jéj postać tak mocno się kreślą,
Że mi na jednym słabym znaku dosyć,
Abym ją odgadł nawet pod zasłoną.
Wcześniéj czy późniéj muszę się przekonać,
Muszę ją skłonić do wyznania prawdy,
Lub może ona sama to uczyni,
Bo i w to wierzę, iż do pewnéj pory
Ślub jaki wiąże jéj usta milczeniem.

DOMARAD. Bodaj się twoje przeczucie spełniło,
Życzę ci z duszy, bo wiem, jak ci bardzo
Do szczęścia ona potrzebna na świecie.
Za czém oglądasz się?

MŚCISŁAW. Czy jéj nie ujrzę,
Czyli jak zwykle nie dąży samotna
Za naszą rzeszą. Nie, nie ma jéj dotąd.

Scena 5.

Ciż sami (wbiega) PASTUSZEK.

PASTUSZEK (*zobaczywszy obcych, staje jakby zatrwożony i zdejmuje kapelusz*)
Co to za ludzie? jeszczem w swojem życiu
Takich nie widział.

DOMARAD. Czego szukasz, chłopcze?
Nie bój się, obcy lecz nie źli jesteśmy.
Przybliż się śmiało.

PASTUSZEK. (*d. s.*) Mają jakąś mowę,
Którą rozumiem, chociaż nie jest nasza,

DOMARAD. Czego chcesz, powiedz.

PASTUSZEK. Darujcie panowie,
Ja w pilnéj sprawie biegnę do klasztoru,
Do poczciwego ojca Ambrożego,
Co opiekunem jest sierot i biednych.

DOMARAD. Był tu niedawno. Lecz patrz, Bóg ci szczęści
Bo oto wraca tutaj z swymi gośćmi.

Scena 6.

MŚCISŁAW, DOMARAD, PASTUSZEK, (wchodzą) ŻELIMIR, ZAKONNIK, MIROSZ i kilku PIELGRZYMÓW.

ZAKONNIK (*wchodząc do Żelimira*)

Chcecież już odejść...

ŻELIMIR. Czas nam. Gdyby można
Chciałbym na skrzydłach dolecieć do Rzymu,
I ta gorączka wprzód mię nie opuści,
Aż u bram stanę papieskiéj stolicy.
(*obracając się do swoich*)
Dajcie znak, niech się schodzą towarzysze.

(Odzywają się małe dzwonki. Na to hasło w czasie następującéj rozmowy schodzą się w mniejszych i większych gronach Pielgrzymi, a z nimi przychodzi i kilku Wieśniaków)

PASTUSZEK (*zbliża się do Zakonnika*)
Ojcze Ambroży, do was tu przybiegłem.

ZAKONNIK. Co? co się stało!.. widzę z twojéj twarzy,
Coś niedobrego... cóż?

PASTUSZEK. Ten obcy człowiek,
Któremu tyle świadczycie dobrodziejstw,
Jest bardzo chory...

ZAKONNIK. Boże!.. Biedaczysko!

PASTUSZEK. Leży na ziemi jak martwy, zaledwie
Mówić już może. Prosił mię na Boga,
Abym szedł po was i przywiódł do niego.

ZAKONNIK. Pośpieszę zaraz, zaraz. O nieszczęsny,
Może to straszny koniec jego cierpień!
(*zwraca się do Żelimira*)
Szlachetny panie, wstyd mię, żem zapomniał
O tém powiedzieć, co się należało.
Ten biedny człowiek, o którym słyszałeś,
Jak się domyślam, jest waszym rodakiem.

ŻELIMIR. Cóż to za jeden?

ZAKONNIK. Nie umiem objaśnić,
Lecz urywane słowa, które czasem
Z ust w zapomnieniu mu się wydobędą,
Albo gdy myśli, że go nikt nie słyszy
Podobne brzmienie mają z waszą mową.
Nazwiska swego nigdy nie wyjawił,
Nie chciał się przyznać skąd, dlaczego przyszedł?
Lecz z całéj jego postaci widoczna,
Że musiał niegdyś być znaczną osobą.
Ruchy wspaniałe, twarz jego szlachetna,
Chociaż niedola nędzną ją zrobiła,
W całém obejściu, mimo że los dawno
Poniżył wszystko, co było w nim wielkie,

Znać, że ten człowiek przywykł rozkazywać,
I mało równych miał sobie w przeszłości.

ŻELIMIR. To mię zadziwia, Nie słyszałem nigdy,
Aby ktoś z naszych wysokiego rodu
W taki stan popadł, i na obcéj ziemi
Tułaczy żywot pędził, a znam przecie
Wszystkie zamczyska i szlacheckie dwory.
Ile ich tylko w całéj Polsce mamy.
Jakże już dawno ten człowiek tu bawi?

ZAKONNIK. Dwa lata temu prawie upłynęło,
Jak do nas przybył...

ŻELIMIR. Dwa lata, powiadasz?.. (*uderzony jakąś myślą*) Tak, toby mogło być...

ZAKONNIK. I osiadł w lesie,
Zajął lepiankę opartą o skałę.
Która ruiną zaczęła już grozić,
I przez pasterzy była opuszczoną.
Nosił drwa do wsi, czasem do klasztoru,
I tém zarabiał na swe wyżywienie,
Lecz od niedawna zabrakło mu siły.
Zaczął słabować, odtąd litość ludzka
Broni go tylko od głodowéj śmierci.
O, nieszczęśliwy to nad wyraz człowiek,
Bo więcéj jeszcze niźli srogość nędzy,
Zdaje się trapić go walka wewnętrzna.
I jakieś straszne wspomnienia z przeszłości.

ŻELIMIR. Człowieka tego ja muszę zobaczyć,
Ciekawość moję rozbudziłeś, ojcze,
I jeśli domysł mój byłby prawdziwy...

ZAKONNIK. Czekajcie tutaj. Umyśliłem sobie,
Że będzie lepiéj, kiedy do klasztoru
Tego biedaka ze sobą zabiorę.
W jego lepiance ciemność i zgnilizna,
Lepiéj téż będę mógł go dopatrywać,
Jeśli go blisko będę mieć pod ręką.
(*do Wieśniaków*) Poczciwi ludzie, któż z was ma ochotę
Przenieść go ze mną? dwóch lub trzech wystarczy.

WIEŚNIAK. Na wasze słowo każdy z nas gotowy.

ZAKONNIK. Więc pójdźcie ze mną, a wy tu panowie
Czekajcie chwilę, wrócimy z nim razem.

(Zakonnik, Pastuszek i kilku Wieśniaków wychodzą).

Scena 7.

ŻELIMIR, MIROSZ, MŚCISŁAW, DOMARAD, PIELGRZYMI (w końcu) KRYSTYNA.

ŻELIMIR (*do Mirosza, Mścisława i Domarada będących najbliżéj niego*)
I cóż wy na to?.. słyszeliście wszystko...

MIROSZ. Boję się panie, bym się nie domyślał
Więcéj niż trzeba, choć o ile sądzę,
W tém przypuszczeniu spotykam się z tobą.

ŻELIMIR. Tak, wszystko zgadza się: opis osoby,
Czas, tajemnica, którą się osłania
I pochodzenie. Z drugiéj znowu strony,
Wszakże nikt w kraju nie wie i nie słyszał,
Gdzie on się podział, gdzie znalazł schronienie,
Czy jeszcze żyje. A przecież podobny
Do niego człowiek nie ginie jak kamień
Rzucony w wodę.

DOMARAD. Wielkie sądy boże!
Miałbyż to on być w takiem poniżeniu,
Z szczytu wielkości spaść na dno nieszczęścia!

MŚCISŁAW. Wielkość kar idzie za wielkością zbrodni,
Choć są i ludzie co cierpią bez winy.
Ja podziwiałbym sprawiedliwość bożą,
Gdybym zobaczył jego w tym nędzarzu.

ŻELIMIR. Dobrze powiadasz; jeśli się nie mylim,
To dzieło boskie ujrzymy przed sobą,
Dzieło obfite i w skutki na przyszłość.
Bo nie napróżno Bóg go tak poniżył,
I nie bez celu, kiedy my dążymy
Do bram Piotrowych, w drogę nam go zesłał.
Czego uczynić nie miał przedtém chęci,
Gdy blask korony podniecał w nim dumę,
To dziś, gdy w prochu jego dawna wielkość,
Gdy próżność, pychę nędza w nim zabiła,
Spełni z ochotą. My tego grzesznika
Doprowadzimy pod stopy papieskie,
A gdy się w skrusze i żalu ukorzy,
Dając ze siebie nowy przykład światu,
Co może boska i kościoła władza,
Będzie to wielki tryumf naszéj sprawy,
Większy, niżeli marzyć było można.—
Nie widać jeszcze— chciałbym go już ujrzéć.

(Wszystkich uwaga zwrócona za scenę. Chwila milczenia. Wchodzi Krystyna niespostrzeżona przez innych. Na widok Pielgrzymów zatrzymuje się w głębi i usiada bezwładnie pod drzewem opierając o jego pień głowę.)

KKYSTYNA (*d. s.*) Ze sił opadam — mdło mi, ledwie czuję,
Że jeszcze żyję... Bylem się dowlokła
Do mego celu, bylem rozgrzeszenie
Z mych win dostała... a umrę z ochotą,
O daj mi, Boże, tyle wytrwałości,
Wzmocnij me ciało, aby jego słabość
Na wieki duszy mojéj nie zgubiła!

ZAKONNIK (*za sceną*)
Już niedaleko, miéj cierpliwość bracie.
Na tym pagórku chwilę odpoczniemy.

Scena 8.

Ciż sami. Wchodzi Zakonnik, za nim Wieśniacy wprowadzają Króla i sadzają go na pagórku. Odzież jego nędzna, nawpół wieśniacza, na wpół pustelnicza. Głowa odkryta, włosy i broda długie i w nieładzie. Reszta obecnych zostaje w głębi w pewném oddaleniu.

KRÓL. Lepiéj mi tutaj, miałeś słuszność, ojcze,—
Więcéj tu słońca i więcéj powietrza,
Ah! lżéj oddycham.

ZAKONNIK. Tylko nie rozpaczaj,
Nie wątp o sobie, wszystko będzie dobrze,
W wygodnéj celi klasztornéj odzyskasz
Stracone siły przy mojéj pomocy,
Za łaską Boga.

KRÓL. Nie myślę o życiu,
Czuję, jak w piersiach młot śmierci kołacze,
I niezadługo rozbije w kawałki
Mojego ciała zwątlałą budowę.
Nie na ratunek życia cię wzywałem,
Ono zbyt marne i dla mnie tak ciężkie!
Dla duszy chciałem od ciebie pociechy.

ZAKONNIK. Bóg ci ją ześle może w większéj mierze
Niż się spodziewasz. Nieszczęsny człowieku,
Dożyłeś dzisiaj tego dnia radości,
Że oddalony od drogiéj ojczyzny,
Możesz zasłyszéć swą rodzinną mowę,
Swoich rodaków zobaczyć oblicze.
Jest ich tu wielu i pragną cię widziéć...

KRÓL (*gwałtownie*)
Nie chcę!... Ja nie mam rodaków, ojczyzny
Ja żadnéj nie mam... ja jestem włóczęga
Bez ziemi, kraju, rodziny, ogniska!
Nie mam nikogo w całym wielkim świecie,
Ktoby mnie kochał lub był dla mnie drogi.
Wolę te skały widzieć, te konary
Martwych drzew, niźli nowe twarze ludzkie.
Jeżeli jest kto, co kłamie przed tobą,
Że jedna ze mną wydała go ziemia,
Powiedz mu, że jest w błędzie, że się łudzi,
I niech się do mnie nie zbliża.... ja nie chcę
Widzieć nikogo... O, błagam cię o to
Tych obcych ludzi oszczędź mi widoku!

ZAKONNIK. Dobrze, już dobrze. Nazbyt się unosisz,
To ci zaszkodzi, szanuj swoje zdrowie.

(Oddala się nieznacznie od Króla i zbliża do Żelimira, mówi do niego po cichu i pokazuje gestami na króla)

ŻELIMIR. Co powiadasz, utwierdza mój domysł.
Ty niewiesz, jaka wielka tajemnica
Pod tym łachmanem ukrywać się może,
I jaki straszny przykład sądów bożych
Masz przed oczami. Cokolwiek się stanie,
Ja muszę spojrzéć w twarz tego człowieka.

(Zbliża się szybko do Króla, za nim kilka kroków naprzód robią Zakonnik, Mirosz, Mścisław i Domarad)

ŻELIMIR (*staje przed Królem, spogląda na niego bystro i woła*)
Król!

ZAKONNIK. Co? Król?..

MIROSZ. To on!

DOMARD. To Król!

MŚCISŁAW. Król! król!

KRYSTYNA (*podnosząc się*) Co? co ja słyszę?.. Król tutaj!
(*powstaje i zbliża się trochę naprzód*)

ŻELIMIR (*do Króla*) To on jest!
Człowieku, który pod suknią nędzarza
Ukrywasz przeszłość świetną i stan wielki,
Powiedz otwarcie i wyznaj przed nami,
Żeś to ty, który byłeś naszym królem.

KRÓL (*milczy, jakby nie rozumiał co do niego mówi*)

MIROSZ. Chociaż twe rysy zniszczone niedolą,
My poznajemy w nich dawnego władcę,

Nie taj przed nami swego pochodzenia,
Bo nas do pytań nie próżna ciekawość,
Ale współczucie nad twym losem skłania.

KRÓL (*milczy*)

DOMARAD. Panie, czy dawnych sług swych nie poznajesz?
Jabym z radością całował twą rękę,
Gdybyś do tego słowem mię ośmielił.
Spojrz na nas, myśmy jednéj matki syny,
Twojego niegdyś sławnego królestwa.

KRÓL (*ciągle milczy*)

MŚCISŁAW. Próżno się hardem pokrywasz milczeniem.
Choćbyś tysiące innych zaćmił oczu,
Wzrok nienawiści rozpozna twą postać
Pod tym łachmanem, tak dobrze jak wtedy
Kiedyś królewską pysznił się purpurą.
Wiemy kim jesteś, i widzimy jawnie,
Jak nasze krzywdy Bóg na tobie pomścił.
Cóż? nic nie mówisz?... Nawet ostre żądło
Mych wrogich uczuć nie zbudziło ciebie.

ZAKONNIK. Dajcie mu spokój, miejcie litość nad nim
Wszak znać, że w nim już zamarły wszelakie
Światowe żądze, nadzieje i chęci—
On tylko pragnie umierać spokojnie.

KRYSTYNA (*na którą inni nie uważali, zbliżywszy się do króla klęka przy nim, całuje go w rękę i mówi cichym głosem*)
Toś ty jest, królu!..

KROL (*który teraz dopiéro ją spostrzegł, zwraca się do niéj szybko*)
Co za głos słyszałem!
(*zrywa jéj spazmatycznym ruchem zasłonę i wybucha głośno*)
Nie omyliłem się—to ty, Krystyno!
(*Krystyna łkając zakrywa twarz rękami*)

MŚCISŁAW (*d. s.*) To ona!.. dzięki ci za to, mój Boże!

ŻELIMIR. Poznał ją! (*do króla*) Zatém przemówiłeś wreszcie,
I tém przyznałeś, kim jesteś w istocie.

KRÓL. Tak, tak, tym jestem co był waszym królem.

ŻELIMIR. Jakim sposobem znalazłeś się tutaj
W tak nędznym stanie, w tak odległych krajach?

KRÓL. Ha, więc potrzeba z ran najboleśniejszych
Odrywać znowu skrzepłe powijaki!...
Kiedym się tułał po karpackich górach,
Sam, unikając ludzi, by ich litość
Nową mię jeszcze nie okryła hańbą,

W chwili słabości, kiedy siłę ducha
Zniszczyły we mnie rozpacz i zwątpienie,
Gdym się wił w złości nad swoją niemocą,
I nie zapomniał jeszcze tak niedawnéj
Mojéj świetności, przyszła na mnie straszna,
Straszna pokusa!.. Jakiś duch podszepnął,
Za pokłon w Rzymie aby sobie kupić
Dostatki, wielkość, potęgę—i zemstę.
I na południe wybrałem się w drogę;
Chciwość i żądza gnały mnie z pośpiechem,
Jakby szalony bez tchu przebiegałem
Przez wsie i miasta, przez góry i rzeki,
Nie dając sobie czasu do rozwagi,
Na wpół przytomny a nawpół bez zmysłów.
Tak się dostałem aż tutaj...

ŻELIMIR. Bóg z tobą!
A więc nas odtąd jedna droga czeka.
Tam, gdzieś podążał, pójdziesz wspólnie z nami.

KRÓL. Gdzież wy idziecie?..

ŻELIMIR. Do Rzymu. Ojczyzna
Dwa przeszło lata jęcząca pod klątwą
Ojca świętego, bez pociech religii,
Bez nabożeństwa, łaski sakramentów.
Do papieskiego wysłała nas tronu,
Abyśmy przed nim ugiąwszy kolana
Wyprosić mogli zdjęcie interdyktu.
Patrz, ilu znacznych miała Polska mężów,
Co w niéj błyszczało cnotą albo rodem,
To wszystko ze mną śpieszy poza Alpy,
By ze czcią klęknąć przed Piotra następcą,
I łaskę jego dla kraju wybłagać.

KRÓL (*cichym głosem*)
Więc tak musiało być!.. i naród cały
Czyni, com jeden ja uczynić nie chciał...
Biedne królestwo, depczesz swój majestat,
Którego sławę pragnąłem ratować
Takiém cierpieniem i zaparciem siebie.
(*spuszcza głowę na piersi*)

ŻELIMIR. Dla większéj wagi naszego poselstwa,
By papież wiedział, że o co błagamy
Zgodne jest z chęcią naczelnika kraju,
Pokorne pismo niesiemy od księcia...

KRÓL. Od księcia?... czemu nie króla?..

ŻELIMIR. Koronę
Przez twoję zbrodnię straciła ojczyzna,
Kościół odmówił swego namaszczenia
Następcy tego co był świętokradcą.

KRÓL. Któż waszym księciem jest?

ŻELIMIR. Brat twój Władysław.

KRÓL. A syn mój?..

ŻELIMIR. Jeszcze za młody do rządów,
Trudno mu było powierzać stér państwa...

KRÓL. I był mym synem! Nie tłómacz mi daléj...
Wy w swoich celach jesteście wytrwali.
Na piędź z wytkniętéj nie schodzicie drogi!
Wszak powiedziano tam na kartach pisma:
W dziesiątem będę karać pokoleniu
Występki ojców... mój grzech spadł na niego!
Żyjeż on chociaż?...

ŻELIMIR. Żyje...

KRÓL. Przy swym stryju?

ŻELIMIR. Nie, na węgierskim teraz bawi dworze.

KRÓL. Na obcéj ziemi—tak jak ja wygnaniec!
A jego matka?

ŻELIMIR. Królowa umarła,
Przebyte troski zawczas ją zabiły.

KRÓL. Biedna! ofiarą był jéj żywot cały!—
O, tyle wieści słyszałem od ciebie
Bolesnych sercu, krwawiących mi duszę,
A jednak, chociaż niedaleki grobu,
Gdzie obojętném i zimném się staje
Wszystko, co drogie było nam za życia,
Nie mogę myśli spragnionéj oderwać
Od ukochanéj ojczyzny obrazu.
Widzę ją, widzę przed sobą w wspomnieniu,
Tęsknota w cudne ubiera ją barwy,
A łzy, co cisną się do méj powieki
Brylantowemi ją stroją blaskami.

ZAKONNIK. Królu, wzruszenie zbyteczne powstrzymaj!

KRÓL (*do Żelimira*) O mów mi o niéj, léj do mego ucha
Niebieską rosę z mych rodzinnych łanów!
Czy me królestwo jest teraz szczęśliwe,
Czy ma pomyślność, sławę u sąsiadów,

Czy brat mój godnie dzierży przodków berło?

ŻELIMIR. Panuje w Polsce teraz ład i spokój,
Szlachta i chłopstwo są zadowolnieni,
Bo ich nie gniotą podatki i wojny.
Książę dla zgody z pierwszemi rodami
Monarszéj władzy ulżył nam ciężaru,
I z sąsiadami ukoił niesnaski,
Dawne kłopoty ułagodził z Węgrem,
Rusi odstąpił zdobyte krainy.

KRÓL. Dość, dosyć tego!.. miéj nade mną litość!
Gdybym już umarł, twe okrutne słowa
Jeszcze i w grobie by mnie poruszyły.
Wszystko runęło, co ja zbudowałem,
Całe me dzieło w proch się rozsypało,
Pamiątka po mnie nie została żadna!
To jest najsroższa z kar: widzieć, jak ciężką
Naszych rąk pracę zjada ząb zniszczenia.

ŻELIMIR. Przyszłość jedynie w mocy jest człowieka,
I tylko ona otwiera mu pole
Czynienia dobrze. Co się stało, tego
Cofnąć napowrót nikt z nas nie jest zdolny.
Słuchaj mię zatém. Bóg chciał ci widocznie
Zesłać sposobność, abyś chociaż w części
Mógł wynagrodzić coś złego uczynił,
Kiedyśmy dzisiaj ciebie tu spotkali.
Ja w tém wskazówkę widzę jego woli,
Która powiada: pójdź z nami do Rzymu...

KRÓL. Czego ty żądasz ode mnie!...

ŻELIMIR. Zbierz siły
Choćby ostatnie, i pójdź razem z nami
Przed apostolską uklęknąć stolicą.
To będzie lepsze zadość uczynienie
Niźli najsroższa pokuta w tych lasach,
Dopiero wtenczas będzie mógł powiedzieć
Nasz ojciec święty, że za swą obrazę
W przystojny sposób został przebłagany.
Jeżeli ciebie, którys sam był sprawcą
Wszystkiego złego, u swych nóg zobaczy.

KRÓL. Idźcie wy sami, gdzie iść macie wolę—
Ja tu zostanę.

ŻELIMIR. Pomnij, że tym czynem
Grzechów i zbrodni zyskasz przebaczenie,

Od potępienia duszę uratujesz!

KRÓL. Widziałżeś większą od mojéj pokutę?
Dość wycierpiałem, i za moje winy
Bóg mi policzy pewnie me boleści.

ŻELIMIR. Papież ci może powrócić koronę,
Zwłaszcza że dotąd jeszcze twój następca
Ręką kościoła nie jest poświęcony.
Przez odrodzenie duchowe, z nędzarza
Znów zmartwychwstaniesz potężnym mocarzem!

KRÓL. Za jakąż cenę?!..

ŻELIMIR. Za jednę łzę skruchy,
Za posłuszeństwa jeden znak widoczny.
Kościół dla grzesznych litościwą matką...

KRÓL. Daj mi umierać takim jakim żyłem.
Raz już téj strasznéj uszedłem pokusie,
Gdym jeszcze żywił nadzieje na świecie,
Dziś już mi tylko jedno pozostaje—
Grób nieskalany! (*powstaje z wysileniem*)
Cóż ty chcesz ode mnie!
Abym się zaparł méj całéj przeszłości,
Bym pokonany i w proch powalony
Błagał litości u nóg przeciwnika,
I jemu oddał dobrowolnym łupem
To jedno, co mi zostało—mą godność!
Czego pragniecie, czego chcecie więcéj?
Waszym tryumfem rozbrzmiewa świat cały,
Wobec was jestem mniéj niźli ten pyłek,
Co niewidzialny ulata w powietrzu.
Przy was jest siła, potęga, pomyślność,
Po waszéj stronie sprawiedliwość boska,
Wy swoje prawa nakładacie światu,
Za waszym głosem idą miliony!
A ja!... me imię nawet zohydzone.
Oddane ludziom na wzgardę, na postrach
Jako szaleńca i przeklętéj duszy!
Com kiedy zrobił, to dziś potępione
I przeznaczone na pastwę zniszczenia
I niepamięci—com czuł, o czem myślał,
Napiętnowane znamieniem występku,
Do niepoznania przez fałsz odmienione!
Wyście zwycięzcy! tryumfujcie głośno,
Nad mym upadkiem śpiewajcie: Hosanna!

Bierzcie w swe ręce panowanie świata—
Mój duch wam tylko w jarzmo się nie odda,
Ja zwyciężony zamknę w głębi piersi
Wszystek ból, żałość, gorycz i cierpienie,
I.... (*upada na ziemię*)

ZAKONNIK. Wielki Boże! to mogło go dobić!

ŻELIMIR. Więc nie chcesz?...

KRÓL (*słabym głosem*) Nie, nie!

ŻELIMIR. Z nami zatém koniec.
Nie mam ni słowa więcéj do mówienia.
W uporze swoim zostań zatwardziały,
Wié Bóg, żem pragnął szczerze twéj poprawy.—
My w swoję drogę idźmy towarzysze,
Dokonywajmy świętego zamiaru.
(*idzie do miejsca gdzie zatknął chorągiew*)
Biorę znów do rąk nasz sztandar pielgrzymi,
Ruszajmy w pochód do zdroju łask bożych,
Daléj do Rzymu za tym świętym znakiem!
(*Pielgrzymi gromadzą się w głębi koło Żelimira i szykują do pochodu*)

DOMARAD. Pozwól mi królu, pewnie raz ostatni,
Do ust swą rękę przycisnąć.

MIROSZ. Mnie także,
Nieszczęsny królu! (*całują rękę Króla i odchodzą do innych Pielgrzymów w głąb*)

ZAKONNIK. Jak się czujesz, panie?

KRÓL. Jak bliski końca.

ZAKONNIK. Uspokój się tylko,
Te nowe ciosy wstrząsnęły cię mocno,
Lecz ze wzruszeniem i niemoc przejść może.

MŚCISŁAW (*który dotychczas zatrzymał się na przodzie sceny, patrząc czyli Krystyna nie pójdzie, zbliża się do niéj*)
Chodź, chodź Krystyno! ja czekam na ciebie.

KRYSTYNA. Idź sam—me życie należy do Boga.

ŻELIMIR (*w głębi*) Mścisławie!

MŚCISŁAW. Słyszysz, na mnie tam wołają,
Lecz ja cię spotkam jeszcze...

KRYSTYNA (*wskazując w niebo*) Już tam tylko!
Przebacz com winna, i resztkę dni moich
Pozwól poświęcić za pokutę grzechów.
(*Mścisław odchodzi do Pielgrzymów*)

KRÓL. Mój ojcze, czy ty możesz mnie rozgrzeszyć?

ZAKONNIK. Prawo kościelne zabrania mi tego,
Papież cię wyklął, on tylko rozgrzeszy.
Ale nad nami jest Bóg miłosierny,
I światem rządzi dobroć nieskończona—
Żałuj za grzechy, resztę zdaj na Niego.

KRÓL. Przebacz mi Boże moje ludzkie winy!
Żałuję, żem był popędliwy, srogi,
Na namiętności żem nie kładł hamulca,
Żem grzeszył dumą, często zaślepienie
Biorąc za rozum... Żałuję, żem duszę
Obarczył grzechem niecnego zabójstwa,
Zabił człowieka... Ah, przebacz mi Boże!
(*głowa mu opada*)

ZAKONNIK. Zmiłuj się nad nim, wysłuchaj prośb jego!

KRYSTYNA. Patrz, jaki spokój oblał jego lica,
Jak gdyby zasnął.

ZAKONNIK. Tak, śpi już na wieki.

KRYSTYNA. Umarł — więc koniec jego srogiéj męce!
Jak mu zazdroszczę!... Ojcze, ty pozwolisz,
Tę chatkę, która była mu schronieniem
Ja po nim zajmę. Nie pójdę już daléj—
Tyś jest tak dobry!

ZAKONNIK. Dobrze, biedna duszo.
(*do Wieśniaków*)
Teraz to ciało weźmy do klasztoru.
Cztery mu deski zbijemy na trumnę,
I pochowamy w nich szczątki mocarza,
Co niegdyś sławą napełniał świat cały,

(Wieśniacy biorą ciało Króla na nosze naprędce zgałęzi zrobione i powoli z niém postępują. Tymczasem pochód Pielgrzymów wszedł już na górę. Żelimir niesie chorągiew na czele. Pielgrzymi idąc śpiewają)

Wierne sługi i dzieci kościoła
Pośpieszajcie zbliska i zdaleka,
Pod znak krzyża Chrystus Pan was woła,
Pod tym znakiem zwycięstwo was czeka!

Adam Belcikowski.

Charakter i Pisma Tomasza Carlyle'a.

(*Dokończenie*).

II.

Powołani nagle z Nowego świata do Europy, wybrawszy drogę przez Londyn, zawinęliśmy do téj stolicy w ostatnich dniach stycznia r. 1881, a zatrzymaliśmy się w niéj tydzień. Znaleźliśmy się w mieście, nawiedzoném zawieruchą i mrozami, jakich najstarszy nie pamiętał. Komunikacya uliczna była zatamowaną, port niedostępnym, niewygody życia w mieście niezbudowaném i nieprzygotowaném na klimat rosyjski—wielkie. A jednakże wśród tylu nieprzyjemności każdy londyńczyk znajdował czas kupować kilka razy na dzień bulletyny o stanie mędrca, o którym doniosły gazety z d. 29 stycznia, że „p. Carlyle leży w swoim domu w Chelsea bardzo słaby, bez nadziei wyzdrowienia."

I zdawało się, że cały gród, cały kraj i najdalsze społeczeństwa anglosaskie stanęły u wezgłowia gasnącéj gwiazdy literackiéj, z sympatyczną żałobą, z jaką czuwamy nad ostatniemi drogiego nam ducha wysileniami, by się utrzymać w powłoce ziemskiéj.

Z po za najszerszych oceanów sypały się gradem zapytania o chorego. Buletyny odpowiadające przelatywały z elektryczną chyżością pod bieguny, pod zwrotniki i równik. Nad żadnego ziemskiego monarchy purpurowém łożem nie czuwał nigdy żaden naród z taką obawą, z jaką dwa ludy potężne i kilkanaście mniejszych społeczeństw, wieszały się nad śmiertelną pościelą księcia swéj literatury.

Gdy wreszcie wieszcze oczy Carlyle'a zamknęły się na zawsze, d. 5 lutego, zapewniali sędziwi znajomi, że wzruszenie wzbudzone wieścią o tém nieszczęściu narodowém przeszło granice wszystkich żalów ogólnych, spowodowanych stratami podobnemi. W ich cza-

sach zgasły na widnokręgu angielskiém takie ulubione, pierwszorzędne światła jak Wordsworth, Macaulay, Thackeray, Dickens i Jerzy Elliot, ale smutek powszechny, w każdym poprzednim wypadku zaznaczony przez obserwatorów ducha narodowego, był tylko bladym zwiastunem grubéj żałoby, jaka spadła na serca angielskie, pozbawione faworytalnego nauczyciela. Carlyle skonał o w pół do dziewiątéj rano. W wieczornych dziennikach tegoż dnia były już doniesienia z różnych punktów wszystkich kontynentów, że mieszkańcy najdalszych stref, w których się mowa angielska rozlega, sympatyzują z Londynem w jego nieutulonym żalu za stratą, która i plemię brytańskie i ludzkość dotyka.

Jakie to, chlubne dla rodu naszego objawy zdarzają się w rzekomo materyalnym wieku i w kraju—w epoce żelaza i węgla, pracy i kultury, najżywszego rozbudzenia umysłów i serc.

Miarą zaś wielkości przysądzonéj Carlyle'owi przez jego naród własny jest ta okoliczność, iż ludzie wszystkich odcieni się zgodzilli; że zgasły arcymistrz prozy angielskiéj godnego siebie następcy nie pozostawił, a bezkrólewie po nim będzie bardzo długie, bo wśród młodszych literatów nikt nie okazuje zdolności do podjęcia jego berła.....

Rzadką dla człowieka jego zawodu pozycyą w szacunku i sercach narodu zdobył sobie Carlyle długą i mozolną pracą, któréj złoty jubileusz przypadł na kilka lat przed jego śmiercią. Było-to stanowisko podobne do zajmowanego we Francyi przez Wiktora Hugo, a u nas przez Kraszewskiègo. Ludzie rozmaitych opinij zgodzili się zapomniéć uchybienia jego rozwagi, a tylko jedynie wspominać jego geniusz i zasługi. Rozprawy nad wartością jego stylu i nad moralnym wpływem jego zasad przycichły i poszły w zapomnienie. Nikt już, krom garstki obskurantów, nie oskarżał go o niebezpieczny panteizm, apostolstwo niemoralnéj zasady „siły przed prawem“ i każenie angielskiéj mowy, ale i zaślepieni wielbiciele przestali także obwoływać go prorokiem nowéj wiary polityczno-etycznéj, oraz reformatorem języka. Przebywszy burzliwe morze takich sporów Carlyle zawinął żyw do przystani, zwykle tylko nieboszczykom dostępnéj, w któréj go otaczał spokój powszechnego uwielbienia.

Kilka zbiorowych wydań jego dzieł dało poznać całemu narodowi jego działalność literacką, a Carlyle, mędrszy od innych autorów w podobném położeniu, nie osłabiał swego prawa do tytułu *facile princeps*—lekceważeniem mądrego przysłowia: *solve senescentem*. Nie odzywał się drukiem w ostatnich latach życia, z wyjątkiem kilku wypadków, w których raczył zdjąć stary miecz ze ściany i olśnić młodszych połyskiem jego brzeszczota. To milczenie rozumne i te

rzadkie przerwy milczenia ustalały go na tronie literackim, podczas gdy ogólnie powtarzane anegdoty o jego czerstwym duchu wdrażały go w serca ludu. W salonach, w klubach i między gminem powtarzano sobie z uśmiechem, jak jary starzec przebijał szczęśliwym epigramem pęcherze reputacyi ludzi i książek, podnoszonych podmuchami reklamy—jak umiał z udaną prostotą wkładać zimne kompresy na zarozumiałych młodzików i usuwać z drogi nudnych starców—jak możni i wysoko urodzeni truchleli przed jego ostrym językiem, posiłkującym się akcentem doryjskim i obfitością w zwroty prowincyonalne, pełne chłopskich *konceptów*, aby napełnić jadem żądło satyry...

Gdy mowa o mężu tak znakomitym, krytyk winien wystrzegać się nawet pozorów pozowania przed czytelnikami, jakoby, na kilkunastu stronicach zarysu napisanego w partykularzu galicyjskim, streścił bez błędów działalność długiego i czynnego życia i dał wierny we wszystkich szczegółach wizerunek księcia współczesnych literatów angielskich. Przeciwnie, jesteśmy dalecy od takiéj zarozumiałości i twierdzimy tylko, że usterki, jakie się znajdują w niniejszéj pracy, nie pochodzą z braku zamiłowania w przedmiocie traktowanym, lub ze złéj woli stronniczéj, ale z niedostatku źródeł, których zresztą nietylko my osobiście nie posiadamy, ale w które literatura w ogóle nie jest dość bogatą. Dopóki, powołany do téj pracy przyjaźnią długoletnią i talentem, Froude nie wyda biografii Carlyle'a uzupełnionéj jego korespondencyą do przyjaciół; dopóki nie otrzymamy wiarogodnéj informacyi o jego młodocianém otoczeniu, wychowaniu, dziejach serca i umysłu budzącego się do samopoznania:—póty nie wolno dać stanowczéj odpowiedzi, ażali Anglia mądry lub mylny wybór zrobiła, przysądzając filozofowi z Chelsea najwyższy piedestał w swéj Walhalli. Do tego czasu zaś musimy się zadawalać tylu biograficznemi szczegółami, ile wolno było głosić o żyjącéj jeszcze osobistości, oraz pozostać bez klucza do zagadkowych przewrotów w opiniach wielkiego historyka i krytyka...

Tomasz Carlyle urodził się d. 4 grudnia 1795 r. w Ecclefechan, powiecie Dumfries (Dumfrieshire), w Szkocyi, z rodziców stanu włościańskiego, t. j. z dzierżawców miernego folwarku. W czasie jego przyjścia na świat trudnił się jego ojciec, jak rodzic Sokratesa, także i kamieniarstwem. Zwyczajem kraju, w którym od błogiéj reformy Knoxa szkoły wiejskie zakwitły, jak nigdzie w Europie, mały „Tom“ został wcześnie posłany do szkółki ludowéj swego sioła, a okazawszy talent, przeniesiony do średniéj szkoły w miasteczku Annan. Ofiarę tę ponieśli rodzice w nadziei zobaczenia zdolnego syna pastorem, gdyż nabożny chłop szkocki nie zna wyższéj ambicyi, jak zro-

bić przynajmniéj jednego z potomków kaznodzieją kalwińskim— *a minister*.

O szkolnéj epoce życia Carlyle'a wiemy bardzo mało, krom spowiedzi złożonéj przez autora „Sartor Resartus“ pod nieśmiertelnym kryptoninem doktora Teufelsdröckh, którego to uczonego humorystycznie opisane studenckie zmartwienia i mozoły w gimnazyum w Hinterschlag, pod potoczyście o czasie i wieczności tradującym profesorem Kuhbach, są najdowcipniejszą ze znanych nam filipik tak przeciw szkole i pedantom w Annan, jakotéż przeciw powszechnéj naówczas w Szkocyi metodzie pedagogicznéj, dotąd niestety zakorzenionéj w niejednym kraju. Czytając o ogłupiających młode głowy „młynach gerundyów,“ o mechaniczném wpajaniu greki i łaciny (a nawet hebrajszczyzny), oraz przedmiotów, które się podobało profesorom nazywać historyą, kosmografią, filozofią i t. d. chociaż niemi nie były — czytając o tém, dowiadujemy się, czego się Carlyle uczył w Annan i jak, czując się pięknèm drzewkiem cynamonowém, dusił się wśród dyń i chwastów podłych, a zarazem przypominamy sobie stan austryackich kollegiów przed r. 1860.

W Annan poznał się Carlyle z Edwardem Irvingem, a ta przyjaźń szkolna miała wpłynąć stanowczo na los jego, jak dalszy ciąg pokaże.

W czternastym roku życia udał się Carlyle na t. z. uniwersytet w Edymburgu, który to zakład naukowy był nakształt ogólnéj liczby ówczesnych, licznych w małéj Szkocyi „uniwersytetów,“ jedynie tylko rodzajem wyższego gimnazyum, uposażonego dumnym tytułem wszechnicy. W tych rzekomych uniwersytetach zabraniał do niedawna konserwatyzm ich luminarzy wykładać grekę. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności zakład wychowawczy, w którym się Carlyle matrykulował, posiadał wówczas kilku zdolnych profesorów, od których więcéj się uczyła młodzież po za szkołą, niż w aulach. Celem uniwersytetu edymburskiego, jak w ogóle kollegiów szkockich, było kształcenie kalwińskich teologów i wiejskich kaznodziei. Łatwo tedy pojąć, jak źle pasował młody geniusz do ciasnych żelaznych obręczy, nakładanych w takiéj szkole na bierne, przeciętne umysły.

Znów brak szczegółów o uniwersyteckich przygodach przyszłego mędrca, ale wiarogodna historya dr. Teufelsdröckha rzuca promyk światła na psychiczne jego życie w tém czteroleciu (niektórzy twierdzą, że Carlyle słuchał kursów w Edymburgu 7 lat). Domyślamy się z niéj, iż autor Sartora prędko przyszedł do świadomości, że niewolno mu zostać teologiem. Widzimy w niéj owe dreszcze śmiertelne i pasowanie się z szablonami, w jakie umysł był spętany, i tytaniczne piętrzenie się młodzieńczych idei w szturmie do wielkiéj za-

gadki i długoletnie bujanie bez steru i kompasu po morzu niepewności, i wpłynięcie szczęśliwe w końcu do portu przekonań, które mu się zdawały *prawdą*. Któż, jakkolwiek przystań przezeń wybrana się zowie, nie pamięta bolesnego żaru dni podobnych? Kto wyrzuciłby z albumu niewyraźnych starych fotografij obrazek pierwszéj książeczki, lub drogi wizerunek skromnego, lękliwego, ostrożnie szepczącego nauczyciela. — Książki, albo nanczyciela, co słówkiem w czas rzuconém podłożyli pierwszą iskrę prometeuszową w najpalniejszy z lotnych żywiołów—umysł młodzieńczy? Ztąd téż zostanie spowiedź Carlyle'a po wieki wieków, zwierciadłem nieocenionéj wartości dla oglądania w niém (w odbiciu olbrzymiem, bo lustro do olbrzyma należy) fazy psychicznego przeobrażenia, tak niespożycie się powtarzającéj, jak często następują po sobie pokolenia na ławach szkolnych. Może téż Carlyle kierował się zwykłym swoim, szczęśliwym literackim instynktem, gdy nie wymienił wyraźnie rzekoméj prawdy, z któréj przyjęciem skończyła się *Sturm und Drangperiode* w życiu doktora z Weisnichtwo. O nią mniejsza. Żadna wymowa nie byłaby w stanie jéj supremacyą nad innemi rzekomemi prawdami ustalić, ale pielgrzymkę do naszéj, waszéj i przyjaciół prawdy wszyscy przebyliśmy jednaką—jak odrę—jak chorobę, któréj dyagnozę ustalił Carlyle.

Z tejże spowiedzi, oraz z lekceważenia, z jakiém Carlyle zwykł się był zawsze wyrażać o swojéj *alma mater* zgadujemy, iż pobyt w niéj nie należał do szczęśliwych rozdziałów jego życia.

Opuściwszy Edymburg i niezostawszy kaznodzieją, Carlyle spędził dwa lata w roli nauczyciela dawnéj swéj szkoły w Annan, a dwa późniejsze w Kirkcaldy, w pozornéj bezczynności—a rzeczywiście na czytaniu i myśleniu. Tu odnowił znajomość z Irvingem. Z Kirkcaldy pojechał do Edymburga, z postanowieniem „zostania literatem," a nie przebierając w sposobach zarobkowania zaciągnął się do współpracowników Encyklopedyi Brewstera. Wydawca tego dzieła zgadując z powierzchowności biedaka, że mu brak chleba codziennego, nastręczył mu pierwszą sposobność obfitszego zarobku piórem, polecając go pewnemu wydawcy na tłómacza (*risum tenatis amici!*) Geometryi i Trygonometryi szkolnéj Legendre'a, oraz autora przedmowy do tego dzieła użytecznego.

Od takiéj pracy mechanicznéj uwolnił Carlyle'a list Irvinga, zapraszający go do Londynu, gdzie go kolega polecił rodzinie Bullerów, na domowego nauczyciela. Nakształt tedy niezliczonych ziomków, co z zawiniątkiem i lekką kaletą wędrują rok rocznie z biednéj Szkocyi do zamożnéj Anglii za fortuną, Carlyle puścił się do Mekki Szkotów, stolicy nad Tamizą, stwierdzając tym czynem jeszcze raz prawdę angielskiego *bon mot*, że wszyscy rozumni szkoci opuszczają

ojczyznę, a wszyscy głupcy w niéj zostają, zkąd pochodzi rzekomo nieprzykładna ilość mądrych Szkotów za granicą, a ich brak w Kaledonii. Oni by wszyscy wynieśli się do Londynu, gdyby nie obawa panującéj tam drożyzny, która tak jest wielką, powiada skąpy Szkot, że trudno pobyć dzień w stolicy, żeby „nie pękł“ *sixpence* (złotówka).

Początek londyńskiéj drogi żywota Carlyle'a był cokolwiek zrównany wymienionêm poleceniem i zajęciem. Po dwóch latach widzimy go już między współpracownikami „London Magazine“ czasopisma pamiętnego w literaturze, choć życie jego było efemeryczne, gdyż pierwiosnki talentu Lamba, De Quincy'ego, Carlyle'a i t. p. znakomitości były w niém umieszczone. W tymże miesięczniku wyszła część pierwszego, większego utworu Carlyle'a „Życie Schillera,“ napisane gładko i z erudycyą, ale nie posiadające głębszéj, oryginalnéj wartości. Pisząc tę książkę dla zaspokojenia potrzeby księgarskiéj, Carlyle był jednym z *literary hacks* (szkap literackich), obfitych i w Londynie i wszędzie, a gotowych skompilować na obstalunek za wynagrodzeniem miernêm astronomią popularną lub napisać powieść oryginalną, albo przetłómaczyć romans pokupny.

Że rola Carlyle'a w owéj porze była tak skromną, potwierdzają także zawarte w dawniejszych wydaniach jego utworów przekłady sentymentalno-nienaturalnych powieści niemieckich (Libussa i t. d.), których tytuły dla tego nie zginą w morzu niepamięci, że je Carlyle zaszczycił przełożeniem na język angielski. Tłómacząc ze zwykłą swą pracowitością wybrał Carlyle w końcu przedmiot godny swego pióra „Wilhelm Meister's Lehrjahre“ i zaczął go przekładać w godzinach wolnych od bakałarstwa.

W tym czasie wyświadczył mu częstokrotny dobrodziéj Irving ostatnią i największą przysługę. Będąc nauczycielem (a raczéj doradcą w wyborze nauk i książek) panny Joanny Welsh, córki dr. Welsh z Haddington, młody *tutor* doznał nierzadkiego w takich stosunkach zawodu—zakochał się w pięknéj elewce i dostał odkosza. Ustępując z posady polecił na nią dobrodusznemu doktorowi przyjaciela Carlyle'a. I jak można się było spodziewać, komedya odegrała się *da capo*, ale z rozwiązaniem szczęśliwszém, bo Miss Jane Welsh wyszła za bakałarza, żeby przez lat 40 być „światłem jego domu.“ Zdaniem przyjaciół rodziny, kobiéta ta posiadała krom wdzięków także i zdolności równomierne, choć odmienne charakterem, z talentem męża. Nadto była białym krukiem w rodzie rzadko posażnych panienek Albionu—*a heiress*, t. j. dziedziczką niezależnéj od kontroli ojca fortunki, którą zaraz oswobodziła męża z jassyru u szylokowych wydawców. Młoda para przeniosła się po ślubie w roku 1828 do futoru Craigenputtoch, własności pani Carlyle i mieszkała tam do 1833 roku.

Całe ich ówczesne i późniejsze, 40-letnie pożycie było szczęśliwe, a owdowiały w r. 1866 mędrzec nigdy już nie był podobny do siebie samego.

Wolen od troski o byt, Carlyle poświęcił się, w domostwie stojącém samotnie wśród dzikich torfowisk, (1) tak tłomaczeniu wymienionych „Lehrjahre," jak innym pracom literackim. Niedarmo téż stał się futor ów celem pielgrzymek angielskich, albowiem tu wydoskonalił się w mądrości i zmężniał zupełnie duch pracującego z rzadką energią aspiranta do sławy. W Craigenputtoch napisał on najlepsze z swych zarysów (*Essays*) i Sartora i wiele umyślnie późniéj zniszczonych rozmaitości. Tu zaczął „Rewolucyą Francuzką." Gdy opuścił wiejskie ustronie, by się przenieść do Chelsea, długi okres jego terminatorstwa był skończony.

Pamiętajmy bowiem, że autor Sartora nie należał do rzędu fenomenalnych geniuszów, zdobywających sobie uznanie w bardzo młodym wieku, przez ogłoszenie pierwszego utworu swéj wyobraźni. Przeciwnie, nie podjął on pióra przed 25 rokiem, a do 36 roku zadawalał się tłómaczeniem obcych dzieł („sadzeniem cudzéj myśli na gruncie własnym" — jak powiadał) i zawodem biografa. „Sartor Resartus," z którym żaden wydawca nie chciał mieć długo nic do czynienia, wyszedł dopiero wtedy, gdy Carlyle stanął u mety, oznaczającéj pół drogi w pielgrzymce istoty ludzkiéj, któréj będzie pozwolono dożyć zgrzybiałości. Przed skończeniem „Rewolucyi francuzkiéj" dźwigał na sobie cztery krzyżyki.

Dom swój słynny w Chelsea, przy Cheyne Row, zajął Carlyle w r. 1834, by w nim blisko pół wieku utrzymywać główną kwaterę siły autorskiéj, lepiéj w talent i w erudycyą uzbrojonéj, niż mógł o sobie powiedzieć którykolwiek z jego londyńskich rówieśników. Stało się to w tym samym roku, w którym autor Sartora rozpaczał, „że ta biedna książeczka, którą jak wędrowny kramarz obnoszę po domach wydawców na sprzedaż, nie znajdzie nigdy amatora."

Historya manuskryptu, najoryginalniejszego utworu nowszéj literatury angielskiéj, jest niemniéj zabawną dla publiczności, nieobeznanéj z zakulisowém życiem rutynowanego dziennikarstwa, jak też pouczającą dla aspirantów do literackiego zawodu, którzy często obwiniają redaktorów o zły smak, lub złą wolę, podczas gdy ci sędziowie ich aspiracyi muszą się nadewszystko liczyć z tém,

---

(1) *Moors*, niemieckie *Heide*, wyraz tłomaczony błędnie w słownikach angielsko-polskich słowem „trzęsawiska." Są to przestrzenie często spotykane w Wielkiéj Brytanii, niezdatne do uprawy, torfowiste, chociaż często suche na powierzchni.

„coby powiedzieli o przedłożonéj nam pracy panowie przedpłaciciele?“

Jedni z zaczepionych przez Carlyle'a redaktorów niechcieli czytać „niezbyt wyraźnym charakterem“ napisanego rąkopismu „nieznajomego“ autora. Inni odrzucili go zgorszeni, po przejrzeniu pewnych ustępów. *Facile princeps* pedantów na kurulskiém krześle krytyki, osławiony przez Byrona Jeffrey, tak się o nim wyraził w liście do Napiera, swego zastępcy w redakcyi „Edymburskiego Przeglądu“:

„Podobno ten Carlyle nie zda się na nic, chyba, że sobie z nim to pozwolisz i zadasz taką pracę, jak ja sobie pozwalałem i zadawałem, wykreślając zeń obficie (1) i dopisując własne dodatki, gdzie potrzeba. Całe nieszczęście z tym człowiekiem pochodzi z jego uporu, a co gorzéj zarozumiałości. Niestety, znajdują się ludzie, utwierdzający go w tych wadach oklaskami. Inaczéj byłby zakosztował lekarstwa niechybnie pomagającego osobom z jego usposobieniem — unikania i zaniedbania ze strony redaktorów. Szkoda go, bo nie brak mu geniuszu i pilności i ma zakrój na eleganckiego, zajmującego autora.“

Człowiek piszący powyższe słowa nie był ciemięgą, ale przeciwnie, biegłym i szczęśliwym redaktorem, a choć przesądy polityczne lub osobiste zamknęły mu oczy na wielkość szkoły „poetów jezior“ (Wordswortha i t. d.) i Byrona, przecież miał zmysł szczęśliwy w podnoszeniu młodych ludzi, którzy mogli się przyczynić do powodzenia jego pisma. Sam przyznał Carlyle'owi geniusz. Jego propozycya wykreślenia z „Sartora“ ustępów drastycznych, którym te dzieło cały swój wdzięk, oryginalność i powodzenie zawdzięczało, wyszła z obawy zrażenia bigoteryą i konwencyonalną moralnością skażonych prenumeratorów, a tylokrotne jego utarczki z młodymi, utalentowanymi autorami były wywołane zwyczajem mierzenia ich talentu *more majorum*, jak przekazał Boileau. Był on nakształt ogrodników francuzkich, obstrzygających i tresujących drzewa do form w przyrodzie nieznanych.

Wiadomo, że dęby i buki nie nadają się do tego rodzaju ogrodnictwa. I Carlyle nie pozwolił mazać i dopisywać w manuskrypcie,

---

(1) Przykład podobnego zamiłowania w mazaniu i łataniu artykułów swych współpracowników, przedstawił nam osobiście pewien Jeffrey polski, którego powaga stała w odwrotnym stosunku do jego erudycyi i uszanowania dla geniuszu Carlyle'ów. Spotkawszy w alluzyi do „Sartor Resartus“ imię dr. Teufelsdröchk zaproponował to brzydkie słowo innem zastąpić, któreby mniéj raziło przyzwoite czytelniczki! Protest, że niewolno chrzcić powtórnie znanego całemu światu charakteru, na nic się nie zdał. Artykuł został odrzucony.

ale odebrawszy go udał się do „Magazynu Fraserów.“ Sartor drukowany częściami w tém piśmie był zagadką i kamieniem obrazy dla jego czytelników. Krytyka zdumiona widokiem potworka, nie była jeszcze w stanie orzec swego zdania o nim, a już się zjawiła „Rewolucya Francuzka,“ która miała przebyć próbę ogniową, rozstrzygającą, jaka przyszłość oczekuje jéj autora. A burza potępień i napaści wzniecona nią była tak straszną, że gdyby Carlyle nie był posiadał geniuszu i pracowitości przyznanéj sobie przez Szyloka z Edynburskiego Przeglądu, byłby pewnie złamał pióro w rozpaczy i umilkł nazawsze.

Potępiono i treść Sartora i zasady autora Rewolucyi, a najzawzięciéj styl obydwóch dzieł.

O ostatnim pomówimy najpierw, wychodząc z przekonania, że piękna forma jest pierwszym i niezbędnym warunkiem nieśmiertelności. Jeśli utwory Carlyle'a czynią zadość temu założeniu, przyszły los jego reputacyi decyduje się.

Wspomnieliśmy już, że autor ten poświęcał się długo tłómaczeniu i studyowaniu niemieckich płodów literackich, zaledwie przedtém z tytułów Anglikom znanych. Richter i Göthe pasowali go na rycerza. Mozolna sumienność z jaką tłómaczył ich myśli zmieniła styl autora „Życia Schillera,“ napisanego w wieku niedojrzałym. Styl téj biografii w niczem się nie różni od gładkiéj, po wielkich pisarzach z czasów królowéj Anny (Addisonie, Steel'u) stężałéj dykcyi angielskiéj, uświęconéj tradycyą i świetnémi przekładami do tego stopnia, że każda innowacya była niebezpieczną. Był to styl drogi Jeffrey'om. Używał go Carlyle na wstępie swéj karyery, przestał używać w przekładach, w których usiłował oddawać najdelikatniejsze światła i cienie oryginałów, niepraktykowanemi w mowie angielskiéj słowami i zwrotami. Podczas takich usiłowań skąpał ducha w niemczyźnie tak głęboko, że niektórych śladów téj kąpieli nigdy się nie pozbył.

Odtąd widzimy dwa prądy w jego stylu, które przy znajomości dwóch języków wspomnionych łatwo rozróżnić. Obok dykcyi używanéj w „Życiu Schillera,“ płynie inna, zamącona niemczyzną, a te rodzaje stylu nie mieszają się z sobą, nakształt dwóch rzek, modréj i żółtéj, połączonych w jednemże korycie, ale trzymają się przeciwnych brzegów. Krytycy zarzucali, że tym drugim prądem Carlyle skaził język rodzinny i zgermanizował go — uwaga tylko w części słuszna, bo nawet ta część jego stylu zgadza się z angielskim duchem jasności. Nie ma w niéj głównéj wody niemieckiéj — przewlekłych, zawiłych, niezrozumiałych okresów. Przeciwnie, zdania Carlyle'a są krótkie i szybkie, logicznością porządku powiązane w szeregi żywych, biegnących do ataku sensów. Nie jest on nigdy niezrozumia-

łym skutkiem niedbałéj lub ciemnéj stylizacyi. Jeśli prawdą jest, co rzekł Teofil Gautier, że autor nieumiejący oblec swych idei w słowa nie jest *écrivain*, tedy Carlyle był biegłym *écrivain*, bo zawsze się umiał wystylizować, choćby w braku słowa pod ręką oddającego jego myśl z wszystkiemi jej odcieniami, wypadło mu skomponować nowy wyraz, dziwny lub potworny, albo używać przenośni niecierpianych przez autorów klasycznych. Żaden twórca niemieckich systemów filozoficznych nie skombinował więcej pochodnych i złożonych nazw dla wyobrażeń, tylko w jego własnéj głowie świtających. Na téj bujności myśli, któréj dykcyonarz wspólny nie wystarcza i którą składnia przyjęta krępuje, ogranicza się powinowactwo jego stylu z metafizykami niemieckimi.

Dla skrupulatnych purystów dykcya Carlyle'a zostanie zawsze szorstką i nieprzyjemną. Mniéj wybredni czytelnicy — a do nich zaliczają się miliony—czytają go z roszkoszą. Każda myśl wystaje z wypukłorzeźby tak jasno, że mógłby ją odczytać ten, kto biegnie (*he, who runs*, mówił Carlyle, upominający się zawsze od autorów o jasność języka). Podziwiamy kapryśne pozornie a harmonijne pomieszanie rozmaitych zalet — prostoty i żywości pamiętnikowéj, któréj zawdzięczają swój urok pamiętniki francuzkie z 18 wieku, lub opowiadanie Imć pana Paska — jasności godnéj Woltera — obrazowości wschód przypominającéj, szczęśliwéj w illustrowaniu abstrakcyjnych idei materyalnemi zjawiskami — niemieckiéj odwagi w oddawaniu znaczeń umysłowych przez niezwykłe spojenia źródłosłowów, równéj śmiałości w pozwalaniu sobie przenośni i nakręcaniu własnego języka do filozoficzności nie-angielskiéj. Z całéj téj mieszaniny i to jeszcze wypływa, że wynaleziona przez Carlyle'a dykcya, skutecznie przez takiego mistrza używana, była skazaną zejść ze świata bezpotomnie, jak mieszanie rodzajów zwierzęcych i roślinnych. Wielu porywało się „carlylizować," ale wszyscy ci naśladowcy zrobili zupełne fiasco.

O filozoficznéj wartości Sartora (a to samo wolno by powiedzieć o historyczno-filozoficznéj stronie „Rewolucyi Francuzkiéj") mniéj było rozpraw, niż o jego stylu, z téj prostéj przyczyny, że Anglia w r. 1830 i długo późniéj zgoła nie była przygotowaną na zrozumienie takiéj zagadki. Trzeba ją było przenieść na grunt amerykański, żeby naród z głową otwartszą zrozumiał rebus i zwrócił go Anglii z rozwiązaniem, śmiejąc się i przyklaskując, ale stało się to podczas wrzawy wywołanéj „Rewolucyą," więc ortodoksyjni recenzenci nie mieli czasu wysmagać autora, co się ważył pod maską niewinną „filozofii odzieży" — pod formą uwag nad fartuszkami prałatów, nad mundurami policyi i wojaków, frakami dworzan, nagością- rozebra-

nego świata i t. d., drwić sobie z drogich filisterskiemu John Bullowi instytucyj, który miasto napisać autobiografią w formie nowelli, jak inni, krytykował bagaże cywilizacyi w rzekomych wspomnieniach doktora i profesora „Rzeczy w Ogóle,“ nazwanego niegrzecznie Teufelsdröckh—w wspomnieniach o gimnazyum w Hinterschlag i wszechnicy w Weisnichtwo wyjaśniał poważny wiekiem i tradycyą system edukacyjny—we spowiedzi Teufelsdröckha przedstawił monodramat, nieczęsty natenczas w sercach angielskich — w Zähdarmach satyryzował „łaskawych“ mecenasów wiedzy, lordów i squire'ów ogólnie szanowanych — w Bluminie odrysował nieznaną Marylkę (co kogo obchodziła Marylka autora bez sławy?) i niepokoił świat skargami na trudność pierwszych kroków w zawodzie biurokratycznym, na niedolę wątpiciela, lub ból po zawodzie serdecznym. Wszystkie takie aluzye musiały czekać, aż czytelnicy dojrzali do zrozumienia ich. Tymczasem zginęły wszystkie wskazówki do odkrycia Marylki Carlyle'a zwanéj Bluminą i żaden ze znanych nam biografów nie wpadł dotąd na pomysł odszukania istoty, w któréj prawdopodobnie kochał się pierwszą miłością autor „Sartor Resartus“....

Gdyby to dzieło znikło nagle ze wszystkich bibliotek świata, strata taka nie pozbawiłaby nas wprawdzie niezbędnego źródła nauki, ale odebrałaby nam przecudne źródło rozkoszy. Jest ono najlepszą humorystyczną krytyką pewnych idei oraz instytucyj od czasu biografii rycerza o smutném wejrzeniu. Szkoda, że styl Carlyle'a traci cały urok swój w przekładzie, bo młodzież innych krajów zostaje bez książki, któráby rozchwytywała i któraby odbiła się głębiéj na jéj plastycznych umysłach, niż każda inna. Efekt jéj daje się tylko zużytem przyrównaniem opisać. Jak pewne rozczyny chemiczne zachowują stan płynny, dopóki zostają w zupełnym spoczynku, a po pierwszém wstrząśnieniu galwaniczném wydzielają z siebie tysiące kryształków, tak też i młody umysł, tknięty tą książką, ze spokojnéj bierności wpada w proces pozbywania się zawieszonych w nim domieszek.

Nie szukajcie w Sartorze zorganiowanzgo statutu etyki. Nie jest on, jak dawno krytycy powiedzieli, nowém objawieniem, ale tylko jest napomnieniem do przyjęcia pewnéj pozycyi — komendą: baczność! po któréj żołnierz przybiera postawę uważną i jest gotów do każdéj ewolucyi. I taką to postawę musiały przybrać tysiące młodzieży płci obojéj w Anglii po przeczytaniu przyjemnéj satyry, któréj moralna nauka pozwala się zwięźle streścić: nie dajcie się zawojować żadnym, z katedry wygłoszonym paradoksem, nie przyjmujcie żadnéj formułki bez krytyki samodzielnéj, patrzcie po pod powierzchnię każéj łapki, choćby się zdawała równą, a powagi ręczyły, że

się nie zapadnie pod wami. Odrzućcie wszystko to, w co wam się zdaje tylko, że wierzycie. Nie zajmujcie się wiadomościami, o których wam się zdaje tylko, że je umiecie. Nie zapierajcie się żadnych, szczerze obmyślanych przekonań.

W tych i t. p. kilku zdaniach zamyka się cały system filozofa z Chelsea, a wszystkie jego liczne, późniejsze tomy nie nauczają nic użyteczniejszego. Nie dziw, że stężała w przesądach Anglia r. 1830 przyjęła Sartora wyrokiem, iż prawi językiem niezrozumiałym o niezrozumiałych ogółowi ideach.

„Rewolucya francuzka“ doznała szczęśliwszego losu od początku. Opisując wypadek niezmiernie ważny, spojony z historyą angielską, poczynający nową erę w dziejach i świeży w pamięci wielu żyjących, została zaraz popularną. Nieprzychylne, obelżywe wyroki recenzentów nie były w stanie odebrać jéj miejsca, jakie zajęła i utrzymuje między książkami, w których ludzie angielskiéj mowy i pochodzenia szukają informacyi o przewrocie pełnym scen wzniosłych i przerażających, których ekscentryczność kusi nas nie dawać wiary ich opisom, jakkolwiek poręczoną jest ich autentyczność.

Dzieło Carlyle'a poświęcone téj tragedyi historycznéj i słusznie policzone do rzędu „klasycznych,“ jest niewątpliwie kwiatem jego geniuszu obfitego. Być może, że „Cromwel“ przedstawia bardziéj bezprzykładny dowód intuicyi autorskiéj, umiejącéj zgadywać darem osobliwego jasnowidzenia zapomniane przyczyny zdarzeń, które-to domysły znajdują późniéj zupełne potwierdzenie w odkrytych dokumentach, jak obliczone istnienie Neptuna zostało stwierdzone silnemi teleskopami. Niektóre ustępy w „Essay'ach i w „Pamfletach dnia sądnego“ tryskają obficiéj humorem fantastycznym, lubującym się w efektach, wynikających z zestawienia nie pasujących z sobą przedmiotów i myśli w takiéj antytezie, że widok ich pobudza do śmiechu — jak małpy w mundurze generała. Ten chaos jest jednak tylko pozorny, bo przypatrzywszy mu się uważniéj, dostrzegamy zdumieni, że dyssonanse grupują się w symetryczne, kalejdoskopowe desenie. „Życie Sterlinga“ (1) odpowiada lepiéj idealnemu wyobrażeniu skończonego dzieła sztuki. „Historya Fryderyka Wielkiego“ jest bardziéj olbrzymim dowodem niezmordowanéj pracy, nie lękającéj się łamać z mnóstwem szczegółów ale szperającéj, zbierającéj, porządkującéj i podporządkowującéj, aż opracowane materyały złączą się w harmonijną, zaokrągloną jedność, łatwą do przejrzenia dla czytelnika. „Re-

---

(1) Nie mogąc otrzymać w partykularzu „Życia Sterlinga“ oraz „Przeszłości i Teraźniejszości“ zaznaczamy, że wszystkie nasze wzmianki o tych dziełach zostały streszczone z recenzyi angielskich.

wolucya Francuzka" posiada wszakże wyjątkową zasługę w kształcie doskonałéj równowagi wszystkich wyliczonych przymiotów. Wolno ją téż polecić jako podręcznik człowiekowi, łaknącemu świadomości obowiązków dobrego obywatela, oraz jako najtreściwszy obraz ważnéj katastrofy, któréj przyczyny i przebieg nie są łatwe do wyobrażenia sobie, choćbyśmy przeczytali mnóstwo foliałów, opisujących je obszerniéj od Carlyle'a.

Wprawdzie Taine utyskuje na dziwaczne tytuły rozdziałów i obłoki deklamacyi, jakiemi się podobało Carlyle'owi otoczyć nagie wypadki. Wprawdzie słuszniéj zarzucają inni recenzenci, że autor objawił nawet w téj pierwszéj pracy swéj historyograficznéj tendencyjność i doktryneryzm, próbując wysnuć wszystkie zdarzenia dziejowe z jednego, absolutnego prawa, oraz illustrować swoje poglądy ulubione wypadkami historycznemi. Wprawdzie nie byłoby trudno wytknąć ustępy tendencyjne i pomyłki w przedstawieniu faktów, oraz zaprzeczyć lub nawet zbić zasady polityczne autora. Jednakże wszystko to nie zmniejsza o włos wartości trzech tomów, które się dają czytać jak tragedya skończona, gdzie historya przestała być kroniką suchych dat i zdarzeń niepowiązanych logiką przyczynowości. Suche szkielety bohaterów, wyklęte z grobów przez czarodzieja i obleczone ciałem odgrywają jeszcze raz, jak żywe charaktery, przed naszą wyobraźnią wspaniały swój krwawy dramat....

W r. 1839 wydał Carlyle odbitkę „Zarysów" (*Essays*) rozrzuconych po rozmaitych czasopismach. Zbiór ten stanowi dostateczną paralaxę do zmierzenia wielkości Carlyle'a w roli krytyka. Pierwszém pytaniem, jakie miałby prawo postawić Minos decydujący o pośmiertnym losie recenzentów byłoby: czy umiałeś być sprawiedliwym dla tych, z którymi się różniłeś w opiniach? Carlyle musiałby się przyznać, że mijał się często z bestronnością i tolerancyą, chociaż przez całe życie świat do przestrzegania tych cnót napominał. Ach, niepierwszy on i nie ostatni z rodu kaznodziei, których nauki ustne, nie zaś przykłady czynne są godnemi pochwały. Surowość względem oponentów, objawiająca się w zarysach, a spotęgowana w późniejszych dziełach, ściągnęła na Carlyle'a zarzut, iż nie czuł nigdy sympatyi dla słabych i nieszczęśliwych.

Pierwszy tom „Zarysów," poświęcony rzeczom niemieckim, dał pochop recenzentom do uwagi, iż pokochawszy tę literaturę pierwszą i jedyną miłością Carlyle nie zrobił wyboru szczęśliwego—jak to często się trafia przy tego rodzaju romansach. Dalsze tomy świadczą o jego nadzwyczajnéj erudycyi i o jeszcze rzadszym talencie zrozumienia i umiłowania przeróżnych charakterów zamierzchłéj przeszłości. Nie ceniąc strony czysto poetycznéj w poezyi, bez względu na

jéj tendencyą, a przytém lubiąc przy każdéj sposobności przytknąć własnemu szkockiemu narodowi, Carlyle dał wyborną charakterystykę i eulogią Burnsa, którego niemoralna natura była mu wstrętną. Nikt téż nie opisał plastyczniéj fenomenu XVIII wieku, Franciszka Maryę Arouet, chociaż postać Woltera była tak niesympatyczną dla Carlyle'a, iż powiedział, że w całéj masie jego dzieł niema ani jednéj wzniosłéj szlachetnéj idei. Prześliczny zarys o „Pieśni Nibelungów“ przenosi nas tysiąc lat wstecz i zamyka na godzinę w cudownym świecie młodocianego barbarzyństwa. Wprowadzeni szkicem o „Literaturze niemieckiéj z 14 i 15 wieku“ w świat prozaiczniejszy, oswajamy się z nim prędko, jak wędrowiec po ruinach pompejańskich pojmuje w przeciągu godziny zwyczaje i obyczaje rzymskie. Tom po tomie przedstawia nam Diderota, Cagliostra, aktorów w awanturze z dyamentowym naszyjnikiem, Scotta, Mirabeau, Johnson'a i t. d. Zarys o książce (Boutwella Johnson) o któréj i Macaulay zostawił podobną pracę, pozwala porównać, gładką, świetną, epiczną zdolność jednego historyka i stylisty z jędrnością i psychologicznem zagłębianiem się w motywa drugiego....

Od zamieszkania w Chelsea do śmierci pani Carlyle — wracamy do szegółów biograficznych—upływa lat 30, w których historyk i krytyk z już ustaloną sławą ściera się także poufale z rozmaitemi koteryami literackiemi i towarzyskiemi olbrzymiego, wrącego życiem miasta. Wszystkie domy zapraszają słynnego autora, choćby dla oglądania osobliwości, o któréj fama niestworzone rzeczy rozgłasza. Część jego czasu upływa w obcowaniu z *upper 10,000*, czyli z kolonią Westendu, śmietanką Anglii. Znajomość z Bullerami zapoznaje go zarazem z najskrajniejszymi radykalnymi. Obcuje z Janem Stuartem Millem i zawiązuje z nim przyjaźń ścisłą, a nigdy nie łączyło nierozłączone jakiś czas obcowanie niezgodniejszéj w zasadach pary mędrców. Słynne i zabawne niedbalstwo Milla staje się powodem zniszczenia całego pierwszego tomu „Rewolucyi francuzkiéj,“ ale autor obdarzony pamięcią nadzwyczajną (któréj swoją erydycyą zawdzięczał, bo przeczytawszy tyle co Buckle nigdy nic nie zapomniał) dokazuje sztuki niebywałéj i jeszcze raz cały tom, z wszystkiemi cytatami bez wytchnienia na papier przelewa.

Mill zapoznał go w biurze ministra indyjskiego ze Sterlingiem, którego biografem miał stać się nasz mędrzec.

Około r. 1840 dał się Carlyle namówić przyjaciołom niezbyt roztropnym do czterech kursów odczytów, których powodzenie wolno by nadzwyczajném nazwać, gdyby miarą sukcessu była jedynie liczba słuchaczy, rezultat w kassie i oklaski. Że sam Carlyle zapatrywał się inaczéj nad arystokratyczną gawiedź, cisnącą się słuchać nie mędrca,

lecz dziwaka z Chelsea, zdaje sie dowodzić okoliczność, iż z czterech kursów zachował tylko jeden. Ogłosił go p. t. „Heroes and Hero-Worship"—Bohaterowie i cześć Bohaterów. Z wszystkich jego dzieł zrozumiał gmin najprędzéj i najłatwiéj tę książeczkę, a jéj popularność była niezmierną, jakkolwiek nie zasługiwała na nią w porównaniu z innemi pracami Carlyle'a. Była ona prawdopodobnie ogłoszoną w celu skaptowania tanim kosztem reputacyi dla autora, ukąszonego chwilową żądzą rozgłosu po za światem czytającym krytycznie. Powiedziano o niéj, że objawia religię dla Europejczyków nową, ale znaną w Chinach od dni Konfucyusza — apoteozowania heroicznych przodków, bez względu na stronę moralną ich charakterów.

Podobna myśl przędzie się w „Listach i Mowach Olivera Cromwella." Nad tém dziełem pracował Carlyle 6 lat i dokazał w niém *tour-de-force*, bez przykładu, w dziejach literatury. Wybrał bohatera przeklętego przez obydwa panujące w Anglii stronnictwa, a jednakże wszyscy przeczytali z satysfakcyą próbę oczyszczenia jego pamięci. Pomnąc, ile czasu zabierali autorowi pielgrzymi, przybywający do Chelsea ze wszystkich stron, oraz udzielanie się towarzystwom, trudno zrozumiéć, jakim sposobem znalazł swobodę do wyszukania mnóstwa dokumentów, pogrzebanych 200 lat w głębokim pyle, oraz zwiedzenia wszystkich miejscowości, które albo były sceną wypadków opisanych, lub téż mogły dostarczyć materyałów. Uczynił to wszakże i rozwinął przy tém zadaniu zmysł literacki, podobny do węchu ogara na tropie. Jak gdyby mu dyktowała intuicya, gdzie spoczywają listy, pamiętniki, notatki, dyplomy, akta, wyroki, mowy itp. zapiski współczesne z działaniem bohatera, trafiał do archiwów zamkowych, gminnych i urzędowych i wybierał z nich prędko „szpargały," których istnienia nie domyślali się właściciele. Tak znane przedtém, jak téż odkryte przezeń listy i mowy Cromwella były najczęściéj niezrozumiałemi fragmentami. Carlyle zastosował do nich metodę, z któréj pomocą uczeni uzupełniają i objaśniają fragmenta klassyków i stworzył z nich całość doskonałą. Wprawdzie jego „Cromwell" nie pogodził poróżnionych zapatrywań na charakter i wpływ wielkiego protektora i nie umył go, jak pragnął umyć tendencyjny autor, lecz zawsze będzie leżał przed nami jako pomnik, że geniusz w parze z mrówczą pracowitością dokazuje cudów.

Podobnyż przykład, biegłości we władaniu materyałami historycznemi oraz w wyzyskiwaniu ich celem ilustrowania swych zasad, dostarczył nasz autor dziełkiem z tejże epoki p. t. „Przeszłość i Teraźniejszość" (*Past and Present*). W Anglii szerzyła się moda admirowania kościelno-rycerskiego życia średnich wieków. Carlyle spoglądał na ten paroksyzm obłąkania z sarkastycznem oburzeniem, ale

skorzystał z téj sposobności by wygłosić swoję ewanielią i wyilustrować swoje pomysły polityczne, niezgodne ze statutami wszystkich szkół istniejących, potępione tak przez liberalnych reformatorów, których Carlyle wysmagał w rozprawach „Chartism“ i „Latter day pamphlets“, jako téż przez Torysów, których Carlyle nie mógł długo przebłagać oświetlaniem pięknéj strony autokratycznéj i arystokratycznéj formy rządu, za dawniejsze tyrady przeciw „ohydnéj zdrożności“ mnożenia zwierzyny i dostarczania „sportu“ pankom drakońską ustawą o łowiectwie, oraz przeciw „zbrodni posiadania ziemi na własność.“

Warto zwrócić uwagę czytelników na zjawisko, że w miarę, jak popularność literacka Carlyle'a rosła, opromieniając go czcią i miłością ogólną, tak téż osłabiał się jego wpływ na tok spraw publicznych. Po ogłoszeniu traktatu „Chartism“ kierownicy tych spraw, ludzie praktyczni, zaraz się zapytali:

— Łatwoć omawiać *a priori* „kwestyą kondycyi Anglii“ (tak zatytułował Carlyle jedną z swych satyrycznych, destrukcyjnych wycieczek) i pessemistycznie wszystkie istniejące instytucye ośmieszać. ale pokaźno, jak administrować bez nich rządem jéj ks. mości.

Humorysta został dłużen odpowiedzi, a naród chlubiący się nadewszystko swym *common sense*—kmiecym rozumem, niepuszczającym na manowce eksperymentów —pogrzebał w obojętności aspiracye polityczne Izajasza—jeśli Carlyle je żywił, czego tylko domyślić się wolno. Mędrzec został do końca, z garstką wielbicieli, partyą sam w sobie, bez programu dodatniego. Dopiero na schyłku życia widzimy go w rydwanie Gladstona szturmującego, tyradami o rzezi bułgarskiéj i złorzeczeniem turkom, do władzy naczelnéj.

Z wspomnianych traktatów, dziś już tylko przez bibliofilów studyowanych, najmniéj zaszczytu przynosi sercu i geniuszowi Carlyle'a tylekrotnie wspomniana broszura—„Pamflety.“ Wpadł w niéj w najniebezpieczniejszą dla autora manierę—naśladowania siebie samego. Gęściej niż w innych jego pismach występują tu objawy nieuzasadnionego pesymizmu, napaści na zasady i osoby zaszczycone czcią wielkiéj części rodu ludzkiego, humor wymuszony i koncepta Filipa odurzonego dozą narkotyczną, których się musiałby wstydzić Filip trzeźwy. „Pamflety“ są więc nazwane karykaturą stylu Carlyle'a.

„Życie Sterlinga“ zakończyło tę epokę twórczości mędrca z Chelsea, i godnie ją skończyło. Krytyka nazwała te dzieło „mauzoleum dźwigniętém dłonią jednego szlachetnego anglika XIX wieku drugiemu; pomnikiem przyjaźni, piękniejszym od wszystkich poprzednich.“ Prostotą stylu, umiarkowaniem sądu, unikaniem napaści na

poważne zasady i koterye, obfitością autobiograficznych szczegółów, pięknością epizodów—jak np. wizerunkiem Coleridge'a, jako skończonego typu człowieka naszego wieku—temi itp. zaletami zdobył sobie „Sterling" nieśmiertelność w Anglii. Dla cudzoziemców nie znających osób, popularnych wtedy w owym kraju, lecz mało po za nim znanych, jest ono mniéj ważne...

Potém nastąpiła długa pauza w wydawnictwie pism Carlyle'a, poświęcona gromadzeniu i uporządkowaniu materyałów do „Historyi Fryderyka Wielkiego" (*History of Frederick the Great*), dzieła olbrzymiego—w wydaniu Tauchnitza 13 tomów. Tytuł jego powinien być „Historya i obrona dynastyi Hohenzollerów," gdyż obejmuje wszystko, cokolwiek miało od upadku zachodniego cesarstwa rzymskiego pośrednią lub bezpośrednią styczność z ziemiami w posiadaniu Prus teraźniejszych, z Niemcami i z dynastyą, którą Carlyle kocha i admiruje nad wszystkie inne. I zaprawdę, nie zadziwia nas jego uczucie, pomnąc, jak w sile woli i w stałości dążenia do upatrzonego celu upatrywał główny dowód, heroizmu. Trudno by wskazać w dziejach inny ród, uposażony żywotnością tak rzadką w wydawaniu monarchów, którzy wiedzieli, czego chcieli. Tylko dynastya Osmana, w długiéj epoce potęgi ottomańskiéj, okazuje podobne dziedziczenie przymiotów i talentów założyciela rodu w całym szeregu panujących, do Solimana Pysznego. Wielka to dynastya ci „spartanie" Carlyle'a—dla Niemiec!

Program „Historyi Fryderyka W." połączony z próbą obalenia tysiąca zakorzenionych poglądów na wypadki historyczne w całéj Europie średniowiecznéj, przechodził już siły geniuszu zmęczonego i znękanego, co minął dawno swój zenit, zstężał w przesądach, nie ilustrował dłużéj swych zasad przykładami w takim porządku branemi, w jakim je podaje historya, ale wybierał i akcentował pasujące, a zbywał pobieżnie zaprzeczające. Pomnąc osłabienie sił fizycznych i umysłowych wielkiego dziejopisarza, żałujemy raczéj, że się pozbawił kilkunastu lat zasłużonego spoczynku, niż oburzamy się z krytyką konserwatywnéj prasy angielskiéj, żeby Carlyle mógł napisać podobną apologią, pełną wymowy adwokata broniącego sprawy nieczystéj, z zamiarem przedstawienia postaci wstrętnéj narodowi angielskiemu jako wzór szlachetnego i bohaterskiego króla. Że chybił celu, świadczy ta okoliczność, iż zgoła nie zmienił opinii o Fryderyku W. ustalonéj.

Carlyle pracował nad „Historyą Fryderyka W." zdawna, zdumiewającą pilnością, któréj „Cromwell" zawdzięczał swoje powodzenie. Zebrał mnóstwo materyałów, odwiedził tysiąc historycznych

miejscowości od Renu do Niemna. Brak sił i niezmierny program dzieła stały wszakże na zawadzie zadość uczynieniu wszystkim dobrym chęciom i spowodował usterki w historyi—być może także, iż przyczyniła się do pomnożenia błędów nieznajomość języków i kronikarzy słowiańskich. Carlyle, sądząc z annotacyj, zgoła tych ostatnich na świadków nie wezwał, a zarzut zrobiony mu z tego powodu zbył rzekomo odpowiedzią historyka niegodną: „nie można im wierzyć...“

Nikt nie zaprzeczy, żeby w „Historyi Fryderyka W.“ nie było rozdziałów i ustępów, godnych Carlyle'a w sile wieku. Nikt inny nie umiałby ugrupować mnóstwa szczegółów tak efektownie, traktować epizody z taką barwnością i śmiałością pendzla. Przypominamy humorystyczne opowiadanie o bakałarzu, trapionym przez policyą, opis stosunku królewicza z Voltairem, tacytowy obraz życia w Dreźnie w r. 1728, mistrzowskie wizerunki Hohenzollerów, Augusta II, Piotra Wielkiego i t. p., ale wszystko to nie uratowało dzieła od manierowania, od braku równowagi w stopniowaniu oświetlenia wypadków i charakterów, żeby w blasku drobiazgów nie gasły wielkie wypadki, silenia się na humor, stronności i t. d. Trudno zrozumieć, jak autor poważny może upatrywać w zwykłych objawach chłopięcego umysłu cnoty „rozwagi, małomówności, cierpliwości, pokory, energii,“ jakie rzekomo zaszczepiło w duszy bohatera „surowe“ wychowanie. Powiedziawszy raz, że amator rosłych grenadyerów był „geniuszem“ nie widzi już nic innego w brutalnych łowach, w szalonych nocnych zabawach, maltretowaniu rodziny i t. p. heckach rozigranego słonia, jeno wybryki genialnego człowieka, udowodniającego niemi swą genialność. Nawet sławny parlament fajczany, założony przez skąpego króla, wydaje się uprzedzonemu autorowi „idealnym sejmem.“ Doradza figlarnie, żeby złożony ze *stump-orators* (demagogów) parlament angielski został skasowany i zastąpiony podobném zgromadzeniem, obradującém monosylabami wśród obłoków łagodzącego nerwy i zaostrzającego umysł dymu. „Takiemi naturalnemi, taniemi sposobami rozstrzygałyby się w nielicznéj a potężnéj radzie sprawy najważniejsze z wielkim pożytkiem dla świata“ (1).

Maniera, maniera! szukanie efektów, uganianie się za sposobnością do strojenia żartów cynicznych... ani śladu z młodzieńczéj wyobraźni płynącéj oryginalności i humoru autora „Rewolucyi“!....

Niewolno wdawać się w rozbiór krytyczny dzieła w 13 tomach przez sławnego autora na ostatnich stronicach przewlekłego zarysu.

---

(1) Te i t. p. paradoksy znajdzie czytelnik w edycyi Tauchnitza, do któréj będą się odnosiły wszystkie dalsze przypiski, w t. III, na str. 42 i dalszych.

Dla tego nie będziemy ciągnęli dalej rozprawy z tendencyą i paradoksami „Historyi Fryderyka W.“, gdzie one nas bliżéj nie dotykają, ale tylko zaznaczymy opinie Carlyle'a o stosunkach niemców ze słowianami. Ze wszystkich nowatorstw tego autora żadne nie znalazło łatwiejszego przyjęcia w Anglii, jak jego sposób zapatrywania się na instykt narodowy, zwany *Drang nach Osten*, przeciw któremu opierać się jest (jego zdaniem) dowodem barbarzyńskiéj, nierozumiejącéj własnego interesu polityki. To łatwe przyjęcie pochodziło w części z braku ludzi, interesujących się taką kwestyą i uzdolnionych skrytykować wywody Carlyle'a, w części zaś, może z tego powodu, że było korzystne w dobie, kiedy wyrzekając się „syntementalności“ „praktyczny“ liberalizm angielski szukał wymówki do umycia sobie rąk z wszelkich, niewygodnych, dawniejszych sympatyj. Tyle wiemy z pewnością, że Carlyle dał inicyatywę w Anglii do nowego sposobu sądzenia naszéj przeszłości i charakteru. Zamiast sympatyzować z nami w odach, jak Campbell, miasto pisać o nas traktaty, jak Brougham, idealizować nas w powieściach, jak pełna dobrych chęci i komicznych wiadomości autorka popularnego „Tadeusza z Warszawy“ i t. p. nowelliści, zaczyna się czas Grant Duffów i powieściarstwa, wprowadzającego typy nikczemnie śmiesznych awanturników z końcówkami *ski*, lub opisującego życie warszawskie sposobem lekceważącym konsula Mansfielda. Wszystko to drobnostki, lecz zkąd listki takie padają, ztamtąd téż wieje wiatr — opinii.

Dla człowieka obojętnego na sarkazm i brak sympatyi dalekiego narodu, którego umizgi przynosiły zawsze więcéj szkody niż pożytku, satyra Carlyle'a i stworzony przez nią prąd, są rzeczą małéj wagi, a mijanie się jego z bezstronnością budzi w nas tylko taki smutek, jaki przy każdém każeniu obiektywnéj prawdy historycznéj czujemy. Są wszakże ludzie drażliwszego usposobienia. I zauważyliśmy nie bez uśmiechu złośliwego, że niektórzy z nich wpadli w pomyłkę niespodziewaną. Ów Carlyle, na którego potępienie nie umieliby dobrać wyrazów po dokładném poznaniu, ów autor „Pamfletów“ i „Historyi Fryderyka W.“ przedstawił się im na podstawie informacyi niemieckiéj jako liberalny filantrop i lepszy przyjaciel *prawdy*, niż *Platona* germańskiego. O naturze jego liberalizmu rozprawialiśmy powyżéj. Pozostaje nam jeszcze skąpać cokolwiek czytelników w ostatniém z dzieł Carlyle'a, żeby uczuli jego opinie o nas samych.

Dla oszczędzenia miejsca, oraz z chęci niedotykania czasów i ludzi, o których trudno mówić z zupełną swobodą, ograniczymy się na zestawieniu wiadomości udzielonych anglikom przez Carlyle'a o naszéj roli dziejowéj do początku panowania Augusta III. Wszak-

że i one dostatecznie oświetlą jego sympatye i zdrowy sąd. Zacznie- my od pierwszéj jego wzmianki o słowianach.

Wendowie i wandale, według Carlyle'a, wszystko jedno. Są to słowiańscy zaborcy germańskiéj ziemi, opuszczonéj chwilowo przez suewów i anglosasów (1). Plemię to kudłate i nieme t. j. nic po sobie w piśmie a mało w tradycyi pozostawiło, co sprawia ulgę naszemu autorowi, bo lepiéj nic o takich plemionach nie wiedziéć (2). Wielki, stary Henryk Ptasznik pierwszy zaprowadza ład w tym chaosie, zdo- bywając warownię dziczy, Brandeburg — bór Brenny (króla), albo bór Brany — autor przyznaje się naiwnie, że etymologia nazw sło- wiańskich nie jest jego ulubioną zabawką. Już źródłosłowy Brande- burgii psują jego humor. Z hypotez o etymologii wyrazu Borussia, Preussen, Prussy wydaje mu się najodpowiedniejszym wywód, *Po- Rusi* — na kresach Rossyi.

Plagi dane przez wielkiego Ptasznika, „z rzezią krwawą“ sło- wiańskim miśniakom, czechom i wendom zapisuje z zadowoleniem.

Autochtoni Prus (królewskich i książęcych) — naród z wendów, litwinów, gotów szwedzkich. Ci ostatni rozsiani bliżéj morza. Wszy- scy zatwardziali poganie. Zabijają św. Wojciecha. „Jakto — woła zgorszony autor — czyż nie ma nadziei nawrócić prusaków? nigdyż nie porzucą strasznéj służby szatana? Nie powiadajmy nigdy! Ś. Woj- ciech napiętnował ich przez śmierć swą znakiem krzyża, jako wiecz- nym protestem przeciw temu słowu!“ (3). Tak tu jak w innych miej- scach okazuje autor wielką sympatyą do pracy missyonarzy niemie- ckich między aryjczykami białymi. Można by się pomylić, mniema- jąc że był gorliwym chrześcijaninem i nigdy nie wyśmiewał niezaw- sze chwalebnych sposobów, jakiemi kaznodzieje słodkiéj wiary Je- zusa propagują swoje panowanie między czarnymi i żółtymi „kana- kami.“

Ilekrotnie wendowie odbierają Brandeburgią zaborcom, tyle ra- zy sprawiają rzeź srogą „między biednymi niemcami, palą tumy i ko- ściół w ogóle i państwo, a na szczycie przyjemnego pagórka Har- lungsberg stawiają bożka swego Trigłapha. Potwór to trójgłowy. Wi- działem go na rycinie. Był chydny nad wszelki opis.... najbrzydszy i najgłupszy z bałwanów. Jego to postawili zwycięzcy wendowie na Harlungsbergu w r. 1023 i modlili się doń, ciemni śmiertelnicy. Ra- dość ich krótko trwała, ale katedra leżała tymczasem w perzynie, księży wybito lub wygnano.... kościół i państwo leżało w perzynie“ (4).

(1) Patrz H. F. W. tom I, str. 81.
(2) Ibid. t. I, str. 82.
(3) Ibid. str. 91.
(4) Ibid. str. 96.

Wnuk Mistewoja, „psa," co zdobył Brandeburgią, nawraca się przecież i zaczyna szerzyć słowo Boże między wendami, ale jeszcze skuteczniejszymi kaznodziejami okazują się ciężkie ciosy niemieckich Ditmarschów. Albert Niedźwiedź zaprowadza w końcu w Brandeburgii „spokój i porządek" — autor nie powiada, że to była cisza na grobach w pień wyrzniętych zakłócicieli porządku.

Wychodzi na scenę Zakon krzyżacki, „wspaniały fenomen wieków średnich, schronienie dla wszystkich walecznych, szukających karyery inną drogą, niż prosty motłoch" (1).

Cywilizacyjny wpływ zakonu w Prusiech tak się przedstawia:

— Po pracy niezmiernéj ujarzmił on pogańskich prusaków i zakolonizował kraj pracowitymi emigrantami niemieckimi, Wisłę i Noteć ujął w tamy, trzęsawiska przemienił na łąki, a szerokie koryta rzek na kanały dla okrętów. Zbudował miasta: Königsberg (miasto króla Ottokara), Thoren (Thorn, gród bram) i wiele innych. Ludność dzika i oswojona (*wild and tame*) mogła żyć spokojnie obok siebie, pod ewangelią i prawem Lubeki. Wszyscy orzą i handlują, a przeto kraj bogaty i Zakon się wzbogacał.... (2).

Powodzenie psuje go. „Wzdymając się rycerze stają się podobnymi do tuczonych wołów, których tylko jednego rodzaju przeznaczenie oczekuje."

Nawiasem zauważymy, że jedyném źródłem wiadomości autora o stosunkach Zakonu z Polską był Voigt — przynajmniéj nie powołuje się na żadnego innego świadka.

Przepowiedziana Zakonowi godzina kary za rozpustę bije; dzieli ją na trzy momenty. Najpierw:

— Daleko, w stronie Memla, znajduje się miejsce, gdzie można jeszcze oglądać cmentarz i niewiele więcéj. Tu spotkała krzyżaków niespodziewana, straszna klęska — rozwiązanie rozmaitych długich sporów z Polską — koniec ich wzniosłéj roli światowéj. Zostanie już tylko zrujnowany Zakon—zrujnowany na wieki. Ta okropna bitwa stoczyła się d. 15 lipca, Polska i król polski z gromadą dzikich tatarów i zbuntowanych prusaków przeciw niemieckiemu rycerstwu.... Rycerstwo walczy jak lwy, ale z niedostateczną strategią i mądrością, a odchodzi prawie od zmysłów, widząc powaloną w rów ostatni pychę swoję przez taką lichotę (*such a set*) (3).

Kilka razy powraca autor do wspomnienia bitwy pod Grünwaldem, a zawsze z żalem jawnym między wierszami, bo przecież pano-

---

(1) Ibid. str. 113

(2) Ibid. str. 184.

(3) Ibid. str. 217.

wanie Zakonu było „szczęśliwą porą dla Prus. Lemiesze zamiast mieczów; ruch w przystaniach morskich; niemieckie miasta się budujące; wszędzie powstające kościoły; zieleniejąca trawa i spokojne krowy, gdzie bywały trzęsawiska i węże" — takie to porządki zaprowadził „zwycięzki Zakon, z otaczającymi go i podwładnymi mu Braćmi mieczowymi w Inflantach oraz dobrzyńskimi rycerzami, wcieliwszy Inflanty, Kurlandyą i Litwę, wszystkie oswojone (*tamed*) skutkiem jego wpływu, lub okazujące skłonność do oswojenia...." (1). Prawda, iż zadanie jego „zbliżało się do końca, a potrzeba jego dłuższéj pracy nie była już tak gwałtowną."

Drugi moment upadku. Miasta pruskie i baronowie formują ligę przeciw rozpustnemu, okrutnemu Zakonowi, bo „chociaż ci mieszczanie w ogóle są niemcy krwią, a wszyscy niemcy kulturą," przecież przenoszą Polskę nad rycerstwo zepsute.

W trzeciéj epoce daje Toruń, pierworodny Zakonu, zmężniały 222 latami rozwoju, pierwszy przykład buntu i „wyrzuca Zakon psom, a najpierw polakom (autor używa pogardliwego *Polacks* miasto zwykłego *Poles*)." Ten ostatni zwrot mu się podoba, bo powtarza go późniéj jeszcze raz: „rzucili go na pastwę psom, a najpierw polakom" (2). Daléj pisze:

— Po nadzwyczajnie srogiéj wojnie Prusy zachodnie, późniéj królewskiemi zwane, przestają być niemieckiemi. Stają się polskiemi (w dopisku na dole: jak Toruń stał się niepodobnym do dawnéj swéj postaci kwitnącéj pod tém panowaniem patrz w Nankego „Wędrówce po Prusiech," Hamburg 1800). I tak cały ten piękny niemiecki kraj zmuszony się zbuntować przeciw nierozumnemu rodzicowi, zostaje odkrojony mieczem polskim i należy do Polski, która się także bardzo mądrą nie okazała. *Dopiero w r. 1773 przykroił go napowrót miecz niemiecki. Wszyscy czytelnicy słyszeli o Podziale Polski, ale o Podziale Prus 307 lat wcześniéj niewszyscy słyszeli* (3).

Ostatni paradoks posłuży w potrzebie do obrony polityki Fryderyka W., rewindykującego część Prus rozebranych w r. 1466.

Opisując zabiegi swych „heroicznych" monarchów celem „rewindykacyi" Pomorza, którego ludność zowie wendyjską i o któréj powiada, że okazywała skłonność do niezależności, gdy wolna od szwedów, wyznaje raz jedyny w swéj historyi, że proces assymilacyjny téj ludności nie szedł gładko. Pochwala przecież najpierwsze zamachy brandeburskie na jéj udzielność.

---

(1) Ibid. str. 138, 139.

(2) Ibid. str. 247 i dalsze.

(3) Podkreślenia ostatniego zdania dopuścił się autor Zarysu

Hołd Alberta Zygmuntowi oburza Carlyle'a, ale nie na Alberta, który nie byłby złożył hołdu, gdyby się czuł w sile, lecz na Cesarstwo, że niedołężne pozwolilo oderwać od siebie „czystą, niemiecką ziemię.“ O sekularyzacyi ziem Zakonu pisze:

— W źle informowanych kołach panuje przekonanie, że Albert był rodzajem oszusta, co przyjąwszy godność mistrza Prus, ukradł potém te Prusy do własnéj kieszeni z wesołem sercem. Jest to idea niedorzeczna (idle), niezgodna ze znajomością prawdziwego stanu rzeczy. Nie z wesołem sercem chował Albert Prusy do kieszeni ale po upartem usiłowaniu postąpienia inaczéj. Każdy inny byłby tak samo uczynił.... Albert był w kłopocie wielkim—dodaje, opisując pokuszenie Alberta i próbę postąpienia sobie inaczéj. — Dałeś słowo! słowa dotrzymać potrzeba... ale ono nie może być dotrzymane, bez dotkliwéj straty, a nawet zrujnowałoby tych, którym je dałeś. Abdykuj więc, porzuć Prusy! Porzucić je? Porzucić cenny przedmiot? To się tylko robi w ostatniéj potrzebie.... (1).

Taka sama tolerancya dla zatrzymujących sobie i zabierających cudze cenne przedmioty nazywa się w całéj H. F. W. rozumem politycznym. O jéj moralnéj stronie nie ma mowy, jeśli cenne przedmioty nie należały do Niemiec.

Albert paktuje więc z „wujaszkiem Zygmuntem“ i składa hołd w Krakowie, a Prusy rycerskie znikają niemniéj z winy Zygmunta, jak Alberta.

— Była to tranzakcya niezupełnie z literą prawa zgodna, któréj logiczność wolnoby porąbać na kawałki... ale Zakon był całkiem martwy i poruszał się tylko jak trup galwanizowany i zaczynał gnić, więc trzeba było pogrzebać trupa, żeby fetorem nie zaraził sąsiadów. Ktoś go musiał pochować.... zdarłszy pierwéj jego skórę, dla siebie, za fatygę.

Cała dynastya dziedziców Alberta wydaje się Carlyle'owi heroiczną. Są to „spartanie,“ (najwyższy wyraz jego uznania), którzy lud pruski spartanizują.

Polacy nie są spartanami. Ich „arystokratycza rzeczpospolita z królem zredukowanym do wartości zera wkradła się klinem w posiadłości pruskie.“ Wyparcie ich z ziemi niemieckiéj i wymówienie im hołdu było pierwszym obowiązkiem. Ta „arystokratyczna republika posiadała chmarę (*clouds*) zuchwałego rycerstwa, połyskującego barbarzyńskiém złotem, oraz pewnego króla Jana Kazimierza, człeka dość rycerskiego.“ Z tym królem pokłócił sę jego mocny kuzyn Gustaw Karol, a Fryderyk Wilhelm:

---

(1) Ibid. str. 295 i dalsze.

— Połączył się z tym Karolem z przymusu, chociaż byłby wolał siedzić sobie spokojnie i bił się przy nim w sławnéj bitwie pod Warszawą. Ta bitwa toczyła się przy samém mieście. Tłumy spoglądały na nią z wyższych okien. Tam zostało rozbite polskie rycerstwo i pierzchło, jako plewa przed wiatrem, a Jan Kazimierz został prawie zrujnowany. Wkrótce przeszedł Fryderyk Wilhelm, odznaczywszy się w bitwie, na stronę przeciwną. Był-że niekonsekwentym zdrajcą? Bynajmniéj, czytelniku! Może człowiek nie ma czasem innéj drogi otwartéj, prócz krętéj (*in circuits*), i jak śruba musi się obracać czasem na wschód, a czasem na zachód, byleby zawsze zachował wyobrażenie swego osobistego (*private*) celu. Wszakże Jan Kazimierz wyrzekł się hołdu Prus za wymienioną usługę. Wielka to wygrana dla Fryderyka Wilhelma (1).

Carlyle nie pomija milczeniem żadnéj sposobności zabawienia nas widokiem pierzchającego polskiego rycerstwa, połyskującego złotem barbarzyńskiem, chociażby ta klęska nie stała w związku z korzyścią Hohenzollerów. Upokorzenie „dumnych“ sprawia mu zadowolenie, pobudza jego humor, odżywia malowniczość stylu.

Opisując elekcyą Stanisława Leszczyńskiego i stan Polski po śmierci Augusta II, usprawiedliwia politykę sąsiadów i ówczesną i późniejszą następującemi słowy:

— Wspaniała mi rzeczpospolita! ze swojem *liberum veto* i sejmami tylko do anarchicznego wrzasku zdolnemi, stojąca już na tym punkcie, że sąsiedzi deptali na jéj spódnicę ze wszystkich stron i pytali się: a dokądże idziesz z twoją anarchią? nie tędy, proszę, nie tędy! I sąsiedzi mogliby byli się pobić, zanim by taka elekcya się rozstrzygała. Jeśli w jakim domu na twojéj ulicy kurzy się wciąż przez dachówki, dom ten nie jest doprawdy pożądanym sąsiadem (2).

Portret magnatów (*grandees*) polskich—trafiony:

— Kogo by byli wybrali pozostawieni sobie samym magnaci polscy? Nie jest to pytanie ważne i nikt go nie kładł. Oni już dawno przestali oglądać się za osobą zdolną rządzić, a przeciwnie szukali osoby, przy któréj leżał żer. Żer jakikolwiek, chociażby w brzęczącéj gotówce, pasował polskiemu magnatowi. Nie magnaci polscy, ale wścibscy sąsiedzi, w których kieszeni polscy magnaci siedzieli, byli elektorami. Takiéj surowéj karze podpadła Polska i jéj magnaci za niesumienne głosowanie. Stali się maszynami, służącemi do oddawania głosów; pistoletami, któremi walczyli źli sąsiedzi, aż los roztropny

(1) Tom II, str. 66.

(2) Tom V str. 23 i dalsze.

przestał się zadawalać tą użyteczną metodą spożytkowania ich i całkiem ich skasował, 40 lat późniéj.

Antypatya Carlyle'a do ludzi słabéj woli, lub o których sądził, że byli słabéj woli, objawia się w jego przedrwiwającéj charakterystyce nieszczęśliwego króla Stanisława:

— Mieszkał koło Weissenburga i t. p. miejsc spornych w kraju francuzko-niemieckim, który-to kraj kradli coraz daléj francuzi na własny użytek... Prowadził próżniacze życie wiejskiego gentlemana, z cieniem królewskiego dworu. Miał pełno pieniędzy. Nikt się nań nie uskarżał. Zbudował sobie zameczek i nazwał go *Schuhflick*, imię przemawiające do wyobraźni i przedstawiające naiwność jego duszy. Nic więcéj o nim nie pamiętam, krom że nieborak musiał porzucić buty łatane i wyjść jeszcze raz na scenę publiczną i przebyć jeszcze jeden sezon nieszczęść i hańby (disgraces).

Bawi autora, że na sejmie przed elekcyą „mniejszość była wyrzucaną przez okna" lub „strzelano jéj w łeb" a swobody wyborów na Błoniach Woli pilnowała armia cesarska na Szlązku i 50,000 wojska pod marszałkiem Lacy na granicy Litwy. Opisuje z humorem biedę Leszczyńskiego w Królewcu, gdzie go młody Fryderyk spotyka, oraz opłakany stan chmary polskich magnatów i szlachty, zbiegłych z „tatuniem, a raczéi dziadkiem Francyi" (ojcem matki delfina), gołych, kłótliwych awanturników. Waleczna obrona Gdańska i niebezpieczna ucieczka nie podnoszą Stanisława w jego opinii. Żegna go ostatnim strzałem:

— Niech sobie zostanie tytularnym królem Polski, co mu mało pomoże, ale niech także włada księztwem Lotaryńskim. Majestat Stanisława będzie pobierał dożywotnią pensyę, a Lotaryngia dostanie się po jego śmierci Francyi. Lotaryngia? wołają cesarstwo, cesarz i wybrany zięć cesarza, Franciszek, książe Lotaryngii. To zaprawdę strata i hańba i ciężkie wynagrodzenie za szkody wyrządzone przy (polskiéj) elekcyi (1).

Na tych wyjątkach poprzestajemy. Obrona polityki Fryderyka W., powtarzająca argumenty niemieckie, nic by nie przedstawiła nowego, a obrazy zgnilizny w ówczesnéj rzeczypospolitéj są trafione. Nie one nas oburzają, ale uczucia protestują przeciw satysfakcyi, jaką widok téj zgnilizny sprawia autorowi. Dla czego? bo wzmacnia jego argument o konieczności zdeinfekcyonowania téj zgnilizny zaborem niemieckim i kulturą niemiecką. Wstręt budzi w nas ten taniec z prysiudami, wyprawiony wzorem indyanina nad oskalpowanym nieprzyjacielem, gdy wybiła godzina kary dla niemiłego autorowi

(1) T. III, str. 42 i dalsze.

grzesznika. Nam się zdaje, że gdybyśmy posiadali pióro wielkiego historyka, wtedy miasto śmiechu sardonicznego płynęłyby zeń łzy nawet nad rozpasaniem bizantyńskiém, ubliżającém całéj ludzkości w jéj cząstce—zarzucili byśmy nawet rąbek litościwéj togi na kurczowo drgające oblicze konającego Nerona...

Większy geniusz od Carlyle'a, on, któremu krytyk z Chelsea odmówił stworzenie choć jednéj szlachetnéj idei, przyjaciel osobisty Fryderyka, był przecież bardziéj ludzkim od swego szkockiego oskarżyciela, bo postawił zasadę: *Si une république a toujours été dans les dissensions, je ne veux pas pour cela, qu'on detruise la république. On peut reformer ses lois* (1).

* * *

„Historyą Fryderyka W." zakończył Carlyle działalność literacką, którą wolno podzielić na dwa okresy. Kwiatem pierwszego z nich była „Rewolucya Francuzka," owocem drugiego rzeczona „Historya." Nic zaś nie wyjaśnia zagadkowéj różnicy zapatrywań, widnéj w pismach tych dwóch okresów. Zdawało się nam jeszcze w ciągu niniejszéj pracy że dopiero wyjście przyrzeczonéj za lat parę biografii Carlyle'a przez Froude'a rzuci promień światła na nią.

Niespodziewanie wręczono nam jednak tom pośmiertny, wydany przez Froude'a w r. b. z zapisków, jakie mędrzec z Chelsea zwykł był robić o książkach, wypadkach, ludziach i samym sobie. Ten ostatni upominek wielbicielom Carlyle'a nosi tytuł: „Reminiscences (wspomnienia) *of Thomas Carlyle*." W nim zdaje się nam, może mylnie, tkwić w ukryciu niezbyt głębokiém klucz do niektórych tajemnic w charakterze starzejącego się księcia prozy angielskiéj, z których wynikł przewrót w jego tendencyach. Cóż znajdujemy w tych „Wspomnieniach"?

Wizerunki rozmaitych osób, przyjaciół i krewnych autora, ale także i kilka znakomitości—Jeffrey'a, Southey'a, Wordsworth'a Irvinga itd. Daléj kilka uwag krytycznych—czasem z połyskującemi płomieniami autora *Essay'ów*. Główna wartość „Wspomnień" polega wszakże na fragmentach autobiograficznych, z których biegła ręka mogłaby całość złożyć, jak z uszkodzonych listów i mów Cromwella powstało słynne dzieło Carlyle'a.

W tych fragmentach widzimy starca gadułę, znękanego, narzekającego bez miary. Opowiada swoję genealogią, niekiedy anekdotycznie, a niekiedy pysząc się z kmiecego pochodzenia i udowa-

---

(1) Voltaire, Ouevres choisies str. 866.

dniając teoryą dziedziczności przymiotów ducha w wzmiance, ile zawdzięczał „małomównym, hardym, pracowitym przodkom chłopskim z Annandale.“ Widzimy go w samotności ducha, w jakiéj się zamykał po stracie żony, przebywającego jeszcze raz straszną walkę, nakształt monodramatu, przedstawionego w cierpieniach i wątpieniach Teufelsdröckha. O stanie jego umysłu świadczą np. następujące ustępy: „Wychodziłem na popołudniowe spacery zawsze obarczony zgryzotą, zły, a często z uczuciem podobném do uczuć szatana, kroczącego po rozpalonym marmurze (nie buntującego się przeciw Najwyższemu, ale niepobożnego).“ Przebywał chwile pychy a może i zawiści, bo mówi: „Stojąc w powodzi ekwipażów mijających róg Hyde Parku myślałem—tak! a przecież może żaden z was nie potrafiłby zostać takim, jak ja.“ Najczęściéj jednak pogardzał światem i postanawiał: „Gdy skończę tę książkę i rzucę ją wam pod nogi—kupię sobie sztrzelbę i łopatę i schronię się w zaatlantyckiéj puszczy, daleko od ludzkich marności i podłości.“ Trzy lata był jednak przykuty do téj „ponuréj“ książki, wątpiąc często, ażali siły wystarczą na wykonanie zakreślonego programu, pracując „w gorączce,“ w „dzikiém rozdrażnieniu nerwowem“. Co najdziwniéj, gdy duch wytrwały mógłby się radować nad skończoną książką, autor stawał pod słupem milowym, z twarzą obróconą do uroczego, rodzinnego Annandale i z takiem uczuciem: „Słowa nie opiszą dzikości i grozy téj sceny, jak mnie się przedstawiała. Zdawało się, że Hades z całém swém zamroczoném królestwem śmierci i wieczności spoglądał na mnie przez te dobrze znane przedmioty.“ Przez 13 lat pracy nad Fryderykiem W. „któréj swe wszystkie siły poświęcał“, „żył samotny wśród zmor nocnych i przyciskał do łona istoty nieczyste.“ Tak bez spoczynku i ulgi walczył, nie zwierzając się nikomu, aż „otrzymał odpowiedź na swe zapytania“ i „wydarł wielką tajemnicę przez oddanie własnego życia pod tortury.“

Sąd świata o jego dzielach i życiu miał w pogardzie, bo przekonał się o głupocie świata z losu manuskryptu Sartora i z długiego niepoznania się krytyków na wartości tego dzieła. W ogóle, żywił jak najgorsze wyobrażenie tak o całéj ludzkości, jak o jéj wybranych. I tak pisze o Wordsworth'cie, poecie wielkim i przyjacielu własnym: „Człowiek ten zdawał mi się takim karłem, jak gdybym nań spoglądał przez wywróconą perspektywę i widział mysz z jéj gniazdkiem.“ O innych znakomitościach wyraża się z równém lekceważeniem. Natomiast przecenia najbliższych. Ojciec jego rodzony zdawał mu się być „większym człowiekiem od Burnsa“, a o żonie powiada: „Wszystkie Sandy i Ellioty i świegotliwe koterye bazgrających, sławnych kobiét, nie byłyby równemi jéj, choćby je wszystkie razem zagotowano i wydystylowano z nich essencyą.“

Słowem, w dobrowolnéj samotności, w szamotaniu się z logicznością, w gorączce boleści, w zarozumiałości, że sam jeden odkrył rozwiązanie sfinksowéj zagadki, w ufności, że jego dzieła staną się miarą doskonałości dla najdalszych wieków, geniusz, wpadający niekiedy w objęcia mistycyzmu, stracił dokładne wyobrażenie proporcyi, istniejącéj między otaczającemi go istotami. Jedne wydawały mu się większemi, inne mniejszemi, niż były rzeczywiście...

Tak z uwag naszych o „Wspomnieniach“, jako téż z całéj rozprawy niniejszéj domyślił się zapewnie cierpliwy czytelnik, że historya życia i twórczości Carlyle'a nas nie zbudowała. Nie zaprzeczamy, że był wielkim i szlachetnym; nie kładziemy nacisku na jego pomyłki, ale tylko powtarzamy ze znaczną częścią najgorliwszych jego angielskich wielbicieli, że człowiek ten stał na schyłku wieku swego samotny, nie chciał lgnąć do ludzi pokrewnych mu talentem, odosobniał się tragicznie, a z największą goryczą odpychał tych, w których ogień zapalony jego dawniejszemi ideami płonął najczyściéj. Cały postęp nowéj cywilizacyi, z jéj demokracyami, filantropią, dobrobytem i żądaniami zaczął mu się wydawać leceniem w bezdenną otchłań piekielną i jak Tyrezyasz, wróżył tylko nieszczęścia, do ostatniéj swéj godziny. Sam powiada w autobiograficznych fragmentach, że „wiódł życie znędzniałe (*haggard*), pasując się nie z aniołem Pana, ale z czarnemi duchami, nakształt człowieka otoczonego od młodości zmrokiem i straszydłami, postawionego w stanie nagiéj bezbronności przeciw szatanowi i wszystkim ludziom.“

Walka pełna nauki dla przyszłych pokoleń! Dla jéj ofiary czujemy litość, przez wzgląd na jéj wielkość i usługi, oddane niegdyś pięknym ideałom. Biedny apostato światła, który napowrót spętałeś się w naprawione własnoręcznie okowy. Pod czyim wpływem? Pytanie! Czy pod ubóstwianéj żony? czy straconéj skutkiem żałoby równowagi umysłu? czy zaszczepionego w ponuréj, kalwińskiéj krwi szkockiéj jadu, jak Anteusz trudnego do pokonania, a który przy każdéj recydywie wprowadza do wymieconego pozornie serca innych siedm nieczystych duchów? Nie wiemy. Tyle wszakże widno z fragmentów autobiograficznych, że duch Teufelsdröckha, apostata od rzekoméj swéj prawdy, tak mozolnie wywalczonéj, znów się błąka po mgłą chaotyczną zamroczonym oceanie i zżyma się na szatana w sobie i na wszystkich ludzi, bo go kuszą do powrotu na ląd stały...

Na stały ląd naokoło—z pagórkami, dolinami, zdrojami—z porami uśmiechów przyrody, kwiatów i pączków, jesieni uginających gałęzie i rzucających welony z bronzowych i złotych tkanin na lasy, z ogniskami domowemi, przy których znajdują schronienie cnoty i aspiracye naszego rodzaju—z rozkoszną muzyką i kunsztem i pie-

śnią, o nadziei, miłości i szczęściu—z wiedzą wypełniającą każdą minutę czasu, aby potwory mistycznéj fantazyi nie miały sposobności nas dręczyć—z uszlachetnieniem własnéj jaźni, by przelana w następne pokolenia rozkoszowała się w sumie przekazanych potomstwu pięknych popędów—rezultatach swéj pracy. Po cóż mędrcze cierpisz przez 86 lat; mając ten ostatni cel otwarty? Człowieczeństwo jest ważniejsze od urojeń. Ono jest oceanem, przy którym czcze spekulacye i strachy wydają się jako ruchliwe, bez śladu opadające fale, przestworem, w którym się rozpływają mgły i obłoki dogmatów. Biedny Carlyle, nienawidzący ludzkość, wątpiący o jéj przyszłości, kładący kark pod jarzmo własnych mar! Wart był spoczynku i szczęścia, bo chociaż stał jak sfinks, bez współczucia dla cierpień ludzkich, przecież życie jego należało do najszlachetniejszych, o jakich wspominają żywoty mistrzów literackiego zawodu...

Sygurd Wiśniowski.

LUDNOŚĆ ROLNICZA ZIEM UKRAINNYCH
DO WYBUCHU WOJEN KOZACKICH.

(Dokończenie).

II.

Mocą dokonanego przez Unią Lubelską (1569) aktu ostatecznego zjednoczenia Litwy z Polską, południowe ziemie ruskie wielkiego księztwa zostały bezpośrednio połączone nadal z koroną i zaliczone do prowincyi mało-polskiéj. Ponieważ atoli zrzeszona od tego czasu ściśléj Rplta nie przestawała być po dawnemu federacyą dzielnic ziem i ludów, mniéj lub więcéj samoistnie w poprzednim bycie historycznym wyrobionych, przeto i ziemie ruskie południowe, przechodząc teraz pod bezpośrednie zwierzchnictwo korony, utrzymały i nadal swój osobny obyczaj i porządek prawny. Utrzymały też i swój Statut litewski drugiéj redakcyi, który miał pozostać dla nich, i w zakresie stosunków społeczno-ekonomicznych, zasadniczém prawem obowiązującém. Pozostał on takowem rzeczywiście i wtedy nawet, gdy Litwa poddała go u siebie po latach dwudziestu nowéj redakcyi, i dla tego otrzymał charakterystyczną nazwę Statutu wołyńskiego od téj krainy, która w owym czasie, pod każdym względem innym ziemiom południowym, przodowała. Oprócz tego statutu stawały się obowiązującémi, oczywiście, wszystkie następne ogólne uchwały sejmowe Rpltej. Unia lubelska wszakże nie miala jakiegoś przełomowego wpływu na dalszy kierunek zmian prawodawczych odnośnie do stosunków rolniczych ziem ruskich, gdy, jakeśmy widzieli, zwrot ku zbliżeniu się z trybem polskim już w pierwszym statucie wybitnie się uwydatnił. Nie była też ona ani punktem wyjścia ani zamknięciem dokonywającego się na Rusi społecznego przeobrażenia; chociaż sam fakt jéj nie mógl pozostać i bez pewnego, na razie nawet, wpływu

moralnego co do żywszéj podniety przynajmniéj. Szlachta ziem ruskich, przyznana na mocy Unii równą we wszystkich względach z polską, poczęła uważać normę stosunków włościańskich wyrobioną w piastowskiéj Polsce za swe prawo przyrodzone i gotowa była, niwecząc ocalałe resztki dawnych praw swych włościan, jakie ochraniał jeszcze zwyczaj przedewszystkiém, zagarnąć je do reszty na rzecz własną. Osobliwie odkąd zapatrywanie się ogółu ziemian niedawno zuniowanéj Rzpltéj na prawa poddanych wypowiedziało się tak charakterystycznie i istnie po zachodnio-europejsku w głośnéj uchwale sejmu konwokacyjnego 1573, po śmierci Zygmunta Augusta, gdzie zaręczając sobie powszechną swobodę religii, poddawano nawet sumienia włościan dowolności ich dziedziców.

Lecz, przechodząc do dalszego obrazowania faktycznych społeczno-ekonomicznych stosunków, bardziéj od czasów Unii zmuszeni będziemy, dla utrzymania jedności w ugrupowaniu przedmiotu, ogarniać zarazem też gdzie tego okaże się potrzeba i epokę pierwszych statutów.

Widzieliśmy wyżéj co za charakter nosiły stosunki gospodarczo-społeczne w dobrach królewskich przed Unią; jakowy to charakter zachowywały one i w długie czasy jeszcze po jéj dokonaniu, nadto tém niezmienniéj, o ile odnosiły się do bardziéj ku kresom posuniętych zamków i ich włości. Z porządku rzeczy przejdziemy tu daléj do tychże stosunków w dobrach prywatnych, poczynając od wstępnego określenia ciężarów danniczych ludu tam poddanego w epoce pierwszych statutów, kiedy już władza królewska znakomitą część dóbr ziemskich w krainach południowych z rąk swych wypuściła.

Ciężary dannicze włościan względem *panów* odpowiadały pierwotnie poprzednim ich powinnościom publicznym, rządowym, lecz późniéj z rozwojem poddaństwa, powstawać poczęły opłaty wkładane i na nowe przedmioty poborów.

Głównym przedmiotem opodatkowania była zawsze *ziemia*, jednostką zaś zasadniczą, do czasu upowszechnienia w pasie zachodnim włócznego porządku gospodarstwa i zawarunkowanego przez takowy pomiaru roli, przyjmowaną była samoistna gospodarka rolna, albo posiadana przez nią ilość roboczego inwentarza. *Daniny* pobierane były częścią w pieniądzach, częścią rozmaitemi produktami. *Robocizna* chociaż istniała oddawna, lecz wzmianki o niéj są względnie daleko rzadsze; weszła ona jednak w powszechne na zachodzie użycie, już w wieku XVI, kiedy tam rozwinął się żywiéj szczególnie handel wywozowy zboża, spławianego do Gdańska, oraz bydła, zbyt którego przez Szląsk odbywał się przedewszystkiém. Danina *pieniężna*, dopóki jeszcze pobieraną była na rzecz państwa, nosiła nazwę ogólną

„srebrnéj dani“ lub „serebszczyzny.“ W razach szczególnych zaś nosiła różne miana stosownie do miejscowości: „pososzczyzny“ na północy, „podymszczyzny“ na południu; późniéj gdy prawo nakładania ciężarów przeszło w ręce panów właścicieli ziemi, występują téż nazwy „groszowy płat“ i „czynsz.“ W zastosowaniu owych terminów stopniowo wyrobiła się atoli różnica: *serebszczyzną* poczęto nazywać jedynie podatek rządowy, wysokość którego oznaczaną była każdorazowo szczególnym nakazem księcia a późniéj przez uchwały sejmowe, następnie zaś ciężar ten otrzymał miano „podymnego,“ które zachowało się do późniejszych czasów; *czynsz* oznaczał szczególnie opłatę na rzecz dziedzica, w jakim znaczeniu wyraz ten utrzymał się i dotąd.

Rozkład tych opłat był jednostajnym, podług gospodarstw lub ilości znajdującéj się w nich bydła, co téż dowodzi jednakowego ich znaczenia. Tak serebszczyzna była rozkładaną na sochy; pososzczyzna zaś, miano któréj samo wskazuje przedmiot opodatkowania, była rozkładaną na dwory i dymy. Tożsamość podymszczyzny z serebszczyzną zauważył już Czacki, o czém przekonywa nadto okoliczność, że nazwy te wspominane są w rozmaitych miejscowościach, nigdy zaś w jednéj i téj saméj. Odpowiednie sosze, jako jedności ziemi ornéj, z gospodarki bartnéj opłata pobieraną była od „leziwa.“

Obciążanie podatkiem gospodarstwa rolnego, jako jedności, pod nazwą *dymu* czy *sochy*, bierze swój początek z najbardziéj starożytnéj epoki dziejów Rusi i system ów podatkowy, razem z użyciem nawet jak jednego tak i drugiego terminu, spotykamy jeszcze w pierwszéj dobie wytwarzania się ruskiéj rzeszy państwowéj. Tak latopis pod r. 859 mówi, że Kozary brali dań od Polan, Siewierzan i Wiatyczów, „po bieli i wiewiorycy od dymu;“ w 964 roku Wiatycze powiadają Swiatosławowi, kozarom po szelągu „od radła“ dajemy; pod 981 r. zaś czytamy, że Włodzimierz zwyciężył Wiatyczów i nałożył na nich daninę „od pługa,“ jaką i ojciec jego pobierał.

Czasem pod temiż nazwami rozumiano, oprócz daniny pieniężnéj i *daninę w naturze*, jak np. w podymszczyznie bracławskiéj, gdzie oprócz pieniędzy brano owies, chleb, kury (Źr. dziej. t. VI). Lecz częściéj pobory podobne w naturze zwały się „daniami“ lub „podaczkami“ które i bywały: miodowe, kuniczne, osypne, zwane również „dziakłem“ i t. d. Też same pobory, jeśli one nie stanowiły stałéj daniny, lecz ściągane były tylko czasowo, przy okoliczności przejazdu księcia, posłów krajowych lub cudzoziemskich, gońców i t. p. zwaly się *stacyami*; późniéj mianem tém nazywano przedewszystkiém dostawę prowiantu dla wojsk, często obracających pobór stacyi na otwartą i systematyczną grabież, niszczącą nieraz całe okolice.

W aktach da się spotykać jeszcze mnóstwo *nazw* rozmaitego rodzaju poborów tak pieniężnych, jak w naturze, ale po większéj części urozmaicały się one nietylko podług miejscowości, lecz nawet podług szczególnych dóbr, nie stanowiąc zwyczaju powszechnego. Pobory owe otrzymywały nazwę albo od przedmiotu obciążonego, jak rogowe, oczkowe, przyłaz, wołowszczyzna i t. d., a także różnego rodzaju opłaty: targowe, wagowe, pomiarowe, pogrobelne i t. p., lub od przeznaczenia pobieranych pieniędzy, jak np. klikowszczyzna, stróżowszczyzna, prochowe i t. p.

Powinności w naturze uiszczane pracą, nosiły nazwę „przygonu,“ „robocizny,“ potém *pańszczyzny*; oprócz tego były jeszcze „tłoki,“ t. j. robocizna z pańską strawą i piwem, „szarwarki,“ a czasem „gwałty“ roboty na groblach i t. p. W powszechném użyciu była również powinność dostawy koni „podwody,“ pierwotnie zwana „powozem.“

Zakres i stopień *powinności w naturze* były niejednostajne: nietylko w rozmaitych miejscowościach oraz w różnym czasie, lecz nawet w jednym i tym samym majątku jedni włościanie dawali więcéj, drudzy mniéj, stosownie do ilości uprawianéj przez nich ziemi, ilości bydła, czasem zaś podług liczby robotników w rodzinie.

Dopóki ludność była niewielką, a ztąd znaczne przestrzenie pozostawały nieobrobionemi, wielkość uposażenia włościańskiego zależała głównie od ilości sił roboczych gospodarki. Powoli obok ustalania się porządku szlacheckiego, postępowało *regulowanie* rozmiarów gospodarki włościańskiéj, a zarazem sprowadzanie jéj do pewnych norm określonych. Taka, uznawana za normalną, średnia wielkość *gospodarki* nosiła niejednostajną *nazwę* w różnych miejscowościach: gdy na Litwie nazywano ją „służbą,“ na Wołyniu i Polesiu zwała się „dworzyszczem,“ na Ukrainie zaś „osiadłym dymem.“ Nazw owych nie można uważać za jednoznaczne co do obszaru: tak np. litewska służba była dwa razy niemal większą od wołyńskiego dworzyszcza; dworzyszcza poleskie były jeszcze znaczniéj większe, bo zawierały po kilka osobnych gospodarstw albo dymów.

W ogóle *wielkość* gospodarstw przy tym systemacie dzielenia, to jest przed dokonanym pomiarem gruntów, mogła być określaną tylko przez przybliżenie, na rzut oka, i znaczne różnice owéj widoczne są w rozmaitéj wysokości czynszów, opłacanych z różnych dworzyszcz w jednym i tym samym majątku. Czasami obszar gruntów ornych dworzyszcza oznaczano podług „dni“ t. j. podług ilości czasu, niezbędnéj dla zorania pewnéj przestrzeni; wielkość zaś sianożęci podług liczby „kosarzy,“ potrzebnéj dla sprzątnienia w ciągu jednego dnia kośby. Spotykamy w aktach pomiędzy innemi przykład dwo-

rzyszcza o dwóch gospodarkach, w którém liczono: ziemi ornéj w kilku miejscach więcéj 76 dni, sianożęci na 26 kosarzy i wolny wjazd do lasu. Obliczanie obszaru ziemi na dni i kosarzy przechowało się w wielu miejscowościach Rusi południowéj do obecnéj chwili i obydwom tym ilościom nadaje się jednostajne znaczenie, w przybliżeniu około trzech ćwierci dziesięciny. Przyjąwszy ten stosunek w powyższym przypadku znajdziemy, iż do dworzyszcza należało około 60 des. ziemi ornéj i około 20 des. sianożętnéj, zkąd oczywista, iż chociaż na takich dworzyszczach było nieraz i po dwie gospodarki, uposażenie ich w grunta było bardzo dostatnie.

Pomyślny ten stosunek począł się zmieniać z wprowadzeniem i stopniowém rozprzestrzenieniem *włócznego* porządku gospodarstwa, podług którego lepsze grunta zwykle były przeznaczane na urządzenie *folwarku* pańskiego, a pozostałe dzieliły się na *włóki*. Na których zaś, oczywiście mniejszych od dawniejszego uposażenia włościańskiego, osadzał dziedzic jedno, potém zaś dwa, a nawet więcéj gospodarstw włościańskich, w miarę stosunku, jaki istniał w danym majątku między liczbą ludności a przestrzenią ziemi uprawnéj.

W taki sposób istniało na Rusi w XVI w. jednocześnie *trzy rodzaje (systematów)* użytkowania ziemi przez włościan.

Najstarożytniejszy z nich, zawarunkowany względną rzadkością zaludnienia i dostatkiem ziem niezajętych, opierał się główniéj na fakcie *pierwszego zajęcia*, niezależnie od wszelkiego wglądania ze strony lub jakiego nadzoru. Znikał on zupełnie w bardziéj spokojnych i gęściéj stosunkowo zasiedlanych miejscowościach północnéj Rusi litewskiéj: najpóźniejsze wskazówki dotyczące przyznania tu prawa na ziemie na mocy faktu wykarczowania takowych w lesie należą jeszcze do w. XV. Lecz w stronach południowych, ukrainnych, taka postać użytkowania wciąż się utrzymywała: tak jeszcze w połowie XVI w. mieszczanie żytomirscy orali miejską ziemię gdzie chcieli, podobnież jak mieszkańcy Kaniowa, Czerkas, Czehryna, Korsunia, Zwinogródki, Bracławia i innych miast południa, których terytorya były rozrzucone na ogromnych przestrzeniach ziem niezajętych.

Z kolei rozwinął się zwyczaj *podworzyskowy*.

Stopniowe bowiem zagarnianie zdatnych do uprawy ziem, prowadziło naturalnie i do ustalenia praw użytkowania z nich na rzecz pojedynczych osób i ich potomstwa, a zarazem wpływały na to i widoki samych panów. W taki téż sposób powstało posiadanie ziemi przez włościan służbami, dworzyszczami lub dymami, utrzymujący się najdłużéj w pasie przejściowym względem Litwy, na Wołyniu i poczęści w Polesiu.

Istotę systemu podworzyskowego znajdujemy wyczerpująco przedstawioną w monografii ks. T. Lubomirskiego p. t. „Starostwo ratenskie“ (Bibl. W. 1855, t. II).

Widzimy tam, iż gromady, gminy trzymające się porządku dworzyskowego stanowiły rodzaj spółek. Spółki te były różnéj postaci: stały one głównie atoli na pokrewieństwie, oraz równym podziale plonu z poimiennikami; opierały się téż i na innych zasadach, jak naprz. w stosunku z „połowiennikami“. Połowinnicy ci, inaczéj, „podsadki, potużnicy,“ brali grunt nie bezpośrednio, lecz u zamożniejszego gospodarza, któremu oddawali połowę plonu, nie ponosząc żadnych innych ciężarów i nie mając żadnych stosunków z rządem lub władzą dworską w ogóle. Dla małéj rękojmi, jaką dawali w wypłacie czynszu i dani, urząd niechętnie wchodził z nimi w umowę, któréj również unikali i oni, obawiając się wpaść w długi i stracić prawo do „wychodu.“ Gospodarze zaś właściwi brali w dzierżawę „ziemię“ znaczniejszych obszarów, któréj kęsy puszczali podsadkom, zatrzymując oczywiście dla siebie dział co najlepszy. Składali oni zwykle dworowi część trzecią plonu, a biorąc od swych podsadków połowę takowego, wynagradzali sobie należycie rękojmię, jaką tamtym dawali. Wieś lub kilka dworzysk pisały się pod imieniem jednego gospodarza, niekiedy kilkudziesięciu nawet mogło w niéj być połowinników. Gospodarze mieli uznane swe stanowisko, jeżeli nie prawne to społeczne. Jako dzierżący ziemię bezpośrednio od dworu, byli oni poczytywani za przytwierdzonych, chociaż zawsze z prawem „odkłonu;“ podsadki zaś, poimiennicy mogli się wynosić, nie opowiadając się wcale dworowi, który zresztą nie widział żadnego interesu w ich przytwierdzeniu. „Hultaj“ przecie tj. człowiek który nie trzymał gruntu i robił za dzienną płatę, siedząc na miejscu, przy pracy, z łatwością zostawał podsadkiem a z czasem i całkowitym gospodarzem.

W epoce przejściowéj wszakże—dla każdéj miejscowości, porządek dworzyskowy przedstawiał obraz daleko większego urozmaicenia; nim ostatecznie sama podstawa onego została zniesioną, a połowinnicy, obróceni w zagrodników i komorników i również jak ich gospodarze przytwierdzieni do gruntu, pociągnięci byli do bezpośredniéj od dworu zawisłości.

Porządek (system) *włóczmy*, przejęty od zachodnich sąsiadów i nieodpowiadający w ogóle dawniejszemu sposobowi osiedlenia większemi lub mniejszemi gromadami w jedném miejscu, został najpóźniéj zaprowadzonym, spotykamy go nadto na Rusi południowéj i na zachodzie onéj jedynie, zaledwie pod koniec XVI wieku. Przedsta-

wiał on wtedy najwyższy możliwie tryb gospodarki z punktu widzenia panów, lecz tém nieprzyjaźniéj witanym był przez włościan.

Polegał zaś w istocie swéj na ścisłym pomiarze ziemi i podziale jéj na przestrzenie jednostajnéj wielkości; na rozdzieleniu włościan na klasy, razem z uposażeniem członków każdéj klasy oraz obciążeniem ich z tego powodu jednakowemi powinnościami. Za jednostkę miary przyjmowaną była włoka i morg stanowiący $^1/_{33}$ część onéj; odpowiadające podług obecnéj tam miary włoka 19 prawie dzies., morg zaś—koło 1.400 sążni kw. W taki sposób gospodarstwo włościańskie, osadzone na włoce, posiadało daleko mniéj ziemi, niż gdy obejmowało dworzysko a choćby i połowę takowego. Włoki, podług możności, wymierzane były odrębnemi kawałkami, które dzielono na trzy zmiany po 11 morg każda, a w środkowéj z nich wybierano miejsce na siedlisko.

Włościanie, jak łatwo zrozumiéć, stawili gdzie mogli, energiczny *opór* przeciw nowemu temu porządkowi. Tak pod r. 1593 znajdujemy, iż w pewnéj osadzie—wprawdzie uwrót już Ukrainy—zawezwani do przyjęcia takowego. „Wszyscy gromadą krzyknęli temi słowy: Boże tego uchowaj, abyśmy mieli włokami grunt sobie rozbierać i w regestr plemienia swoje wpisać dali;... czego ojcowie nasi, i my sami mieszkając już postarzeli się, a tego jako i nie tylko widzieli, ale o tém i nie słyszeli, abyśmy tak wymyślnie włokami mieć mieli; a to my zaraz jako ludzie wolne, dawszy jegomości panu naszemu teraźniejszemu, który nas trzyma, po groszy dwadzieścia, wychodzim, i dokąd chcem przyjdziem, a tu mieszkać nie będziemy. Taki rozruch między sobą uczyniwszy, a wszystkie poczęli się buntować.“ Nie zawsze przecież podobny opór prowadził do celu: i w tymże majątku naprz. widzimy nieco późniéj ziemie podzielone już na włoki. Wzbierająca coraz silniéj od zachodu fala posuwała się wciąż naprzód.

Znaczenie względne trzech tych systemów gospodarczych, odnośnie do stanu ekonomicznego włościan, jest tak dotykalnie widocznném, że zrozumienie stopnia zależności poddanych od ich panów w pewnych miejscowościach nie wymaga nawet zestawienia bez względnéj normy ich powinności: dosyć wiedziéć jakiego w danym razie trzymano się systemu użytkowania ziemi przez włościan. Przy trybie pierwszym gospodarki, gdzie szlachcie otrzymującéj nadania w ziemi, chodziło przedewszystkiém o ściągnięcie osadnika, trwał wciąż porządek pierwotny, na zmianę którego mało bardzo wpływać mogło przyczynienie kilku dni robocizny do roku na tłokach, mającéj nadto pozór prędzéj posługi niż obowiązku. Wobec nieokreśloności stosunków przy drugim systemacie, pochodzącéj z nierówności

samych warunków bytu każdego rolnika z osobna, niejednostajności jego sił roboczych a więc i obszaru roli i sianożęci, zmiany stawały się nieodzowniejszemi. Poczęto też dzielić włościan na dworzyskowych, półdworzyskowych i ogrodników (bez ról, czasem też z rolami)—i zastosowywać powinności podług tych działów, jakim odpowiadała też różnica uposażenia i zamożności. Najuciążliwszym oczywiście był porządek włoczny, jako najbardziéj ujmujący w karby gospodarkę włościańską. A jakkolwiek powoli tylko rozwijający się, uwydatnił się on atoli większą ilością pomników, aktów, wymagając różnego rodzaju instrukcyj i przepisów. Najważniejszą z podobnych instrukcyj, która posłużyć mogła za wskazówkę, jeśli nie za normę, nawet w ziemiach południ. i dla dóbr prywatnych późniéj, była znana „Sprawa włóczna" (Ustawa na wołoki) Zyg. Augusta 1557 r.

Gdyby nam potém wszystkiém chodziło o to, cobyśmy nazwać mogli *ilustracyą statystyczną* stosunków ekonomicznych w danéj epoce na rozciągłości przestronnych dzielnic rozważanéj krainy—ilustracyą takową nasunęło by nam do pewnego stopnia rozejrzenie *wykazów poborowych* województw zach.-południowych, jakie posiadamy w kopiach wierzytelnych. Dla skupienia się przecie, poprzestać tu musimy tylko na wykazach odnoszących się do województwa wołyńskiego jedynie—jako dzielnicy przodującéj ówcześnie dalszym kresom ukrainnym. Ograniczamy się nadto na spisach poborowych z r. 1577 oraz 1583—dokonanych więc we 20 i 25 lat po wydaniu wyżéj wspomnianéj ustawy włócznéj.[1]

Otóż rozglądając owe spisy, wśród innych terminów dotyczących uposażenia włościańskiego, od jakiego kmieć opłacał wymagany pobór na rzecz skarbu Rpltéj, spotykamy i nazwę „*włóka*". Daje od niéj poddany groszy 20. jak z półwłoczka, gr. 10, od ćwierci zaś gr. 5: gdy „podsusidki" komornicy z bydłem płacą po gr. 4, podobnież jak ogrodnicy z rolą; ogrodnicy bez roli gr. 2 itd. Lecz czyby to miało świadczyć o przeważeniu już na Wołyniu w owe czasy i porządku gospodarki włocznéj?—jako żywo nie! Wyraz włóka równo znaczny tu z terminami „łan", *dworzystość* a nawet „służba", które jednostajnie z włóką płacą—od całości, połowy czy ćwierci, groszy 20, 10 lub 5. Plątanina tu terminów—bez określenia, bez rozdzielenia takowych!

Ściślejsze wszakże rozważenie przedmiotu nie pozostawia nas długo w powątpiewaniu. To tylko nowe nazwy na oznaczenie, na osłonięcie rzeczy staréj: nawet po za łanem, po za włóką kryje się tu jeszcze staro-ruskie „dworzyszcze." Faktycznie wkracza tu już najwidomiéj porządek gospodarczy nowy. porządek czasów dawnych ustępuje; ale jurydycznie wyróżnienia jeszcze niema, jeszcze tu chao-

tyczna jednoznaczność terminów w istocie swéj różnych. Skłania nas ku takiemu widzeniu rzeczy mianowicie uwaga, iż wszędy tam po szerokich dziedzinach ówczesnego kniaziowskiego, wielkopańskiego Wolynia, nie tylko że trzyma się mocno dosyć *porządek gospodarki włościańskiej całkowity* i cało-łanowy, cało-włóczny, lecz w wielu dobrach jeszcze rolnicy podawani są wyraźnie przez poborców jako siedzący na pełnych „dworzyszczach.“ Potrącając o szczegóły, widzimy, iż naprz. na całym przestworze księztwa ostrogskiego, we wszystkich onego dóbr kluczach—ciążących do Ostroga, Stepania, Drohobuża, Zwiahla, Połonnego, Konstantynowa i in. zaznaczony jeszcze r. 1577 porządek „*półdworzyszczowy*“ wyraźnie. Taki też sam znajdujemy w dobrach Kowelskich, ówcześnie przez ks. Kurbskich posiadanych; podobnież jak w Nieznochojeżu i Turzysku ks. Sanguszków. Między innemi, w dobrach Torczyńskich, należących do biskupów łuckich, przeważa nawet system cało „dworzyszczowy;“ chociaż zarazem względem dymów miejskich i przedmiejskich samego Torczyna zaznaczono, iż „na włokach“ siedzą. Wyraźnie też podane, jako siedzące *na włokach* oraz półwłoczkach wsie zamku Ołyki ks. Radziwiłłów; na półwłoczkach zaś przeważniéj, Korzec i Międzyrzec ks. Koreckich. Dworzyszcze przecie i włóka płacą jednostajnie, jak też ich połowy oraz ćwiercie („dymy czećwierćne“). Jednostajną téż opłatę daje i łan, „dym łanowy“, wyraźniéj zaznaczony w dobrach takich, jak Zwinogród i Łokacze, ks. Sanguszków, Litowiż—ks. Czartoryskich, Poryck, ks. Poryckich i inn. Dowolność tu jeszcze najwidoczniejsza w posługiwaniu się nazwami różnorodnemi. Wobec czego niewytłómaczonym się prawie wydaje pewien pozór ścisłości, jaki dostrzegamy w naznaczaniu poboru od „dymu włocznego“ po gr. 16 tylko nie zaś 20—w pewnych dobrach, jak Morawica ks. na Wiszniowcu lub Woronczyn, bratanków ich ks. Woronieckich.

Doba to najwidoczniéj wielkiego *przełomu* ekonomicznego na Wołyniu: nie tylko włóka, łan wyciskają dworzysko, lecz i same zaraz poczynają się przepoławiać, iść w ćwierci itd. Ztąd już w spisie poborowym r. 1577 znajdujemy uposażenie włościańskie całkowite w mniejszości. Oprócz dóbr już wyżéj wspomnianych, ze znaczniejszych, pełną gospodarkę kmiecą spotykamy u ks. Czartoryskich, w Czartorysku i Klewaniu, u ks. Ostrogskich—w Krupie tylko, u ks. Czetwertyńskich w Borowiczach, u ks. Rużyńskich w Rużynie, u Kierdejów w Kisielinie i u innéj szlachty możniejszéj. Wogóle zaś zrobić tu jeszcze wypada uwagę, iż co do wyzwalających się po Unii ziemian wołyńskich, trzymali się oni u siebie zwykle tegoż porządku co do miary uposażenia włościan jak i ich kniazie, choć zdarza się między nimi spotkać i mniéj skorych do brania przykładów, jak naprz.

ziemianie koreccy, którzy utrzymywali dalej uposażenie całkowite, pomimo iż ich książęta wprowadzali u siebie normę połowiczną, poczynającą stanowczo już brać górę.

Uwydatnia się to jeszcze dobitniéj w wykazie poborowym r. 1583, gdzie już spotykamy nawet zasadę połowiczną w majątkach takich, które jeszcze przed kilku laty miały u siebie przeważającym porządek działów całkowity—jak w Czartorysku i Torczynie biskupim. Nie ociągali się téż z drobieniem uposażenia, i ojcowie władykowie łucki i włodzimirski, ani ojcowie archimandryci (z Zydyczynic) i in. Wskazówek wyraźnych starego dworzyszcza ledwie w wykazie ślady, u ks. Kurbskich w Dobratynie oraz kilku z możniejszych ziemian. Resztę ogólny wyraz *łan*, dym już pokrywa. Chociaż zkądinąd aż chciało by się podejrzéwać ruskich ziem szlachtę, iż długo może podsuwała tylko pod ten nowy termin prawny stare poddanych swych dworzyska.

Z biegiem czasu przyszło i do rzeczywistego unormowania stosunków rolnych w dobrach szlacheckich.

Ustawie włócznéj dóbr królewskich odpowiadały w majątkach prywatnych *inwentarze*. Najdawniejsze z nich, nam znane a dotyczące miejscowości w obrębie ziem ukrainnych, odnoszą się zaledwie do drugiéj połowy XVI wieku. Znajdujemy w nich oczywiście tylko porządek podworzyszczowy albo włóczny, gdy samo sporządzenie inwentarza służy za dowód, że swobodne nie poddane ściślejszéj kontroli użytkowanie ziemi, już ustało.

Ze znalezionych dotąd inwentarzy najdawniejszy pochodzi z r. 1566 i dotyczy dóbr Zaborola w powiecie łuckim. W inwentarzu tym niema jeszcze ani podziału ziemi na oznaczone uczęstki, ani wyróżniania włościan na klasy, ani ścisłego określenia powinności; podani tu są tylko włościanie oraz ilość roboczego ich dobytku. Pierwotności charakteru onego dowodzi nadto przepis, że włościanie „na robotę powinni słuchać jak rozkażą.“ Dawali oni oprócz tego daninę—po macy owsa od wołu, co wskazuje również na brak regulacyi stosunków rolniczych. Wnioskując z ilości dobytku, widzimy, iż włościanie zaborolscy, nie cieszyli się wcale wielką zamożnością, mając na 62 gospodarki, 46 koni i 94 wołów, razem 140 sztuk roboczych. Lecz inwentarz ten Zaborola jest jedyny ze znanych co się cechuje taką pierwotną nieokreślonością.

Siedem inwentarzy podworzyskowych z XVI wieku, które znamy dotychczas, odnosi się prawie wyłącznie do województwa wołyńskiego, a nadto—jedynie do powiatów łuckiego i włodzimierskiego, gdyż akta krzemienieckie zbyt mało z powodu uszkodzenia zbadano.

Rozważając pilniéj inwentarze owe, znajdujemy, iż dworzyszcza bywają tu niejednostajnéj wielkości, odpowiednio czemu różni się téż i opłata od nich. Po większéj części atoli dworzyszcze występuje jako pewna określona jedność, obciążana powinnościami jednostajnemi dla wszystkich. Osiedleni na takowych włościanie zwani byli podworzyszczowymi a późniéj ciągłymi. Czasami, skutkiem stopniowego zmniejszania uposażeń—włościańskich, „dają się już spotykać włościanie, osadzeni na dworzyszczach po dwóch i w tym razie albo uważani za jedną gospodarkę wspólną, lub téż władający połową dworzyszcza z osobna. Pierwsi noszą nazwę potużnych, drudzy półdworzyszczowych. W niektórych wsiach wzmiankowani są nadto bojarowie, ogrodnicy, podsusidki, chałupnicy.

Co do *powinności od dworzyszcz*, takowe były bardzo urozmaicone. Oceniając je podług statutu 1588, gdy opłaty zechcemy wyrazić w odpowiednich ich wysokości dniach roboczych, przyjąwszy 2 gr. za cenę dnia roboczego, otrzymamy wcale wybitne dane ogólne. Widzimy podług tego, iż powinność podworzyszczowych chwiała się, prawdopodobnie w stosunku do posiadanych w każdym majątku dogodności, pomiędzy 190 i 290 dni; wobec czego powinność ogrodników była bardziéj równomierną, około 100 dni prawie powszechnie. Gdy zaś zestawimy, dla żywszego unaocznienia, ówczesną cenę pracy z ceną zboża, mianowicie żyta, zobaczymy, iż ogrodnik odrabiał i oddawał wartość 27 dzisiejszych czetwertni (44 korcy z górą) żyta, a podworzyszczowy od 55 do 81 czetwertni (od 90 do 132-ch korcy z górą). Jakie to zestawienie liczb prowadzi daléj do bardzo interesującego *wniosku*, że w ciągu ostatnich lat 300 cena zboża wzrastała bez porównania prędzéj niż cena pracy tj. że względny stosunek tych cen jest mniéj dogodnym dla robotnika obecnie aniżeli pod koniec XVI-go wieku.

Godne też uwagi, iż w żadnym z powyższych inwentarzy dóbr podworzyszczowych nie są wspominani ludzie przychoży czyli *wolnicy*. Widocznie odpychała ich istniejąca tam w znacznéj rozciągłości pańszczyzna, gdy tymczasem włościanie w ogóle przenosili nawet ciężkie opłaty nad odbywanie robocizny. Nieraz przeto spotykamy wzmianki, iż poddani upraszali swych panów, żeby „osadzono ich na czynszu, a od roboty byli wyzwoleni.“ Ze swéj zaś strony dziedzice znajdując bardziéj dogodném dla siebie mieć pańszczyźnianych niż oddawać ziemie na czynsz, robili formalne zmowy przeciw wolników i stanowili wysokie kary pieniężne na bracią szlachtę, coby przyjmowała osadników na warunkach czynszowych. Przykład temu na Litwie dała szlachta brzeska swą „ustawą o pochożych ludziach“ 1551 r.

W porównaniu z tém co się działo na Polesiu i Wołyniu, podlegającym bardziéj bezpośrednio wpływom porządków szerzących się tam niepowstrzymanie od północo-zachodu, warunki osadnicze na właściwéj *Ukrainie*, pod koniec XVI w., były oczywiście daleko łatwiejsze. Nic naturalniejszego tedy, jeśli dociskany tam coraz bardziéj lud *pochoży* tutaj szukał dogodniejszego osiedlenia.

Rozważając nieliczne inwentarze województwa *kijowskiego*, nawet miejscowości bliższych Wołynia, z tego czasu właśnie, nie znajdujemy ani w jednym z nich najmniejszéj wzmianki o pańszczyznie, spotykają natomiast często osadzane wsie na długoletniéj woli, oswobodzającéj od wszelkich dla panów powinności. Tak naprz. w spisie włościan majątku Łowkowa z r. 1582 mamy 7 ojczyców czyli zasiadłych, i 6 danników dających tylko 8 wiader miodu, pozostali w liczbie 17 włościanie nazwani: ludźmi kunicznymi tj. wolnymi osadnikami, na warunkach pieniężnéj opłaty. W r. 1585 dziedzic Pulin, puszczając wieś tę w dzierżawę, ogłosił dla pragnących tam osiadać wolę 20-letnią; przyczém nie zapomniano tu i o wkopanym „według obyczaju“ słupie. Gdy spisywano r. 1599 pierwszy inwentarz dóbr słobodyskich, okazało się, iż tylko 70 mieszkańców m. Starych Słobodyszcz płacili po 20 groszy i chodzili na robotę po 3 dni do roku, lecz i to zostało z nich zdjętém przez dziedzica; w innych zaś 22 osadach tego ogromnego majątku, w których było 857 dymów, nikt nie płacił żadnych powinności. Mieszczanie m. Kodni oświadczyli przytém, iż oni pomagają niekiedy do sprzętu zboża, lecz jedynie z dobréj woli, za poczęstne, i niewięcéj nad jeden dzień tylko. W tymże akcie wspomnianą jest danina wyżéj wzmiankowanéj wsi Pulin któréj z 20 dymów dawano tylko 10 kop groszy oraz 14 wiader miodu. Nawet na Polesiu owruckiém, w inwentarzu rozległéj włości Wielednickiéj, 1595 r. znajduje się tylko spis włościan, bez wzmianki jakiejkolwiek o powinnościach. W ostatnich latach XVI wieku biskup kijowski Wereszczyński osadzał, powabem długoletniéj woli tylko, słobody na rozległych przestrzeniach Chwastowa i Dorohinki.

Nic zadziwiającego tedy, że tu i *zamożność* włościan była znaczniejszą: w powiecie żytomiérskim rataje wprzęgali do pługa po 10 wołów, a bardziéj na południu, w województwie bracławskiem, wartość majątku 26 rodzin włościańskich przewyższa 4.000 kop (koło 12 tys. rs.), co stanowi na owe czasy sumę ogromną.

W ogóle zaś o swobodzie, przestronności życia oraz zamożności ludu pospolitego na kresach ukrainnych ówcześnie, mianowicie województw kijowskiego i bracławskiego, najwymowniéj świadczą lustracye królewszczyzn tamecznych z początku XVII wieku, tomem

V-m Źródeł dziejowych objęte. Ku nim też zwracamy bezpośrednio, zainteresowanego czytelnika. Pozna on ztamtąd stan rzeczy na najdalszych nawet kończynach Ukrainy—za Dnieprem: w starostwach, lubeckiém, osterskiém, perejasławskiém; a z królewszczyzn łatwo zawnioskuje i o położeniu ludu w dziedzinach pańskich.

Porządek *włoczny* zaledwie w XVI wieku jeszcze tylko zaczynał przenikać w granice Wołynia jedynie. Spotykamy go, wskazanym przez akta, tylko w dwóch miejscowościach téj krainy, w których powinności okazują się daleko znaczniejszemi, niż w dobrach podworzyszczowych. Tak w Mytyszczach powiatu łuckiego z włoki odbywano robocizny po półdnia codziennie, dawano półkopy jaj i kurę—co wszystko miało stanowić 163 dni. Daléj na północo-zachód w dobrach Koilnie powiatu włodzimiérskiego, pańszczyzna i wartość powinności dochodziły nawet do 233 dni. Wobec czego trzeba mieć w pamięci, robiąc porównanie powinności tych z podworzyskowemi, że włóka była 4 razy prawie mniejszą od dworzyszcza właściwego. Jak z drugiéj znów strony wypada mieć stale na uwadze, iż porządek włóczny, jako posuwający się na południe od północo-zachodu, musiał być w każdéj danéj chwili bardziéj uciążliwym względnie w okolicy bliżéj leżącéj od granic starszych ziem koronnych, do których i ziemie właściwéj Rusi czerwonéj zaliczyć w tym razie wypada.

W pierwszéj połowie wieku XVII-go porządek *włoczny* zrobił przecie znaczny postęp na Wołyniu wziął on już stanowczo górę. Z rozejrzanych inwentarzy owego czasu w jednym tylko (na 8) z r. 1626 znajdujemy tu utrzymanym rozkład *podworzyszkowy*. Nadto dotyczy on majątku (Horodek włodzimier. pow.) nie prywatnego lecz cerkiewnego, co także nie bez pewnego znaczenia. Widzimy też tu nawet znaczną przewagę liczebną gospodarzy siedzących na całych dworzyskach nad zagrodnikami (13 na 6), półdworzyskowych zaś zupełnie niema; tymczasem jak w dobrach prywatnych stosunek wcale inny. Z dworzyska odbywano robociznę codziennie, zagrodnicy zaś robili 3 dni na tydzień; tłokę zbierano nie więcéj 10 razy do roku. Włościaninowi przytém zapewniano ulgi wszelakie: wzywano go tylko do jednéj wyłącznéj roboty, w czasie tłoki nie zabierano całéj jego siły roboczéj itp.

A jednak jeśli, pomimo tak wyraźnéj łagodności stosunków, okazują się powinności i tutaj do tyla znacznemi, łatwo tedy zrozumiéć z jaką niepowstrzymaną szybkością wzrastała w owéj epoce zależność ekonomiczna włościan. Robiąc bowiem porównanie danych obecnych z podobnemiż wieku poprzedniego, widzimy, iż gdy przeciętna powinność z dworzyszcza wypadała w XVI-m wieku około dni 240—teraz sięga ona 304 dni, dla zagrodników wtedy była

około 105 dni teraz zaś już 157. Dodać jeszcze wypada, iż powinności tu były tem uciążliwsze, ile że wszystkie one odbywały się robocizną jedynie, bez danin.

W dobrach władyków włodzimiérskich znajdujemy już 1633 r. porządek *włoczny* (1588 dworzysk). Siły robocze włościan były tu bardzo małe: w jednéj wsi znajdujemy na 10 gospodarzy 2 pługi (8 wołów) jedynie, w innéj także 2 pługi aż na 15 gospodarzy, w innéj jeszcze 17 gospodarzy posiada tylko 18 sztuk bydła. Co wszystko oczywiście da się chyba wytłómaczyć jakąś przyczyną wyjątkową, doraźną, niezależnie od tego iż nie wiemy jakie było tu uposażenie rolne pojedynczych gospodarstw włościańskich. Powinności zaś tu widzimy nast. z włoki robiono po 5 dni na tydzień, a w czasie żniw po 5 dni we dwojgu nadto płacono 1 złoty czynszu i dawano różne daniny, z półwłoczka uiszczano się w połowie. Nadto ciężyły tu nad chłopem tłoki, zgromadzane co tygodnia i zabierające mu tego dnia całe siły robocze jego rodziny.

Z trzeciego inwentarza dóbr w tymże włodzimirskim powiecie, dotyczącego majątku prywatnego i stanowiącego nadto drobną teraz szlachecką własność, widzimy, iż tu powinności wzrosły już daleko wcześniéj. Oto we wsi Rużynie (1577 ma dworz.) już od r. 1606, w którym dokonano tu pomiaru ziemi, żaden włościanin nie trzymał całéj włóki, tak że za normę uposażenia uważanym był półwłoczek. Z takowego zaś odbywano pańszczyzny po 4 dni na tydzień, w żniwa zaś po 5, nadto 5 tłok, oprócz tego jeszcze płacono po 12 groszy, dawano żyto, kury, jaja, przędzę na 3 łokci płótna i dostarczano w potrzebie podwodę na 10 mil drogi.

Wśród inwentarzy powiatu łuckiego jeden. z r. 1606, wyróżnia się tém, że w nim powinność pańszczyzny i podwód zastąpione opłatą pieniężną. Wysokość takowéj w porównaniu z innemi powinnościami świadczy, iż dziedzice najwyżéj cenili robociznę. Tutaj téż (w Witkowicach) zamiast robocizny i podwód płacono 8 złotych z włoki, czynszu zaś 10 groszy jedynie; nadto dawali włościanie dziesięcinę od świń, siano, len, konopie, kury, jaja, miód i nawet żołędzie, zamieniane w razie nieurodzaju na nie, połową miary odpowiedniéj żyta.

Inne inwentarze powiatu łuckiego przedstawiają jedyną główną cechę ogólną, mianowicie codzienną robociznę z włoki, zmieniają się tu tylko przedmioty i wysokość pozostałych powinności. Tak w Białymstoku (1619) płacono nadto po półzłotego, w Szpakowie orano po 8 dni w roku, w Bohurynie bojarowie dawali posyłki konne i piesze itd. Przykładów tych dosyć, aby wskazać w jakim kierunku

potoczył się dalej prąd rozwoju stosunków agrarnych, w bliższéj zachodniéj połaci ziem ruskich, w pierwszéj połowie XVII wieku.

Obecnie wypada nam uwydatnić, iż jeżeli dotknięte wyżéj warunki bytu włościan uznawane za normalne przez obowiązujące prawodawstwo lub ustalony obyczaj, były już uciążliwe—to stan *rzeczywisty*, bardzo często nieodpowiadający ani prawodawstwu ani obyczajowi, okazywał się jeszcze *cięższym*. Niepodobna przecie zgromadzić tyle danych, by mieć możność ścisłego określenia warunków przeciętnych, że tak powiemy, owéj rzeczywistości. Przyznanie bowiem panom pełnéj władzy nad włościanami i pozbawienie tych ostatnich prawa samoistnéj skargi na dziedziców, nietylko uprawniały dowolność i pozbawiały władzę sądową wszelkiego powodu wdawania się w gospodarczy porządek i *juryzdykcyą dominialną* panów, lecz nawet, znosiły możność przechowania w księgach aktowych jakichkolwiek bardziéj wybitnych faktów pańskiéj samowoli względem poddanych. Fakta podobnego rodzaju stawały się udziałem kroniki sądowéj w tych razach jedynie, kiedy w sprawach spornych między stronami, należącemi do stanu uprzywilijowanego, jedna z nich musiała z jakiegokolwiek powodu bronić też ubocznie i interesu włościan. Zdarzało się to zaś przeważnie przy sporach wynikających z dzierżawy lub zastawy, tyle upowszechnionych wśród ówczesnego społeczeństwa, a utrzymywanych przy życiu, tak mocą przywiązania szlachty do swych gniazd rodowych jak i względami społeczno-politycznemi, w obliczu praw jakie nadawała choćby tylko tytularna posiadłość.

Zaznaczymy tu ubocznie, iż za podstawę określenia tak wysokości *dzierżawy*, jak i sumy zastawnéj na dany majątek, służył zwykle inwentarz, zawierający w sobie wyszczególnienie i ocenę powinności i danin włościańskich. Do ogólnéj ich wartości dodawano dochód z karczem i młynów i otrzymaną w ten sposób sumę przyjmowano za normę rocznéj tenuty; przy zastawie zaś wartość majątku oznaczano przez kapitalizacyą wykazanego dochodu z 10 od sta. W jaki to sposób w obydwóch razach, dochody właściwie z gospodarki, nie były przyjmowane w rachubę, za czysty zaś dochód uważano jedynie robociznę włościan i składane przez nich daniny w postaci bezpośrednich czy pośrednich (jak propinacya i mlewo) opłat i ciężarów.

W ścisłości sporządzenia oraz wypełniania inwentarza byli zainteresowani i włościanie i obydwie układające się strony; wszakże nadużycia były nierzadkie i wszystkie one odbijały się w większém uciemiężeniu poddanych. *Źródło* przecie *nadużyć* bywało rozmaite: pochodziły one ze strony dziedziców szczególniéj w razach zastawu, przy dzierżawie zaś częściéj ze strony dzierżawców. Mniéj często

stosunkowo spotykać się dają dokumenta, dotyczące nadużyć ze strony rządzców lub opiekunów majątku. W ogóle przecie najuciążliwszego docisku doświadczali włościanie od *dzierżawców*, którzy-to właśnie przyczyniali się najbardziéj do obciążenia faktycznego, jurydycznie już zbyt skrępowanego położenia włościan.

Łatwe tedy do zrozumienia, że *uciemiężenie* faktyczne, jakiemu podlegali włościanie w daleko większym stopniu, aniżeli jak tego można było oczekiwać w bezpośrednim wyniku istniejących prawodawczych i zwyczajowych przepisów i ustaw, wywoływało z konieczności dążność energiczną ku *uwolnieniu* się od podobnych warunków. Dążność, która wypowiadała się albo biernie w zbiegostwie pojedynczo, rodzinami a nawet wsiami całemi, lub czasem też i czynnie, w postaci zaburzeń włościańskich oraz wykroczeń przeciw dziedzicom i ich umocowanym. Zaburzeń i wykroczeń, które przecie pierwotnie nie przybierały nigdzie charakteru społeczno-politycznego, ani téż znaczenia bardziéj ogólnego, zamknięte pospolicie w obrębie jednéj tylko okolicy, jednego pańskiego majątku.

Mimo niezwalczonych prawie przeszkód, jakie, posuwające się naprzód krok za krokiem społeczno-ekonomiczne porządki nowozachodnie, spotykały w samych warunkach położenia i bytu na miedzach *ukrainnych*, zakorzeniały się one przecie i tam nieznacznie.

Jedyny znany dotąd inwentarz owéj epoki z *kijowskiego* województwa, mianowicie miasta Berdyczowa i wsi Bystrzyka i Żydowiec 1611 r. pokazuje, iż nie przeszło lat 20 od czasu (1593) jak ludność tutejsza tak energicznie protestowała przeciw zaprowadzeniu inwentarzy i pomiarowi ziemi, a porządek *włóczny* zdołał przeniknąć i tutaj. Oczywiście powinności były tu jeszcze bardzo lekkie, a w porównaniu z Wołyniem niemal żadne i pańszczyzny jeszcze nie znano.

Brak danych nie pozwala dośledzić, jak daleko w głąb Ukrainy zdołał przeniknąć porządek włóczny, chociażby w tak złagodzonéj postaci. Panowanie przecie szlachty posuwało się w téj epoce powoli a bez przerwy do najdalszych krańców Zadnieprza, poprzedzane licznemi i tam nadaniami królewskiemi tak zwanych „pustyń.“ Że owe nadania, obejmujące niejednokrotnie późniejsze powiaty niemal całe, pustyniami w ściślejszém znaczeniu nie były, przyświadczają temu poniekąd i same akty nadawcze, gdzie między innemi szczegółami spotykamy nieraz wzmianki o młynach, karczmach, chutorach, słobodach a więc i poddanych. Z tychże aktów widać jednak, iż ludność tutejsza nie była obciążoną żadnemi prawie powinnościami: szlachta widocznie *godziła się* z początku samochcąc z miejscowemi warunkami swobody, jaką tu zastawała, ostrożnie tylko szczepiąc swą władzę.

Owo wszakże szerzenie władzy szlacheckiéj w stepach Ukrainy, daleko bardziéj jak uciemiężenie włościan, jakie tam było jeszcze nie dosięgło, stało się jednak—zaręczają nowsi badacze małoruscy—*główną przyczyną powszechnego powstania* ludu przy Chmielnickim. Włościanie Wołynia i Polesia byli na tyle już przygnieceni wzrastającym nieustannie dociskiem, że nie mieli siły stawienia prawdziwego odporu lub poprzestawali na odosobnionych wybuchach bez znaczenia; przeważnie zaś szukali zbawienia w zbiegostwie, wychodztwie. I owa to zbiegła, najbardziéj energiczna część pospulstwa, nie mogła znosić saméj obecności szlachty pomiędzy sobą, szlachty od któréj właśnie była zbiegła, dosyta się od niéj nacierpiawszy. Ztąd też najbardziéj żywe poparcie znajduje Chmielnicki nie wśród uciemiężonego chłopstwa wołyńskiego, lecz przeciwnie, w tych mianowicie miejscowościach, gdzie żywioł szlachecki nie zdołał był jeszcze zapuścić mocnych korzeni i wyjawić całkowicie istotnych swych dążności. Ale właśnie dążności te były dostatecznie znane tameczném ludności— starą pamięcią!

Mybyśmy z naszéj strony chyba jeszcze tę tylko jedną uwagę tu zrobili: iż nie potrzebujemy wcale nastawać na tego rodzaju tłomaczenie rzeczy, tak ono jest naturalne i zgodne z istotą samą stosunków społeczno-ekonomicznych, nietylko lokalnych i ówczesnych, ale i ogólnych, powszechnie historycznych! Chociaż, co prawda, mielibyśmy pewną słuszność po sobie, gdybyśmy nawet zrobili i większy nacisk, zaznaczając wybitniéj ów pogląd, wypowiadany coraz bardziéj swobodnie przez młodszy zastęp rzeczników ludu ukraińskiego, mniejsza, iż w tym razie wypowiada go również szlachecki syn Rusi. Zaiste, to pewne: nie uciemiężenie przygniatające niby wieśniaczą ludność stepową pędziło ją pod powstańcze chorągwie kozactwa; prowadziły je ku temu pragnienie i potrzeba utrzymania posiadanéj już szerokiéj wolności, nad którą groza zawisła!

Zbiegostwo włościan zależało naprzód i w znacznym stopniu od nierównomierności, tak ich ciężarów, jak i mocy władzy pańskiéj w różnych dzielnicach Rpltéj; daléj od samego istnienia na południowo-wschodniéj jéj krawędzi pustych stepów, a skutkiem tego i daleko lżejszych—jakeśmy widzieli—warunków bytu na kresach ukrainnych przed i po za Dnieprem; nakoniec od przyczyn miejscowych niejednokrotnie: jak zajazd sąsiedzki, napad Tatarów lub grabież i spustoszenia wojska. Było ono w przeciągu z górą dwóch wieków istną niemocą chroniczną Rpltéj i byt jéj saméj nawet przeżyło.

Zwracali się zbiegli poddani głównie ku południu i wschodowi szczególnie gdy opuszczali siedziby swe tłumniéj. Zdarzało się też nieraz wychodźtwo dość znaczne, całą wsią czasem nie mające już

cechy włóczęgi lecz całkowitego przesiedlenia się, ile można ze wszystkiém dobrem. Przechody podobne nie mogły oczywiście odbywać się niespodzianie, pod wpływem chwili; robiono ku temu wczesne przygotowania, wywożąc po trochu z domu zasoby swe, zboże i t. d. Bez współudziału i pomocy sąsiadów było to niemożliwém. Wytworzył się téż był nawet z czasem z podobnego niesienia pomocy zbiegom osobnego rodzaju przemysł, którym trudnili się tak zwani „wykotcy“ sięgający, w celu sprowadzania osadników, działalnością swą ku stronom bardziéj osiadłym aż z dalekiéj Ukrainy. Co więcéj, oddawała się temu nieraz mająca tam swe dziedzictwa szlachta, nie cofająca się nawet przed użyciem pomocy zbrojnéj w razie potrzeby. Najpotężniejszy przecież i właściwy prąd zbiegostwa podsycanym był przeważnie luźném zupełnie a nieustanném opuszczaniem starych siedlisk przez wychodźców pojedyńczych, którzy nieraz opierali się aż o ługi niżowe lub się ocucali w gościnnym koszu, tworzących się doraźnie watahach kozaczych, nie gardzących chłopską pięścią w konieczności.

Przeciwdziałanie włościan dotkliwemu uciemiężeniu i nadużyciom nie zawsze ograniczało się takim biernym jedynie środkiem: w pewnych razach reakcya wyrażała się bardziéj otwarcie buntami gromad lub *przestępstwami agrarnemi* pojedynczych osób, nieznajdujących bardziéj legalnego wyjścia ze swego nieznośnego położenia i wywierających wezbraną zemstę na samym dziedzicu, jego pełnomocniku lub dzierżawcy.

Zasługuje na uwagę okoliczność, iż najwcześniejsze chronologicznie przykłady samowolnego domierzania sobie sprawiedliwości przez włościan, jakim przyświadczają akta, nie mają *nic wspólnego z pierwszemi powstaniami kozackiemi* XVI w., a nawet znacznie je poprzedzają, przypadając na epokę przerobienia pierwszego statutu, zmierzającego ku większemu ograniczeniu poddanych. A fakt ten winniśmy żywo utrzymywać w pamięci, jeśli pragniemy mieć należyte pojęcie, tak o właściwym charakterze pierwotnych ruchów opozycyjnych kozactwa, jakotéż o istotném znaczeniu późniejszych wojen „chłopskich.“ Tem żywiéj zaś, że dotychczas pospolicie, z powodu częścią pewnéj ze złą wiarą tendencyjności, częścią téż skutkiem prostéj nieświadomości istotnego stanu rzeczy w daleko ubiegłych czasach, szerzono i podzielano najbardziéj ciemne i zagmatwane pojęcia o tym przedmiocie. Do jakiego to zaciemnienia istoty społeczno-agrarnych protestów ludu przed wojnami kozackiemi przyczyniała się niepomału i sama nazwa późniejsza tych wojen „chłopskiemi,“ nazwa podsuwająca błędny wniosek, jakoby i sporadyczne dawniejsze ruchy chłopstwa w ziemiach ukrainnych były w bezpośrednim

związku z poruszeniami kozactwa. Gdy tym czasem nazwa ta była początkowo wzgardliwą jedynie i nabrała dopiero znaczenia rzeczywistego od czasu, kiedy przywódzcy ruchu kozackiego, dla zapewnienia tem nieodzowniejszego zwycięztwa swéj sprawie, zdecydowali się porwać za sobą i całą ludność chłopską ziem południowych, zaledwie dotąd dopuszczaną do wojennych kozactwa kureniów.

Co się tyczy ogólnego *wpływu* na włościan pamiętnego *powstania 1648 r.*, które tyle zaważyło na szalach dziejowych tak Rusi saméj jak i całéj Rpltéj, powstanie to, jak zgadzają się niemniéj ciż badacze małoruscy, przybrało charakter ruchu włościańskiego, *wojny chłopskiéj*, skutkiem saméj potęgi okoliczności, wcale bez jakiegoś z góry powziętego planu.

Sprawca owego straszliwego wstrząśnienia, a naczelny w następstwie przewódca kozactwa, Chmielnicki, stawił się względem włościan w pierwszéj dobie tego powstania przynajmniéj, bardzo nawet nieprzychylnie. Miał on na widoku—w obec osobistych—cele polityczne, kozacko-stanowe przedewszystkiém, zresztą religijne lub narodowe nawet; lecz żadną miarą społeczno-ludowe. Przyświadcza temu najwyraźniéj ów jego znany uniwersał 20 września 1650 r., w którym nakazuje on surowo włościanom pozostawać stale w posłuszeństwie u panów, tym zaś pozwala żeby sami oni wraz z półkownikami wojska zaporozkiego, swawolników surowo-by i na gardle karali! Co więcéj też prawdziwy w owéj chwili pan i hetman Ukrainy nie omieszkał był dla przykładu i sam tego czynić. Takie stawienie się jego względem włościańskiego ruchu było właśnie przyczyną, że lud też i swe klęski dotkliwe, w r. 1653 od Tatarów doznane, przypisał niemniéj Chmielnickiemu i do obecnéj chwili przeklina w pieśni „Chmiela“ za to, iż kazał ordzie brać w jasyr dziewczęta i kobiety. Jak w każdéj wielkiéj rewolucyi polityczno-społecznéj, tak i w tém głębokiém wstrząśnieniu, zostały porwane w wir rozszalały i tłumy ludowe, dumni kniaziowie ruscy, a za nimi i cała szlachta nazywali przez wzgardę całą tę walkę rozpasaną wojną chłopską, przez lud niby pospolity, nienobilitowany prowadzoną; ale nikomu z przywódzców tego ruchu, tyle wyzyskujących poświęcenie i nadzieje chłopa, ani się śniło podnieść właściwą agrarno-socyalną sprawę włościańską.

Gdy nakoniec dotkniemy skutków doraźnych, bez jakich obejść się nie mogło, zobaczymy, iż Ruchy powstańcze czasów Chmielnickiego i następne walki domowe odbiły się na włościanach w dwojaki sposób. W razach szczególnych podniecały one gwałty wszelkiego rodzaju, czasém nawet samowolną rozprawę z sąsiadami, podobnież włościanami. Bardziéj atoli ogólny i wszędy widomy wpływ tych wojen wyraził się w rozbudzeniu w masach ludowych silnego

ruchu przestrzeniowego, terytoryalnego, że tak powiemy: jedni uciekali od kozaków, drudzy szli w zapędy ku nim, inni w ogóle korzystali ze zdarzania dla zmiany miejsca pobytu. O znacznem przesuwaniu się tłumów ludowych świadczą oczywiście, obok znanego faktu gromadnego występowanie za Dniepr i księgi też aktowe, w których występują w owym czasie właśnie liczne zażalenia na zbiegostwa włościan, a nawet pozostawianie pustkami osad całych. Dosyć nadmienić, iż w księdze grodu żytomierskiego za r. 1650 znajduje się aż 79 podobnego rodzaju dokumentów.

Co zaś do *bezpośredniego wpływu* straszliwej téj burzy domowéj na zmiany w *powinnościach* włościan, niezależnie wcale od znanych innego rodzaju opłakanych jéj skutków, był to wpływ sprzeczny tylko pozornie co do swych doraźnych wyników, jako sprowadzający jednocześnie ulgę i większe jeszcze obciążenie. Stanowiło tu, rzecz naturalna, samo oddalenie większe lub mniejsze od widowni zaburzeń. W pierwszym bowiem razie powinności włościan, mimo wszystko, nawet w owéj epoce nie przestawały się podnosić; w drugim zaś w miejscowościach bardziéj wystawionych na bezpośredni czy pośredni wpływ wypadków (w obec zmniejszenia się ilości a więc i podrożenia rąk roboczych, w obec przypływu robotników obcych, przybyszów i potrzeby utrzymania takowych), musiały one nieco się zniżyć. Takowe zniżenie czyli raczéj *powstrzymanie podniesienia* powinności, było téż głównym wynikiem ogólnym wojen kozackich. Na nieszczęście zbyt krótko trwałym!

Aleksander Jabłonowski.

NOWE POGLĄDY NA HISTORYĄ POLSKI.

(Dokończenie).

IV.

Gdy w krytyczném rozważaniu dziejów Polski, doszedłszy do końca panowania Kazimierza Jagiellończyka, rzucimy okiem wstecz, aby jedném spojrzeniem objąć raz jeszcze przebieżoną drogę, niepodobna, aby nas nie uderzyła szybkość i łatwość, z jaką, zwłaszcza w ostatnich dziesiątkach lat XV-go stulecia, zdobyte zostały tak ważne i doniosłe swobody polityczne, będące już odtąd niecofnionym udziałem społeczeństwa polskiego, bo jakkolwiek nie ujęte jeszcze w stanowcze i we wszelkich szczegółach wykończone formy, treścią swą i zarysem stanowiły nabytek niezmiernie rozległych dla narodu, praw. Ta szybkość i łatwość, ten przyśpieszony pochód w rozwoju wolnych instytucyj, mógłby najsłuszniéj usprawiedliwić niepokój, z jakim autorowie nowéj naszéj szkoły historycznéj przypatrują się temu rozwojowi i zyskanym za jego pośrednictwem nabytkom, może téż bez wątpienia do zastanowienia pobudzić najszczerszych zwolenników postępu. Z powodu użycia tego ostatniego wyrazu zarzucą nam być może anachronizm, niedostateczne zgłębienie historyi; my jednak, w prostocie ducha, bez względu na czas i miejsce, każdy przejaw połączony z podniesieniem godności ludzkiéj, rozbudzeniem samodzielności i poczucia odpowiedzialności za własne czyny i losy, poczytywać musimy za krok ku lepszemu na drodze rozwoju społecznego. Lecz przy różnorodném zwikłaniu stosunków ludzkich, dalszy pożytek i zbawienne następstwa owego kroku zależą w znacznem stopniu od warunków i okoliczności towarzyszących jego pojawieniu. Otóż każda zmiana na lepsze ma swoje źródło w potrzebach

ludzkich, oraz w pewnych ideałach we wnętrzu danéj społeczności spoczywających; z jednych i drugich wyrastają się pragnienia, które wywołują usiłowania odpowiednie. Usiłowania jednak napotykają prawie zawsze na przeszkody, ztąd prace, trud i walka. Doświadczenie powszechne niemal uczy, że walka i trud, że liczne przezwyciężone przeszkody dodają ceny i wartości nabytkom, skłaniają do korzystniejszego, bardziéj wszechstronnego ich zużytkowania, a przytém wytwarzają pewną, pożyteczną równowagę, miarkują zbyt skłonną do rozbujałości falę pragnień ludzkich. Przeciwnie, skoro usiłowania tylko małoznaczące lub wcale żadne trudności mają do zwalczenia, pomijają prędko zyskaną zdobycz, ubiegają się za drugą, itd. ulegając powziętemu rozpędowi, popychane zresztą przez tłumnie rodzące się pragnienia, które przekraczają wkrótce rzeczywiste potrzeby, odpowiadają już tylko sztucznym i za daleko sięgającym potrzebom nowym oraz niezdrowym zachciankom. Zaspokojenie tych potrzeb z kolei sprawia na razie zadowolnienie, ale w głębi organizmu składa zarody skażenia, który go nurtuje i o zgubę przyprawia. Poniżéj ujrzymy potwierdzenie tych uwag o ile dotyczą sprawy która nas zajmuje.

Łatwość z jaką przyszły nabytki polityczne, brak oporu i poważniejszych wysileń w ich otrzymaniu, skłoniły w dalszém następstwie szlachtę, aby na ich podstawie i na téj saméj, wypróbowanéj drodze, usiłowała osiągnąć dla całego swego stanu inne korzyści, mianowicie korzyści ekonomiczne, kosztem innych stanów, a przez to samo w znacznéj części i kosztem państwa. Pierwszy pochop do téj nowéj dążności dała zapewne zgubna polityka finansowa Kazimierza Jagiellończyka, będąca zresztą dalszym ciągiem takiéj że polityki dwóch jego poprzedników. Mimo ustępstw, mimo udzielenia czy znacznego rozszerzenia swobód, nie umiał on, czy nie mógł pozyskać w zamian od szlachty, na potrzeby licznych i ciężkich wojen nic więcéj nad osobistą, powszechną tejże szlachty posługę wojenną, to jest spełnienie odwiecznego obowiązku, oraz bardzo niedostateczne od czasu do czasu pieniężne zasiłki. Opłatę zaciężnego żołnierza, utrzymywanie całego wojska w wyprawach po za granicami kraju, musiał po większéj części opędzać z funduszów skarbu królewskiego, a gdy te się wyczerpywały, radzić sobie zaciąganiem pożyczek, a raczéj zadłużać się u możnych panów, którzy hufce swoim kosztem wystawić i opatrzyć podejmowali się, długi zaś te ubezpieczać na dobrach królewskich, oddawanych zarazem wierzycielom w zastawne posiadanie. Takie finansowe z władzą państwową tranzakcye po wszystkie czasy niezmiernie wzbogacały uczestników, a tém więcéj w ówczesnych okolicznościach. Zaświadcza to p. Szujski, który przyznaje,

że prowadzona przez Kazimierza „smutna gospodarka królewszczyznami,“ stanowiła „główne źródło bogacenia się możnych.“ Ale taka „gospodarka,“ takie bogacenie się z okazyi i powodu kłopotów i trudności państwowych musiało, przy dłuższém trwaniu i wchodzeniu niejako w zwyczaj, w konieczném następstwie przyczynić się do skrzywienia zmysłu prawdziwie politycznego, do ciężkiego nadwerężenia czystości uczuć patryotycznych w klasie dotychczas kierującéj, dając jéj zarazem niewyczerpane źródło wpływu i znaczenia w kraju. Rosnąca przewaga téj klasy stawała się coraz groźniejszą dla władzy królewskiéj; z drugiéj strony zaś stan rycerski, dobywający się wówczas na widownię publiczną, głosem swoim poczynający ważyć na szali spraw i wypadków, lecz ubogi i z ciężkiemi warunkami ekonomicznemi walczący, niezawodnie zazdrośném okiem spoglądał na szybki i łatwemi sposobami uskuteczniający się wzrost fortuny starszéj swéj braci: rozbudzały się w nim na ten widok zachcenia i pożądliwości, podsycane jeszcze wiadomością o rozległych przywilejach szlachcie w krajach sąsiednich przysługujących.

Uczucia te i usposobienia obustronne, to jest króla i szlachty, względem panów dały bezwątpienia powód do prawodawstwa Jana Olbrachta z r. 1496. Niedostateczność źródeł nie dozwala nam poznać szczegółowego przebiegu sejmu Piotrkowskiego z t. r. Ciekawą niezmiernie rzeczą byłoby wiedzieć z pewnością, zkąd wyszła inicyatywa do zapadłych na nim postanowień,—jakie sprężyny w ruch wprowadzone były. Przypuszczają powszechnie że prawa owe są dziełem samego króla, pragnącego tym sposobem zjednać sobie szlachtę. Stawić jednak trzeba ważne pytanie: czy chodziło mu o pociągnięcie i zachęcenie téj szlachty do uczestniczenia w szerokich jego planach wojennych, do najliczniejszego udziału w zamierzonéj wyprawie na Wschód, czy téż o uzyskanie od niéj trwałego dla tronu poparcia, o skutek jednorazowy, czyli o widoki na całą przyszłość obrachowane? Pan Bobrzyński, który tę chwilę dziejową obszerniéj traktuje w rozprawie: *Sejmy polskie za Olbrachta i Aleksandra*, (1) zdaje się przechylać ku drugiemu przypuszczeniu. P. Szujski zaś (2) najwyraźniéj obstaje za pierwszém. Jakkolwiekbądź, widzimy że konstytucye z r. 1496 zapewniają szlachcie: 1) uwolnienie od ceł i różnych opłat skarbowych, 2) oddanie jéj w ręce stanu włościańskiego, wraz ze środkami coraz większego ścieśnienia i opanowania tegoż przez słynną konstytucyą *o synach kmiecych* i inne, ograniczają-

(1) Ateneum z r. 1876. T. II.

(2) Kilka uwag o dziejach Polski Bobrzyńskiego.

ce sposób zarobkowania zarówno kmieci jak i tak zwanych ludzi luźnych czyli wyrobników, 3) wyłączny prawie przystęp do stanu duchownego, na początek przynajmniéj do wyższych kościelnych urzędów, 4) wyłączne prawo do własności ziemskiéj i jéj korzyści z mocy konstytucyi zabraniającéj mieszczanom i *plebeom* nabywania, trzymania i posiadania dóbr ziemskich prawem wieczystém lub zastawném.

Ustawy te, w wysłowieniu i redakcyi nie zdradzają może całkowitéj swéj doniosłości, przy odczytaniu nie uzmysławiają niejako, nie oddają wrażenia wielkiego przewrotu społecznego, którego były zadatkiem i zapowiedzią, otwierają tylko, na pozór dosyć oględnie, wrota nowo-wytwarzającym się stosunkom, naprowadzają bez widocznych wstrząśnień na kierunek, którym jedyna w kraju już uorganizowana i poczucie własne posiadająca siła, nie napotykająca wkrótce na swéj drodze żadnego rzeczywistego oporu i skutecznego przeciwdziałania, daléj konsekwentnie parcie swoje wywierać i panowanie swoje rozprzestrzeniać i gruntować nie omieszkała. Ustawy, o których mowa, były jednak, zdaniem naszém przeniewierzeniem się misyi Polski, odstąpieniem od jéj dotychczasowéj tradycyi, od tradycyi zwłaszcza wielkich królów, sprawców jéj odrodzenia w XIV wieku. Reakcya nawet przeciw politycznéj przewadze żywiołu germańsko-miejskiego, uosobiona w Łokietku, nie sprowadziła pognębienia miast, poszanowała owszem nabyte przez nie prawa i korzyści społeczne, a niepotrzeba przypominać, że prawodawstwo i rządy Kazimierza Wielkiego rozciągnęły szczególną opiekę nad stanami wiejskim i kmiecym, skuteczne udzieliły poparcie ich rozwojowi i interesom. Polska téż, pod panowaniem następców tychże monarchów, przyświecała okolicznym krajom przykladem swobód, stała się ogniskiem cywilizacyi, a zarazem potężnéj atrakcyi, pociągającéj ku niéj liczne jednostki i całe dotąd obce społeczeństwa, doznawała zatém ciągłego i znakomitego przyrostu sił do spełnienia swego dziejowego zadania. Istniał wprawdzie w niéj ustrój stanowy, na przywilejach oparty; ale przywileje owe zabezpieczały tylko każdemu ze stanów odrębny a odpowiedni jego właściwości rozwój, zapewniały go i ułatwiały warunkami oddzielnego dla każdego z nich samorządu, dobrobyt i powodzenie jednego stanu nie opierały się na krępowaniu rozwoju drugich, na ograniczeniu ekonomicznéj i społecznéj działalności innych spółmieszkańców kraju.

Jakie były skutki polityczne tych ustaw? P. Bobrzyński w rozprawie swéj, drukowanéj w Ateneum r. 1876 (1) powiada: „Ogół

(1) Sejmy polskie za Olbrachta i Aleksandra.

szlachty polskiéj, ani wykształceniem swojém, ani téż stanowiskiem ekonomiczném nie mógł jeszcze z początkiem XVI-go wieku odgrywać większéj politycznéj roli, posiadał jednakże ogromną siłę, z którą się należało rachować...“ Ubóstwo własne, widok lepszego bytu innych stanów, niedostateczna opieka prawna, „wszystko to popychało szlachtę... do wystąpień, skierowanych przeciw supremacyi możnowładców i miast, a dążących do zawładnięcia chłopem. Jeden Jan Olbracht umiał to usposobienie szlachty dla celów swoich zyskać i na nim politykę swoję wewnętrzną oprzéć.“ O jakich to celach, o jakiéj polityce mowa? Jan Olbracht bezwątpienia potrafił temi szerokiemi ustępstwami ująć sobie chwilowo szlachtę i pociągnąć ją za sobą na wyprawę bukowińską, która, nawiasem mówiąc, po raz prawie piérwszy, leczjakże jaskrawo, a przecież bezskutecznie! wykazała, że pospolite ruszenie bynajmniéj do wielkich wypraw wojennych się nie nadaje; lecz trwałego dla władzy królewskiéj oparcia nie zyskał przez to wcale i zyskać go nie mógł. Szlachta, z żywiołu demokratycznego, mogącego skutecznie i chętnie wspomódz monarchę w razie sporów i walk jego z możnowładztwem, przetwarzała się za pomocą takiego prawodawstwa w nową, drugorzędną niejako warstwę arystokracyi, życiem i interesami zespalającą się coraz bardziéj z wyższą téjże warstwą, na pokład z możnowładczym żywiołem coraz jednolitszy, mogący mu wygodnie służyć za podstawę i narzędzie działania politycznego, wzmacniający go zatém niesłychanie wobec władzy królewskiéj. Zdrowa polityka inne w tém położeniu wskazywała postępowanie, ale niestety, żaden z synów Kazimierza Jagielończyka z trudnego, przypadłego sobie zadania należycie wywiązać się nie umiał! Zdrowa i przewidująca polityka nie doradzała bynajmniéj dogodzić w najrozleglejszéj mierze pożądliwościom jednego stanu, zadowolnić od razu wszystkie słuszne i niesłuszne chęci obecnego i upragnionego na przyszłość sprzymierzeńca, oddać mu na pastwę inne stany i pozbyć się raz na zawsze możliwéj z ich także strony pomocy; stałe i konsekwentne poparcie prawdziwych potrzeb stanu rycerskiego, a były one dość liczne, troskliwa i skuteczna opieka, gotowa zawsze sprawiedliwość, byłyby bez żadnéj wątpliwości dostatecznie wiązały ów stan z tronem, utrzymały pożądaną sił krajowych równowagę, którą za pomocą podniesienia, a raczéj może ukrzepienia stanów mieszczańskiego i kmiecego lepiéj jeszcze zabezpieczyć należało.

Powyższe zapatrywanie, które daléj będziemy się starali w związku z faktami dziejowemi usprawiedliwić, odbiega od sądu większéj części badaczy i różni się od sposobu w jaki autorowie, których prace rozważamy ustawodawstwo r. 1496 oceniają. P. Szujski mniema „że

Olbracht, zadosyć uczyniwszy szlachcie obszernóm i korzystnóm dla niéj prawodawstwem, zabezpieczał sobie istotne środki panowania bez sejmu," że myślał „zarówno o stłumieniu senatu jak o zatraceniu posłów ziemskich (?) co na sejmie z r. 1496... nietrudno było przeprowadzić," i na tém kończy. P. Bobrzyński (w artykule: Sejmy polskie etc.) stanowczo nagania „cios ten wymierzony przeciwko duchowieństwu i miastom," zarzuca Olbrachtowi nieoględność że na takowy zezwolił, widzi tu „zasadniczy błąd w rozwoju Polski," który podnosi „w całéj jego nagości." „Nie sądzimy jednak, powiada daléj, aby Polska już dla tego samego skazana była na upadek... wszystko to dawało się jeszcze naprawić." Obaj autorowie ostatecznie w tym fakcie historycznym witają sojusz króla ze szlachtą przeciwko możnowładztwu, sojusz, który umożliwiał jakoby wzmocnienie władzy królewskiéj, a nawet ewentualnie dojście do absolutyzmu. My téj możliwości w żaden sposób dopatrzyć się nie możemy, owszem powtarzamy chętnie za p. Bobrzyńskim, że tu właśnie tkwił *błąd zasadniczy* w rozwoju Polski, błąd którego logiczne, pośrednie następstwa koniecznie według nas do upadku państwa wiodły; a jednóm z najważniejszych tych następstw, dodamy, było właśnie pozbawienie władzy królewskiéj wszelkiéj silniejszéj i pewniejszéj w kraju podpory, przez stopniowe ale nieuniknione usuwanie się od niéj st u szlacheckiego, a jednoczesne ubezwładnienie żywiołów, któreby ten stan w roli sprzymierzeńca tronu zastąpić mogły. Czy błąd ten i złe jego wynikłości bezwarunkowo już naprawić się nie dawały, o tém trudno stanowczy wyrok wydawać, ale dalszy przebieg dziejów dobitnie stawia przed oczy bezskuteczność usiłowań w tym celu podejmowanych, wykazuje jak dalece stan rzeczy, z tych ustaw powstały, krępował ręce wszystkich do naprawy państwa zmierzających, aż wreszcie zwrot od przybranego przed trzema wiekami fałszywego kierunku w spóźnionéj już chwili nastąpił. W tém miejscu zaznaczymy tylko jedną, a nie najmniéj ważną przeszkodę do usunięcia tego stanu rzeczy, to jest dziwną apatyą, zdumiewającą obojętność, z jaką klasa mieszczańska przyjęła i znosiła wyzucie jéj i ogołocenie z cennych i doniosłych praw nietylko politycznych lecz i obywatelskich. Nie potwierdza ten objaw ujemny znanéj już teoryi p. Bobrzyńskiego o pożytku *przymieszki krwi obcej* do krwi słowiańskiéj, aby tę ostatnią uczynić *pochopniejszą do życia politycznego*.

Przywiléj mielnicki z r. 1501, narzucony Aleksandrowi zaraz po jego wyborze na króla, miał być odwetem możnowładztwa przeciwko ustawom piotrkowskim i całéj polityce wewnętrznéj Jana Olbrachta i władzę rządową skupiał w rękach senatu. Gdy jednak panowie nie zdołali na razie sprostać zadaniu, władzy należycie zu-

żytkować, i na pożytek i zabezpieczenie państwa obrócić, przerzucił się Aleksander na stronę szlachty, ster prawodawstwa na nowo objął i w konstytucyach radomskich nareszcie zapisał zobowiązanie, iż odtąd żadne nowe prawo bez wspólnego zezwolenia senatu i izby poselskiéj mocy obowiązującéj nabyć nie będzie mogło.

Od chwili téj, od téj konstytucyi, w krótkiém swém brzmieniu i małéj ilości słów niezmiernie doniosłe dla całéj przyszłości mieszczącéj znaczenie, liczy się powszechnie ustalenie reprezentacyjnéj formy rządów w Polsce i utwierdzenie władzy prawodawczéj sejmów, bez których już żadne prawo stanąć nie mogło, gdy dotychczas odwoływanie się w potrzebach krajowych bądź do sejmików partykularnych lub generalnych, bądź też do sejmu walnego od woli króla zależało.

Autorowie, których dzieła rozbieramy, podnosząc ogromną ważność téj chwili dziejowéj dla losów Polski, niezupełnie zgadzają się w ocenieniu konstytucyi z r. 1505, jéj wartości i skutków. P. Bobrzyński wypowiada o niéj zdania, trudne poniekąd do pogodzenia z sobą. We wspomnianéj już przez nas rozprawie: *Sejmy polskie za Olbrachta i Aleksandra*, staje wyraźnie i z wielką siłą w jéj obronie przeciw rozmaitym zarzutom, jakie wobec niéj podnoszone są lub być mogą, staje też w obronie ówczesnych początków parlamentaryzmu polskiego, podejmuje się, jak sam powiada, jego *rehabilitacyi*. W ostatniéj chwili objawia wprawdzie pewne wahanie, i mówi: „byłże parlamentaryzm formą rządu, którąby Polsce ówczesnéj mogła zapewnić porządek i wewnętrzny rozwój? Na to pytanie trudno jest w istocie odpowiedziéć.“ Ale zaraz dodaje. „Zważyć jednak należy, że forma rządu polskiego,... rozstrzygnęła się już za czasów Kazimierza Jagielończyka. Monarchia i absolutna władza rządowa nie mogły się w Polsce w żaden sposób w obec przewagi możnowładztwa utrzymać.“ W drugiém wydaniu *Dziejów Polski w zarysie* objawia się już dobitniéj sprzeczność w wyrażeniu zdania o tym samym przedmiocie. W obszernym ustępie (T. II. str. 19—25) podnosi autor korzyści ustawy z r. 1505 i zwrotu zasadniczego przez nią sprowadzonego, a nową epokę otwierającego. „Państwo więc polskie, oświadcza, przestalo być średniowieczném, a stawało się nowożytném (t. z. prawném)“ trochę daléj zaś uczy „że tylko państwo nowożytne moglo Polsce byt i rozwój zapewnić.“ W pośrodku tego wszystkiego znajdujemy jednak drugie wyznanie wiary autora w tych słowach: „Czy parlamentaryzm polski w ten sposób sankcyonowany“ (mowa tu zawsze o ustawie z r. 1505) „*nie był przedwczesnym* w chwili, w któréj wszystkim narodom średniowiecznym potrzebną była twarda szkoła absolutnych rządów,.... ułatwiających śmiałe, postępowe na wewnątrz reformy? *Niewątpliwie*. Z tém wszystkiém... i pomimo *niewątpliwéj*

przedwczesności, uważa autor rzeczoną ustawę za fakt korzystny, bo „królowi, w obec zbutwiałego, anarchicznego możnowładztwa, dawał przeciwwagę w szlachcie, w żywiole niezużytym i świeżym, który króla popierać musiał,“ nadto jako „lakoniczna i niejasno zformułowana,“ dawała się ona skrzywić i nagiąć „do zwiększenia z pomocą szlachty władzy królewskiéj, *dla dzielnych zaś królów*,“ nawet do osiągnięcia absolutnych rządów (!). Pomysł dość oryginalny naprawdę upatrywać zaletę ustawy w tém, że się dawała naginać do samowoli i krzywić! Ale jakiż sens moralny z tego wszystkiego wyciągnie czytelnik?

P. Szujski wprost przeciwnie, jasno i stanowczo potępia ustawę radomską i nie szczędzi jéj gromów. Zdaniem jego, utworzony na jéj podstawie centralny parlamentaryzm „był niezawodnie *przedwczesną instytucyą*.“ „Czechy i Węgry doszły tą drogą w ciągu dwudziestu kilku lat do anarchii.... arbitralne rządy lub najazd obcy sprowadzającéj; Polsce.... po dłuższém istnieniu stać się musiał tenże kierunek przyczyną *nieuchronnéj zguby*.“ Co do Polski, napomknęliśmy już, że przyczyna nieuchronnéj zguby tkwiła gdzie indziéj i będziemy się starali w dalszym ciągu pogląd nasz w téj mierze, ocenieniem przebiegu wypadków, uzasadnić. Przykład Czech i Węgier musimy również z calém uszanowaniem dla uczonego i zasłużonego historyka, stanowczo odrzucić, jako niewłaściwie tu zastosowany. Nie parlamentaryzm pozbawił Czechy i Węgry ich wiekowéj niepodległości państwowéj, ale uczyniła to najniewątpliwiéj dobroduszna i krótkowidząca polityka Zygmunta I-go. W ówczesnym ustroju wschodniéj Europy mogły wspomnione państwa zachować swą samoistność tylko przez silne i ścisłe oparcie o Polskę, tym téż sposobem przez lat blizko 150 ją utrzymywały. Opuszczone od swego naturalnego sprzymierzeńca, luźnym tylko węzłem z sobą związane, musiały popaść pod zwierzchnictwo wzrastającéj szybko i wytrwale potęgi Habsburgów. Ale jakże tu jeszcze w dodatku nie zwrócić uwagi, że w daleko gorszém od Polski położeniu będące, najniebezpieczniejszymi wrogami zbliska otoczone Węgry, pomimo strasznych przewrotów i długich wojen, pomimo groźnych burz przechodzących po ich głowach, pomimo rozdarcia i częściowego podpadnięcia pod jarzmo tureckie, pomimo wreszcie licznych, krwawo tłumionych buntów, że Węgry, powiadamy, zdołały jednakowoż ocalić ostatecznie narodowe swe instytucye i rządy parlamentarne w prawnéj przynajmniéj nieprzerywalności do naszych czasów dochować!

V.

W świetle dziejów, jak je nam p. Bobrzyński przedstawia, Jan Olbracht, Aleksander, wychodzą nietylko obronną ręką, ale jeszcze otoczeni jakąś niezasłużoną zaprawdę aureolą rozumu politycznego, który im pozwolił trafnie jakoby rozeznać zadania epoki; za to obaj Zygmuntowie obarczeni są nawałem zarzutów, gdyż, zdaniem autora, zmarnowali bezpowrotnie najlepsze sposobności, jakie im się nastręczały do utrwalenia rządu na zasadach nowożytnych i do zabezpieczenia przyszłości państwa. Wynika to wszystko z przyjętéj przez szanownego profesora teoryi politycznéj, dającéj się streścić w sposób następny. Z końcem piętnastego wieku możnowładztwo polskie przeżyło się było zupełnie, zbutwiało, stało się anarchicznėm i niedopuszczało utworzenia silnego rządu; znalazł się jednak pod ręką żywioł świeży, niezużyty a ogromną siłę przedstawiający, to jest szlachta. Klasa ta jedną ręką gnębiła niższe warstwy społeczeństwa, miasta i kmieci, odbierała im wszelkie warunki samoistności i ekonomicznego rozwoju, co jéj się wprawdzie nie chwali, ale w obec trudności takiego przedsięwzięcia dowodzi w każdym razie potężnéj żywotności i siły, drugą rękę zaś wyciągała do króla, pragnąc mu dopomódz w ugruntowaniu silnej monarchicznéj władzy i „złamaniu“ możnowładztwa: droga postępowania była tym sposobem jasno wskazaną dla każdego panującego — nie należało się wahać ani chwili z zawarciem tak korzystnego i pożądanego sojuszu. Jan Olbracht i Aleksander wstąpili na tę drogę, oparli się na szlachcie; Zygmuntowie przeciwnie odepchnęli podawaną sobie rękę i sprowadzili państwo na niebezpieczne manowce.

Tak więc naprzykład Zygmunt I „stateczny do zbytku, wzdrygał się przed sojuszem ze szlachtą, którą uważał za żywioł niepewny, łatwo dający się bałamucić;“ bojąc się jéj nawet „oparł się na żywiole jeszcze niepewniejszym na możnowładcach. Zdawało mu się, ciągnie dalej autor, że mądrym doborem osób i dobrym przykładem zdoła utworzyć sobie senat oświecony, wytrawny i patryotyczny.“ Wszystko nadaremnie! „Dawne możnowładztwo już się przeżyło, a nowi ludzie, których Zygmunt wprowadzał, ażeby je odświeżyć, przejmowali jego przywary, nieprzyswajając sobie jego cnót, których tradycya już w zupełności zniknęła. Zła i skrzywiona instytucya psuła i krzywiła ludzi.“

Uważny, nieuprzedzający się czytelnik, pragnący zgłębić przyczyny zwrotów dziejowych i społecznych, oglądać się tu musi za objaśnieniem tego dziwnego, przez autora wskazanego objawu. Cho-

roby społeczne, powie sobie w duchu, zwykle tak szybko nie postępują; nagłe zmiany zdarzają się niekiedy na powierzchni społeczeństw, ale w ich głębi tylko powolny proces ważnego przeobrażenia ducha dokonać może. Jakim więc sposobem arystokracya, która w pierwszéj połowie XV wieku tak dzielnie sprawami kraju kierowała, po kilkudziesięciu leciech mogła zejść do tyle smutnego stanu, iż utraciła w zupełności nietylko dawne swe cnoty, ale już nawet wszelką o nich tradycyą, że przywarami swemi i zbutwieniem wszystko dokoła siebie zarażała? P. Bobrzyński nam tego nie tłómaczy, a pomimo że w innych częściach dzieła swego z wielką bystrością śledzi przejawy społeczne i niezmiernie trafnie skreśla ich przyczyny i skutki, tu każe nam wierzyć na słowo w tak nagłe przeobrażenie i przyjmować ową ponurą charakterystykę możnowładztwa, która się następnie ciągle powtarza. Jakże atoli pogodzić to jakoby już na schyłku piętnastego wieku zaszłe przeżycie się, tę rzekomą zbutwiałość wspomnionéj klasy z faktem przez cały ciąg dziejów stwierdzonym, że taż sama klasa wiodła z powodzeniem przez trzy jeszcze wieki nieustanną z tronem walkę, że w tymże przeciągu czasu wydawała z siebie tylu znakomitych i zasłużonych dla kraju mężów, co więcéj, że ów młodszy i mający ją niby skruszyć żywioł szlachecki opanowała, a przynajmniéj wpływowi swemu zupełnie uległym uczyniła? Była więc w niéj niewątpliwie wielka, pierwszorzędna siła. Rozum stanu nie polega też na tém, aby istniejące w państwie siły łamać i kruszyć; nakazuje owszem zużytkować takowe, zorganizować, a przytém niedopuścić, aby przekroczyły właściwe a interesom ogółu wskazane granice, czuwać aby nie wyszły z karbów. Otóż polityka jagiellońska, miękością, zbytnią skłonnością do ustępstw, a najbardziéj nieoględnością finansową, pozwoliła możnowładztwu urość na niebezpieczną dla władzy królewskiéj potęgę, co gorzéj zaś przyuczyła je pomimo woli do stawiania własnych interesów po nad interesa i potrzeby państwa. Ale i szlachta, dzięki nieopatrznym Jana Olbrachta ustawom, poczynała już, wyłomem przez nie zrobionym, z właściwych karbów wykraczać i to w tymże samym co możnowładztwo kierunku, mianowicie w dążeniu opanowywania na swoję korzyść soków żywotnych społeczeństwa i wybujania kosztem innych pierwiastków onego. Weszła ona wprawdzie cokolwiek późniéj od możnowładztwa na tę drogę, posiadała więc poniekąd żywsze jeszcze poczucie potrzeb państwowych w chwili o któréj teraz mówimy; ale nie była już ani bezinteresownym, ani nawet zbyt pewnym dla władzy królewskiéj sprzymierzeńcem. Ztąd też zadanie kierowników państwa w obec tych czynników nie było ani tak łatwém ani tak prostém jak je p. Bobrzyński przedstawia.

Że Zygmunt I do zwiększenia się istniejącego już złego niemało się przyczynił, temu zaprzeczyć trudno; ale wina jego nie leży w tém że odepchnął od siebie szlachtę, że ją wydał na łup możnowładztwu, jak utrzymuje p. Bobrzyński, lecz wynika w ogóle z braku stanowczości i woli, wady u wielu królów polskich, napotykanéj niestety! chociaż może u żadnego do tego stopnia nieposuniętéj. Zygmunt, zarówno w zewnętrznéj jak i wewnętrznéj polityce nie umiał, właściwie mówiąc, zdobyć się na żaden stały i pewny kierunek; jak w podwójną bawił się dyplomacyą, tak i na wewnątrz wszystkich ująć, wszystkim dogodzić pragnął i przez to niczego osiągnąć nie mógł, owszem wszystkich zraził i od siebie odstręczył, aż nareszcie całym szeregiem błędów politycznych oraz tolerowaniem jawnych i krzyczących nadużyć powszechne prawie niezadowolenie wywołał, co pewnéj części możnowładztwa niezmiennie ułatwiło opanowanie umysłów szlachty i zburzenie jéj przeciwko królowi. Wojna kokosza była niewątpliwie smutnym objawem, groźnym na przyszłość symptomatem, ale nie znaczyła ona jeszcze popadnięcia narodu w anarchią, jak chce p. Bobrzyński, bo rozprężenie u góry, nieposzanowanie praw przez najwyższą państwową władzę, dawały usprawiedliwiające powody skargom i zażaleniom, bez których opłakanego tego ruchu wywołać nie byłoby się udało.

Jeżeli zaś nie myślimy wcale bronić Zygmunta I, który przez czas 42-letniego panowania niczego dla rozwinięcia i pomnożenia potęgi Polski zrobić nie potrafił, lecz przeciwnie znaczenie jéj i wpływ u ubcych umniejszył, a w kraju szerzenie się coraz większego nieładu dopuścił, bo początkowe usiłowania reformy i przeprowadzone nawet uporządkowanie finansów obróciły się w końcu w najbezczelniejsze łupiestwo publicznych zasobów, inicyatywę swą pod bokiem króla znajdujące; jeżeli więc wyrok p. Bobrzyńskiego o przedostatnim królu dynastyi jagiellońskiéj gotowiśmy z niewielkiemi zmianami zatwierdzić, to znowu sądzimy, że zbytnia jego dla Zygmunta Augusta surowość powszechnie i najsłuszniéj razić musi. Niepodobna zapomnieć że król ten, w daleko trudniejszych okolicznościach i czasach panując, przeprowadził ostatecznie ważne prawa organiczne, wadliwe zapewne pod pewnym względem dla dzisiejszego zapatrywania, ale będące postępem w obec przeszłości, mianowicie reformę skarbową i wojskową, powiększył państwo przyłączeniem Inflant, ścieśnił węzły łączące Polskę z Prusami książęcemi, wreszcie uwieńczył swoje panowanie wiekopomném dziełem unii litewskiéj i pruskiéj. Nie uczynił zapewne wszystkiego, czego się p. Bobrzyński od niego domaga, wiele błędów i uchybień zarzucić mu nietrudno, lecz historya nie może wkładać na barki jednego człowieka, jednego monarchy, zadań,

które pokolenia tylko spełnić zdołają. Autor wprawdzie przedstawia, że zadania owe szczególne w téj chwili znajdowały ułatwienie. Przypatrzmy się bliżéj temu wszystkiemu.

Utworzeniu silnego rządu w Polsce sprzyjać miała reformacya oraz związana z nią dążność szlachty do wzmocnienia władzy królewskiéj. Autor podnosi, że reformacya, dla pozyskania na swą stronę królów i książąt, stawiała ich na czele narodowych kościołów, przyznawała im prawo rozstrzygania o wierze poddanych. Wojny religijne przez reformacyą wywołane, przyczyniły się stanowczo do zwiększenia władzy monarszéj w całéj Europie, bez względu na to, czy katolicyzm, czy téż protestantyzm zwyciężył, a to z powodu, iż „zaciekłość religijna szła tak daleko, że każde stronnictwo dawało panującemu bezwzględne poparcie i absolutną władzę, byleby za tę cenę stronnictwo przeciwne poskromił i złamał.“ Po zwycięstwie już panujący władzy nadanéj z ręki nie wypuszczał. „Takie a nie inne czekało téż reformacyą i w Polsce zadanie,“ mówi wyraźnie p. Bobrzyński. Ależ téj zaciekłości, tego fanatyzmu, pomimo łatwego szerzenia się nowych wierzeń, w Polsce wcale nie było, ubolewa nad tém nawet nasz autor, w inném miejscu mówiąc „że społeczeństwo nasze nie miało potrzebnéj siły przekonań, nie wstrząsały niém namiętności....“ najznakomitsi jego ludzie „nie tylko w dobrém, ale i w złém nie zdołali się wznieść do rozmiarów potężnych, do prawdziwéj dramatyczności!“ (str. 339). Sam przyznaje wszakże, iż w Polsce reformacya miała odrębny od Niemiec i Zachodu charakter: nie chodziło, w początku zwłaszcza, o dogmata, ale o zorganizowanie kościoła narodowego, po części od Rzymu niezawisłego, rządzonego przez „sobór kościelny polski pod prezydencyą króla.“ Ruch niebył burzącym, anarchicznym, lecz owszem zachowawczym niejako. Dążenie wychodziło głównie od szlachty, sprzyjało mu zarówno duchowieństwo jak i możnowładztwo; nie było więc sposobności ani powodów do wojny religijnéj.

W związku z powyższym projektem ustanowienia kościoła narodowego postawiła szlachta nowy program polityczny pod nazwą: *naprawy Rzeczypospolitéj*. Pragnąc zjednać króla dla głównego swego celu reformy kościelnéj, wymyślono, obok perspektywy prezydencyi w soborze, naczelnictwa polskiego kościoła, jeszcze inny środek, i postawiono jako drugi punkt programu: ściągnięcie dóbr koronnych, tak zwaną egzekucyą statutu z r. 1504. Zygmunt I, w drugiéj połowie swego panowania, rozdarował lub pozastawiał wiele takich majętności w sposób bezprawny, bo bez udziału senatu i sejmu. Z pomnożeniem dochodów, wyniknąć mającém z odebrania na skarb tak licznych dóbr, nietylko powiększały się fundusze osobiste

króla, ale przedsięwziąść można było ważną poprawę administracyi, wojskowości i finansów. Trzecim i najdonioślejszym punktem była unia, czyli ścisłe złączenie Litwy i Prus z Polską w jedno, jednolite państwo. Program ten, przez cały ciąg panowania Zygmunta Augusta popierali na sejmach posłowie ziemscy z Mikołajem Siennickim na czele. Z początku występowali w imię wolności, późniéj dostrzegając pojawiające się trudności i poważne przeszkody, co do pierwszego punktu ze strony duchowieństwa i Rzymu, co do drugiego i trzeciego ze strony możnowładców polskich i litewskich, oddawali wszystko w ręce króla, streścili jakoby żądanie swe w jedno: „złamanie możnowładczéj anarchii przez króla.“

Autor zarzuca Zygmuntowi Augustowi, że nie skorzystał z tak wyjątkowo pomyślnego położenia. Naród przez usta szlachty wołał na niego, „wskazując na... zdeptane przez anarchią prawa: przywróć je i wykonaj, rządź i rozkazuj!“ Jakże wytłómaczyć jego w tym razie postępowanie, to niepojęte i z naturą ludzką niezgodne odrzucenie ofiarowanéj władzy? P. Bobrzyński przyznaje Zygmuntowi Augustowi nietylko rozum, talent, wykształcenie, ale i znajomość potrzeb kraju oraz zręczność w posługiwaniu się ludźmi dobréj woli, pragnienia pomyślności i wielkości dla swego narodu odmówić mu téż nie może. Czy podobna, aby człowiek tylu obdarzony przymiotami, mając ofiarowaną sobie silną władzę, którąby w tak stanowczéj chwili na chwałę własną i dobro narodu użyć mógł, ofiarę tę odepchnął? Brak wyższéj ambicyi, hartu moralnego, pogody umysłu, który mu autor wytyka, choćby zarzuty te były zupełnie słusznemi, nie tłómaczy dostatecznie podobnego objawu. Musiały zachodzić inne przyczyny. Zygmunt August posiadał wielką znajomość ludzi i dostrzegł niezawodnie, że w czynionych mu propozycach, że w stawianych na sejmach żądaniach i układanych planach nie dostawało, że tak powiemy, statecznego i bezpiecznego gruntu. Siennicki i inni przywódcy sejmowi trafnie bez wątpienia rozumieli potrzeby oraz niedostatki państwa, wytrwale dążyli do zaspokojenia jednych i usunięcia drugich, ogół szlachty popierał ich i darzył stałém zaufaniem dopóki podniesione przez nich sprawy toczyły się w słowach; przy przejściu do czynu, łatwo było zapewne przewidzieć powszechne prawie odstępstwo. P. Bobrzyński mówi o egzekucyi dóbr, że „była to wprawdzie rewolucya społeczna rujnująca wiele możnowładczych fortun, ale wzgląd ten szlachtę do tém głośniejszego domagania się jéj mógł tylko zachęcać.“ Do głośnego domagania się i odgrażania, na to zgoda; ale od tego do dokonania daleko, zwłaszcza u nas. Możnowładcy wiedzieli już dobrze wtedy, jak do szlachty trafić i czém ją sobie ująć; woleli podzielić się korzyściami aniżeli zupełnie je utra-

cić. Pokazało się to dowodnie, gdy Zygmunt August wyraźnie wreszcie stanął po stronie szlachty i program jéj przyjął. Wszystkie punkta załatwione zostały ostatecznie kompromisem: sprawa religijna, przez ogólną dla wszystkich wyznań tolerancyą; przy unii zastrzeżono, utrzymanie oddzielnych dla Litwy urzędów i dygnitarstw; co do sposobu rozwiązania tych dwóch kwestyj nie podzielamy zresztą niezadowolnienia naszych historyków; ale najgorzéj wypadła egzekucya dóbr koronnych. Znaleźli się wprawdzie możnowładcy, którzy teraz jako i dawniéj, dobrowolnie zrzekali się starostw; w ogóle jednak cała sprawa miękko przeprowadzoną została. Po dopełnionéj operacyi ściągnięcia, podzielono królewszczyzny na dobra stołowe i starostwa, co do tych ostatnich, o wiele najliczniejszych, postanowiono, że je ma król oddawać w dzierżawę ludziom dobrze zasłużonym ojczyźnie. W praktyce przecież rzeczy tak się złożyły, iż tego rodzaju dzierżawa była raczéj pozorną niż rzeczywistą, była dożywotnią „darowizną i dobrodziejstwem dla tego kto ją otrzymał,“ jak to p. Bobrzyński przyznaje. „Pragnęła szlachta od państwa, mówi on daléj, hojnego szafunku nagród, a niezadawalając się urzędami, obmyśliła sobie intratne dzierżawy.“ W pewnym, moralnym związku z tą sprawą egzekucyjną zapadło na jednym z sejmów téj epoki prawo szkodliwe dla miast, ścieśniające handel krajowy, rujnujące kupiectwo na korzyść szlachty. Tak więc wszystko układało się nieprzeparcie ku urzeczywistnieniu téj niewypowiadanéj wprawdzie wyraźnie, ale górującéj nad położeniem zasady: *szlachta żyje dla Rzplitéj*, lecz zarazem i *żyje z Rzplitéj*. Jak to się zawsze i niechybnie w świecie dzieje, wszedłszy raz na błędną drogę, niepodobna było się cofnąć, a tém mniéj zatrzymać, pożądliwości musiały wzrastać i mnożyć się, złe założenie rozwijać się daléj, i z biegiem czasu pierwsza część owéj zasady stawała się coraz mniéj prawdziwą, druga coraz prawdziwszą.

Zygmunt August, wraz z objęciem rządów, objął téż położenie o wiele trudniejsze niż się zdaje na pozór; złe narowy miały czas zapuścić korzenie, zwyczaj korzystania z publicznego dobra, ogołacania państwa z zasobów, szerzył się ciągle za sprawą jego poprzedników i stawał się niebezpiecznym a ponętnym przykładem; przewaga szlachty nad innemi stanami już się była silnie ugruntowała; do walki z tymi przemożnymi żywiołami nie było w państwie środków. Jednak, według p. Bobrzyńskiego, na wszystko znalazłaby się była rada w stanowczém i energiczném podjęciu sprawy religijnéj. Autor kilkakrotnie do niéj powraca. Gdyby Zygmunt August, zamiast przechylać się na obie strony, chwycił się był bezwarunkowo i bezwzględnie, jeżeli już nie z mocy religijnych przekonań, to dla politycznych widoków, czy to protestantyzmu i idei kościoła narodowe-

go, czy téż katolicyzmu oraz tłumienia chociażby krwawego i nieubłaganego prześladowania różnowierstwa, słowem gdyby był naśladował politykę Henryka VIII i Elżbiety w Anglii, lub Ferdynanda II w Czechach i Austryi, byłby ugruntował silną władzę królewską, utworzył konieczne warunki trwałego rządu, zapobiegł na zawsze anarchii. W miejsce tego, w miejsce wojen religijnych nastała w Polsce tolerancya. „Tolerancya taka, narzucona przez wyznania państwu (?), mówi autor, była objawem rozstroju, i myliłby się wielce ten, ktoby ją podnosił i stawiał na równi z tolerancyą dzisiejszą.“ P. Szujski zaś mówi, ze swéj strony w tym samym przedmiocie: „Nietolerancya przeprowadziła na Zachodzie rządy nowożytne, katolickie we Francyi, akatolickie w Anglii i Szwecyi; tolerancya u nas wywołała milczący układ: niedopuszczenie silniejszego rządu.“

Tak więc, według najnowszéj szkoły historycznéj, parlamentaryzm, tolerancya religijna, te niezaprzeczenie wielkie i cenne dobra ludzkości, dla ludzi przed trzema wiekami żyjących były rzeczą przedwczesną, zbyteczną, a gdy oni, pomimo to, umiejąc je cenić, zbytku podobnego sobie pozwolili, my, potomkowie ich, przebaczyć im tego nie możemy, ani powinniśmy. Jakto! owe niewydoskonalone jeszcze pokolenia miałyby, ośmieliłyby się korzystać z prerogatyw, których nam nawet, synom kończącego się dziewiętnastego wieku tu i owdzie, a zdaniem niektórych, może i słusznie odmawiają! Najświętszym ich obowiązkiem było: unosić się fanatyzmem, mordować się wzajemnie w zajadłych, bratobójczych walkach, nurzać się we krwi i zezwierzęceniu, poświęcać tysiące ofiar na stosach i pod mieczem katowskim na to, aby nam potém, w konieczném jakoby następstwie dobrze było, abyśmy byli szczęśliwymi i wolnymi. Autorowie nasi, wnioski swe wyprowadzając na podstawie analogii uważają, że Polska nie powinna była inaczéj rozwijać swych dziejów, jak tylko trzymając się we wszystkiém wzoru innych państw zachodnio-europejskich. Jednakowoż rzeczą jest pewną, że Polska inny sobie ideał polityczny w chwilach największéj swojéj żywotności postawiła, a nie jest bynajmniéj udowodnioném, by ideału tego, przy usunięciu dających się uniknąć błędów, w żaden sposób urzeczywistnić nie można było. Zresztą, gdyby było rzeczą możebną znaleść wspólną miarę i obliczyć oraz zsumować ściśle wszystkie cierpienia, klęski, katastrofy, a nawet upokorzenia, ohydy i zdrady jakie stały się udziałem wszystkich po szczególe narodów europejskich w ciągu czterech ostatnich wieków, któż wié czyby los Polaków znacznie ujemniéj aniżeli losy innych narodów oceniać należało? A wreszcie pochód historyi jeszcze się nie skończył.... W każdym razie, pomimo talentu p. Bobrzyńskiego i całéj siły przekonania z kart jego książki prze-

mawiającego, nie zdoła on tego sprawić, abyśmy mieli zazdrościć innym narodom Henryka VIII, Filipa II, Ferdynanda II, a choćby Iwana Groźnego, wstydzić się zaś Zygmunta Augusta.

Najcięższym zarzutem, jaki ostatniemu z Jagiellonów i współczesnym jemu politykom polskim stawić należy, jest ten, że nie dołożyli wszelkich usiłowań, aby dość wcześnie, za życia bezdzietnego króla, naznaczono i obrano następcę na zjednoczony tron Polski i Litwy. Wygaśnięcie dynastyi jagiellońskiéj postawiło tym sposobem Polskę w położeniu pełném grozy. Elekcya, na którą się zanosiło, była czemś nowém, nieznaném zadaniem, do którego się naród wcześnie przygotować nie umiał, którego warunków nie obmyślał był w porę—była to sprawa zupełnie odmienna od dotychczasowych elekcyj, przez dwa wieki w jednéj rodzinie królewskiéj ograniczonych. Społeczeństwo miało puścić nawę swych losów na tajemnicze, pełne groźnych zagadek morze, bez steru i bussoli. Najbliższym niebezpieczeństwom z bezkrólewia wynikającym zaradził naród natychmiast z energią i jasném pojęciem położenia. Groźnych na przyszłość zawikłań, narażających dalsze losy państwa nie zrozumiano równie dobrze, o postawieniu im skutecznéj tamy przez ograniczenie kandydatur do tronu nie pomyślano na seryo. Szlachta, okazując i tu jeszcze niezupełnie wygasły zmysł polityczny, nosiła się czas jakiś z projektem obrania Polaka i wykluczenia raz na zawsze cudzoziemców od elekcyi, ale myśl tę, słabo popartą, odrzucono, ośmieszono nawet. Przemogła zasada wprost przeciwna. Niestety! rozpisano niejako na jéj podstawie konkurs na polską koronę; zgłaszanie się i ubieganie o nią kandydatów z najrozmaitszych stron świata chrześciańskiego łechtało dumę narodową, pochlebiało próżności. Wskutek tego z jednéj strony otworzono na roścież wrota intrygom, konszachtom zagranicznym, zmowom z obcymi, przekupstwu, oraz mięszaniu się obcych rządów do spraw wewnętrznych Polski, słowem tym wszystkim zdrożnościom, któremi zapisane są odtąd karty naszych dziejów; z drugiéj strony narażono się na bardzo prawdopodobną ewentualność, że król cudzoziemiec zechce użyć Polskę za narzędzie dla interesów i polityki swego rodzinnego kraju, albo téż, nie znając i nie chcąc poznać ducha narodu, gardząc jego instytucyami i obyczajami, stanie się dla niego zawadą, prawie wrogiem i zużyje najlepsze jego siły na szkodliwe wewnętrzne wstrząśnienia, na bezowocne i niechwalebne szamotania się i starcia między władzą królewską a reprezentantami narodu. W położeniu, w jakiém się Polska znajdowała przy instytucyach jakie się z czasem w niéj były wyrobiły, możebnym a raczéj pożytecznym był tylko wybór, czy to obywatela polskiego, Piasta, czy téż księcia panującego w jedném z dru-

gorzędnych państewek, sąsiadujących z Polską. Taki elekt umiałby cenić otrzymaną walnemi głosami narodu koronę, przejąłby się szczerze obowiązkami na siebie przyjętemi, żyłby duchem narodu lub łatwoby się z nim zespolił.

Dopuszczenie wszecheuropejskich kandydatur prowadziło za sobą jeszcze jedno nieuchronne złe: *pacta conventa* i związane z niemi tak zwane artykuły henrycyańskie. Autorowie nasi mocno na nie powstają; zwłaszcza na warunek *de non praestanda obedientia*. A jednak artykuł o wypowiedzeniu posłuszeństwa był dla Rzplitéj konieczną rękojmią w obec króla cudzoziemca. Dowiodły tego fakta. Zastosowanie owego artykułu do pierwszego elekta, przez szybkie i bezwzględne usunięcie go od tronu, uratowało kraj od fatalnych następstw nieszczęsnego i niedorzecznego wyboru. Niezastosowanie zaś onego do takich królów jak Zygmunt III i August II, pozostawienie ich na tronie mimo niezbitych dowodów, że zdradzali sprawę kraju, który im panowanie nad sobą powierzył, najopłakańsze i niedające się naprawić skutki za sobą pociągnęło. Wszak p. Bobrzyński nawet wyraźnie (T. II, str. 158) Zamoyskiemu wymawia, że Zygmunta III nie strącił z tronu i sam po koronę nie sięgnął. Artykuł ten, sam w sobie był, przyznajemy to wszakże, niemałem złem, mającém służyć za lekarstwo przeciwko większemu złemu, lekarstwo, jak się późniéj pokazało, bardzo niedostateczne. Gorszemi daleko były przecież inne punkta w pactach conventach zamieszczane, a mianowicie obowiązek wkładany na elektów, aby z własnych swych pozakrajowych funduszów utrzymywali w Polsce cudzoziemskie wojska. Nie podobna zbyt surowo potępić tego, z wystawieniem korony polskiéj na licytacyą związanego, chorobliwego objawu: wyparcia się najświętszych obowiązków patryotycznych i braku godności narodowéj, objawu, który po raz pierwszy wystąpił przy elekcyi Henryka, a zapowiadał zgubne skrzywienie kierunku w umysłach szlachty, u któréj chęć użycia przeważając coraz bardziéj nad niezbędnym w krajach z republikańskiemi instytucyami duchem poświęcenia, państwo i społeczeństwo do upadku wieść musiała.

W kwestyi o sposób elekcyi *viritim* niezupełnie się też zgadzamy z naszymi historykami. Należałoby mniemać, że wybór króla przez głosowanie powszechne szlachty wzmacniał władzę królewską, nadawał jéj szerszą podstawę, lepiéj ubezpieczał powagę wyniesionego na tron licznemi tysiącami ramion monarchy, aniżeli elekcya przez sejm, podająca króla prawie natychmiast w zależność od przewodzących na nim możnowładców i naczelników stronnictw. Utrzymanie się ostateczne owego systemu elekcyi przypisują zgodnie obadwaj autorowie interesowi katolickiemu i usiłowaniom biskupów,

oraz mniemanemu doktrynerstwu Jana Zamoyskiego, gdy dotychczas powszechniéj przypuszczano, iż grała tu główną rolę zręczność tego męża stanu, pragnącego przy pomocy tłumów uboższéj szlachty, mniéj ulegającéj wpływom możnowładztwa i o wolność szczególnie troskliwéj, stawić skuteczną zaporę kandydaturze habsburskiéj, w któréj słusznie upatrywał, niechybne i przykładami ościennemi stwierdzone, niepodległości Polski zagrożenie.

VI.

Elekcya Stefana Batorego była niewątpliwém zwycięztwem szlachty, jéj dawnych i nowych przywódców, Siennickiego i Zamoyskiego, nad niedorzeczną polityką możnowładców, którzy, w zaślepieniu swém i dumie, skłonni uznać za pana jedynie członka prześwietnéj rodziny Habsburgów, a wreszcie już tylko samego cesarza świętego Imperyum rzymskiego, uparcie do anti-narodowych celów zdążali (1). Tym razem stronnictwo szlacheckie długo i wytrwale obstawało przy kandydaturze Piasta, w końcu, dla braku odpowiedniego kandydata, szybko, zgodnie i stanowczo, krasząc postanowienie dynastycznemi wspomnieniami, oddała koronę Annie Jagiellonce, przeznaczając jéj za męża wojewodę siedmiogrodzkiego i wybór przez siebie dokonany energicznie podtrzymało. Szczęśliwy traf zdarzył, że w nowym królu znaleziono najniezbędniejsze u monarchy, a dla położenia w jakiém się Polska znajdowała, najszacowniejsze przymioty. Zwycięztwo to, w tak ważnéj chwili odniesione, a dzielnością nowego panującego spotęgowane, mogło stać się punktem wyjścia dla zdrowéj i rozumnéj akcyi politycznéj, dla podźwignięcia Polski i zdobycia dla niéj najkorzystniejszych warunków tak na zewnątrz jak i na wewnątrz. P. Bobrzyński sądzi, że położenie i okoliczności były gorszémi niż za czasów ostatnich dwóch Jagiellonów. Złe były instytucye, powiada, gorszymi ludzie. Nie możemy w zupełności podzielić tego zapatrywania. Pomimo paktów konwentów i artykułów henrycyańskich, potrafił Batory być i czuć się prawdziwym królem, mógł publicznie nie spotykając kontradykcyi, powiedzieć: „że chce być królem prawdziwym, nie malowanym."

Warunki do odrodzenia kraju zdarzały się jak najlepsze; polegały one zaś na zwróceniu całéj uwagi narodu i dążeń jego z pola

(1) P. Szujski (str. 210 i 211) zdaje się stawać w obronie możnowładztwa i kandydatury cesarza Maksymiliana, a popierających Batorego nazywa ludźmi nie przebierającymi w środkach, „jak Jan Zamojski i Stanisław Karnkowski, z których pierwszy w *interesie własnym*" jakoby wyzyskiwał opinią popularną (!).

wewnętrznéj polityki ku czynnemu na zewnątrz działaniu. Doświadczenie wskazało, że polityka wewnętrzna wyjść nie mogła z błędnego koła; wszelkie usiłowania reformy, najzbawienniejsze zamiary obracały się zawsze w końcu tylko ku pomnożeniu korzyści ekonomicznych panującéj klasy z krzywdą ogółu i szkodą państwa. Raz stanąwszy na téj niebezpiecznéj pochyłości nie zdołano się w żaden sposób cofnąć, bo brakło ku temu punktu oparcia przy normalnych okolicznościach. Należało gwałtem niejako wyrwać społeczeństwo z tego błędnego koła przez wskazanie mu wielkiego, trudnego a koniecznego do osiągnięcia celu, przez wdrożenie go do ciężkich wysileń i poświęceń. Od czasu niefortunnéj wyprawy Jana Olbrachta, zagraniczna polityka polska przez lat kilkadziesiąt stroniła od wszelkiego czynnego wystąpienia, poprzestawała na odpieraniu napaści lub połowiczném załataniu rozmaitych spraw zbliska ją dotykających. Dopiero Zygmunt August, przez przyjęcie Inflant pod swoje panowanie, otrzymał na nowo pole do akcyi na zewnątrz. Po długim pokoju zebrały się były zasoby sił, nieustanne wojny, które Europę trapiły materyalnie nie dotknęły Polski, a hartu ducha, jak się wkrótce pokazało, nie brakło jéj synom; potrzebnym był tylko król wojownik, któryby siły te należycie zorganizować i zużytkować potrafił, a takiego znalazła właśnie w Stefanie Batorym. Co więcéj energiczny i światły król napotkał szczęśliwie godnego siebie pomocnika, męża w którym się rzadkim przykładem łączyły różnorodne a najcenniejsze dla wielkiego ministra przymioty. Zamoyski, znakomity wódz, polityk biegły i wytrawny, mówca zręczny, umysłami zawładnąć umiejący, nieskazitelny wreszcie patryota, zespolił się w duchu i zamiarach z królem, popierał go wszelkiemi siłami i zyskał jego najzupełniejsze zaufanie. Ci dwaj ludzie z sobą zjednoczeni, najtrudniejszych rzeczy, zdawało się, dokazać zdołają: rozwiązanie najżywotniejszych dla Polski zadań zewnętrznych, uporządkowanie na wewnątrz i stworzenie niezbędnych warunków dobrego rządu musiało być rezultatem ich rozumnéj pracy, ich stanowczego i energicznego działania.

Wojna inflancka, szczęśliwie poprowadzona, była świetnym zadatkiem, upoważniającym do najpiękniejszych nadziei, służyć mogła zarazem na wypróbowanie nowych po części środków i sposobów, któremiby następnie najważniejsze cele wojenne i polityczne osiągnąć było można. Zaniechanie pospolitego ruszenia, zebranie licznego wojska zaciężnego, opłacanego ze źródeł podatkowych, formowanie pułków złożonych z chłopów i liczne nadania szlachectwa tym ostatnim za odznaczenie się na wojnie, wszystko to naprowadzało politykę polską na nowe tory. Ale wojna ta mogła być tylko przy-

grywką niejako do wielkiego dzieła. Pokój za pośrednictwem Possewina, jakkolwiek niezbyt chętnie przez Batorego zawarty, jakkolwiek nieodpowiedni może poczynionym wysileniom, był w gruncie rzeczy pomyślnym wypadkiem, rozwiązującym Polakom ręce do innego, stokroć ważniejszego zadania. Posiadanie Inflant było dla nas ważném, ze względu na bezpieczeństwo Litwy, na opanowanie większéj przestrzeni brzegów Baltyckiego morza. Dalsze zaś rozszerzenie terytoryum państwa ku północno-wschodniéj stronie nie było bynajmniéj pożądaném. Wszystkie usiłowania winniśmy byli natomiast zwrócić ku południo-wschodowi, ku zawładnięciu ujściami Dniestru i Dniepru i dosięgnięciu morza Czarnego: najważniejsze powody strategiczne, handlowe i polityczne domagaly się tego nieodbicie. Polska pozbawiona była z téj strony wszelkiéj naturalnéj granicy: nie mogły nią być tak zwane dzikie pola, po których przebiegały koczownicze hordy tatarskie i zkąd, nienapotykając skutecznego oporu na żadnym punkcie, rozpuszczały łupieżne swe zagony po najbogatszych prowincyach Rzeczypospolitéj. Południowo-wschodnia strefa państwa, szczodrze od przyrody uposażona, dotknięta była tym sposobem niejako chroniczną chorobą, przedstawiała się jakby nieustannie krwawiąca rana na ciele Rzplitéj. Powtarzające się ciągle *razzie* dziczy tatarskiéj, uprowadzające w jassyr ludzi i dobytek, znaczące się spustoszeniem i pożogą, niweczyły bezustannie owoce pracy cywilizacyjnéj, pochłaniały nieobliczone zasoby, na marne obracały skutki niezmordowanych i płodnych wysileń, wyczerpywały zatém w sposób zgubny znaczną część ekonomicznych i duchowych sił narodu. Jeżeli, pomimo to, prowincye ukrainne nieprzestawały być źródłem znacznych bogactw dla kraju i pojedynczych jego obywateli, w jakimże zwiększonym ogromnie stosunku byłyby one przyczyniały się do ogólnéj zamożności przy utrwaloném bezpieczeństwie, a ułatwionych przez posiadanie brzegów morza Czarnego handlowych stosunkach ze Wschodem! Z innéj znowu strony, ludność tych prowincyj, nie doznając dostatecznéj opieki i obrony od rządu swego, zmuszona zbyt często polegać na własnych siłach dla odparcia napaści, przyzwyczajała się do pewnéj odrębności i częściowéj niezawisłości, nie mogła czuć się zupełnie polską, z czego fatalne dla całości kraju groziły następstwa.

Niewątpliwie rozumiał to wszystko Batory i układał w tym celu plany wielkiéj akcyi na Wschodzie. Sprawa była zapewne ciężką, wymagała rozległych przygotowań i różnorodnych zabiegów, ale dla ówczesnéj potęgi Polski i jéj zasobów, wspartych zręcznie pozyskanemi przymierzami, nie była do przeprowadzenia niepodobną, choćby nie miala być dziełem jednego nawet pokolenia. Potęga muzuł-

mańska groziła naówczas całéj Europie, była jeszcze w swéj fazie zaborczéj, to prawda; lecz miecz polski rzucony na szalę zapasów, jednomyślne i wytrwałe wysilenia narodu o nietkniętych prawie zasobach, byłyby niemało zaważyły na ogólném położeniu. Jeżeli Polska, będąc jeszcze nieporównanie słabszą i mniéj zasobną, mogła sama jedna zwalczyć lepiéj od niéj uorganizowaną, popartą przez całą zachodnią Europę i powagą Stolicy apostolskiéj osłonioną potęgę krzyżacką, to byłaby niezawodnie zdolną, w sojuszu z większą częścią mocarstw chrześciańskich, porwać się z powodzeniem na azyatyckie hordy półksiężyca, tém bardziéj, że znajdowała się w tém położeniu korzystném, iż nie potrzebowała uderzać z frontu na przemoc turecką, lecz wciskając się coraz daléj klinem pomiędzy dwa muzułmańskie mocarstwa, zajmowała odrazu wyborne stanowisko strategiczne względem obu, odgradzając się od nich z każdéj strony korytami znacznych rzek, Dniestru i Dniepru aż po ich ujścia w morze.

Spełnianie tak ważnego i trudnego zadania, postawienie go sobie za cel niezmordowanych zabiegów, pojęcie téj misyi historycznéj i narodowéj byłoby bezwątpienia oddziałało zbawiennie na stosunki wewnętrzne. Długo trwała wojna a następnie obrona zdobytego terytoryum nie dałaby usypiać szlachetnym popędom, tłumiłaby egoistyczne zachcianki; co więcej prowadzona na wzór wojny inflantskiéj nie pospolitém ruszeniem, lecz stałém wojskiem, w któremby wszystkie stany społeczeństwa z konieczności były reprezentowane, wywołałaby szlachetne pomiędzy niemi współzawodnictwo, otworzyłaby pole zasługi dla klas dotąd wydziedziczonych, rozbudziła w nich świadomość swego znaczenia i wolę upomnienia się o należną sobie cząstkę praw politycznych i cywilnych.

Powyższe wnioski nasze i rozumowania są oczywiście tylko hipotezą; pozwalamy sobie jednak postawić ją w tém miejscu obok hipotezy p. Bobrzyńskiego o najlepszym środku odrodzenia Polski na podstawie ruchu reformacyi, przy pomocy walk i prześladowań religijnych, — i sądzimy że mniéj prawdopodobieństwa w sobie nie zawiera.

Batory nie miał czasu rozwinąć planów jékie mógł powziąć w téj mierze. Śmierć go zaskoczyła i stała się strasznym dla Polski ciosem. Lecz wszystko nie było jeszcze dla niéj straconém, albowiem pozostawał przy życiu Zamoyski, dzielny współpracownik zmarłego króla, powiernik jego myśli.

P. Bobrzyński z wszelką słusznością podnosi, że Zamoyski znalazł się panem położenia w chwili bezkrólewia po Stefanie. Należało mu skorzystać z bezprzykładnie przyjaznych okoliczności, postawić jasny program polityki zagranicznéj równie jak i wewnętrznéj, a dla

lepszéj rękojmi jego wykonania nie wypuścić z rąk zyskanéj szczęśliwie przewagi, pokierować zatém elekcyą w ten sposób, aby w nowo obranym królu znaleźć chętnego i pewnego pomocnika, albo nawet posłuszne narzędzie dla wytkniętych przez siebie celów. Najwłaściwszym kandydatem był niewątpliwie Andrzéj Batory, synowiec króla Stefana i powinowaty Zamoyskiego. Lecz ktokolwiek zostałby powołanym do tronu za wpływem tego męża stanu, musiałby był koniecznie uledz jego woli, przyjąć program polityczny jasno i stanowczo przez niego nakreślony. Żaden z pomiędzy najsławniejszych ministrów państw nowożytnych, ani Zbigniew Oleśnicki u nas, ani Richelieu, Chatham lub Pitt u obcych, nie posiadał złączonych w jedném ręku tylu żywiołów potęgi, co Zamoyski. Hetman i kanclerz dożywotni, obdarzony w równym stopniu geniuszem wojennym i politycznym, znakomity mówca i taktyk parlamentarny, naczelnik stronnictwa licznego, ruchliwego i pełnego żywotności, wódz szczęśliwy i zasłużony a przez żołnierzy uwielbiany, mógł, gdyby był wystąpił z silną i stanowczą inicyatywą, pchnąć losy Polski na nowe tory, naprowadzić ją na drogę potęgi, pomyślności i porządku. Ale, rzecz godna zastanowienia, Zamoyski na żaden wyraźny program polityki czynu zdobyć się nie zdołał. W polityce wewnętrznéj wprowadzał on na sejmach sprawę uporządkowania elekcyi oraz uchylenia jednomyślności wymaganéj dla uchwał, dwie rzeczy niezmiernéj doniosłości, lecz wniosków swoich widocznie z całą usilnością nie popierał, skoro im upadać dozwalał. W sprawach zewnętrznych, myślą kierowniczą jego było niedowierzanie Austryi, odpieranie jéj wpływu i mieszania się do spraw polskich; w innych kierunkach nie szczędził osoby swéj i mienia gdy chodziło o obronę ojczyzny i gromienie jéj nieprzyjaciół, ale wskazać polityce polskiéj naczelne jéj zadanie, skupić wszystkie siły kraju ku przeprowadzeniu najpoważniejszego współcześnie, a zarazem o przyszłości rozstrzygającego interesu, tego nigdy nie próbował, z nadarzających się nawet sposobności jak należało nie korzystał. Wielki mąż, który w rozstrzygającéj chwili mógł owładnąć położeniem, dać Polsce króla, uratować temuż zagrożoną koronę, wypuścił wkrótce niebacznie z rąk wodze, nie stłumił w samym zarodzie zgubnych zachcianek królewskich, pozwolił ludziom, nie mogącym mu dorównać zdolnościami ani patryotyzmem, snuć koło niego sieci, któremi nieraz skutecznie krępowali jego zabiegi i paraliżowali najlepsze dla kraju usiłowania: w końcu na jałowych utyskiwaniach i bezowocnych przeciw królowi zarzutach poprzestał.

Jakiż był powód téj bezsilności Zamoyskiego przy końcu jego zawodu? P. Bobrzyński odpowiada na to, mówiąc że Zamoyskiego „przeceniono,“ że „gleba polska, społeczeństwo rolnicze, widocznie

nie były w stanie wydać człowieka takiéj ambicyi i takiéj siły ducha. jakiéj było potrzeba na samoistne dokonanie dzieła Batorego.“ Cóż tu „gleba polska,“ choćby w znaczeniu figurycznèm, co „społeczeństwo rolnicze“ mogą być winne? Przebija tu wyraźnie czarna nić, którą z wielkim żalem widzimy w całą osnowę dzieła autora naszego wplątaną; a jednak, o parę wierszy daléj, podaje on bliższą prawdy przyczynę, owego objawu, mieniąc Zamojskiego „magnatem, który miłość ojczyzny stawia zawsze wyżéj nad urażoną ambicyą, ale zbyt drogo ceni to, co już posiadł, ażeby wszystko“ rzucić na kartę. Zresztą ocenienie całéj téj kwestyi przez p. Bobrzyńskiego jest dość chwiejném. W jedném miejscu (T. II, str. 158) zarzuca on Zamoyskiemu, że nie strącił z tronu Zygmunta, co było lepszém aniżeli poniżać władzę królewską na sejmie inkwizycyjnym, a zaraz potém zapytuje: czy Zamoyski niemógł tego uczynić, lub tylko się nie odważył, i dodaje: „któż to zdoła obecnie odgadnąć“ (T. II, str. 168). Nieco daléj zaś oświadcza stanowczo „o strąceniu Zygmunta z tronu w Polsce ówczesnéj nie mogło być mowy, widział to najlepiéj Zamoyski.“ Autor usprawiedliwia przytém opozycyjne wystąpienia kanclerza, mówiąc „że Zamoyski na sejmie inkwizycyjnym tylko w ostateczności chwycił się szkodliwego: ale jedynego środka ratunku, że anarchistą nie był, że... w ślady Zbigniewa Oleśnickiego lub Jana Tarnowskiego nie wstąpił.“

P. Szujski surowiéj sądzi Zamoyskiego: mieni go spadkobiercą przywódców sejmowych z czasów Zygmunta Augusta, podnosi wyższe jego zdolności i talenta, ale znajduje, że poprzedników swych „nie dorósł bezinteresownością i stałością zasad i dążeń,“ i składa na niego odpowiedzialność za późniejszy rokosz.

Rzeczywiście należałoby powiedzieć, iż Zamoyski, *homo novus*, przywódca stronnictwa szlacheckiego, przedzierżgnął się był następnie w możnowładcę, a téj zmianie towarzyszyć musiał u niego pewien proces wewnętrzny, stawiający różne drobne i osobiste sprawy na pierwszym planie jego uwagi, te zaś odwracały w części jego umysł i krępowały wolę w rzeczach pierwszorzędnéj ważności. Zamoyski w pełniejszéj mierze od Zygmunta Augusta trzymał w swém ręku losy Polski; gdy ten ostatni atoli, tak ciężką przez p. Bobrzyńskiego odpowiedzialnością historyczną obarczony, przekazał po sobie w spuściźnie unią Litwy z Polską, Zamoyski zostawił nam tylko ordynacyą swego imienia.

Osobistość Zygmunta III-go i jego polityka są już dostatecznie w dziejach wyświetlone. P. Szujski przyznaje, że razem z nim i najbliższymi jego doradcami, Jezuitami, zjawiała się „monarchia katolicka, w postaci dla interesów polskich groźnéj.“ P. Bobrzyński, ze

znakomitą biegłością w uchwyceniu i przedstawieniu rzeczy, kreśli nam ówczesne położenie Europy, rolę jaka w obec niego przypadała Polsce, oraz osobiste, upornie przeprowadzane dążności Zygmunta, zaślepionego w swym katolickim ferworze, głuchego na potrzeby i korzyści narodu, który go w nieszczęsnéj godzinie królem swym obrał. Przez pół wieku blisko związanym się znalazł naród z królem, na jego los obojętnym, dobra jego nie szukającym, owszem takowe zawsze poświęcić gotowym; a stało się to możebném, ponieważ Zygmunt i Jezuici mieli jasno wytkniętą politykę, naród zaś stałego programu postawić sobie nie zdołał. Wielcy i czystym patryotyzmem tchnący ludzie, w jakich to panowanie obfitowało, zużywali się jeden po drugim bezowocnie prawie; sławy krajowi przysparzali, lecz do rozwoju i wzrostu potęgi jego w niczém się przyczynić nie byli w stanie. Siły i zasoby Polski wyczerpywały się bez pożytku w wojnach szwedzkich i moskiewskich, w widokach osobistéj króla polityki prowadzonych, a w południowych jéj prowincyach życie i mienie ludności zawsze jeszcze pozbawione było bezpieczeństwa i sama ta ludność coraz częściéj burzyła się i groźną względem państwa przybierała postawę.

Raz jeden, po dwudziestu już latach rządów Zygmunta próbowała szlachta zdobyć się na energiczniejszy przeciw królewskiéj polityce protest i odpór, właściwie jednak ani inicyatywy w tym ruchu powziąść, ani mającego się osiągnąć celu postawić nie umiała. Ogólne i usprawiedliwione niezadowolenie wyzyskała pewna frakcya możnowładztwa, mająca na czele Zebrzydowskiego, wojewodę krakowskiego, dla zadosyć uczynienia osobistym zawiściom i burzliwym zachciankom. P. Szujski powiada, że „rozpoczynano ruch dla ruchu;“ mniema zaś, że w dalszém rozwinięciu rokoszu dążono do detronizacyi Zygmunta i obrania królem Dymitra, świeżo osadzonego na tronie moskiewskim przy pomocy panów polskich, a rozchwianie się całego przedsiewzięcia przypisuje „brakowi celu, który z śmiercią Dymitra nastąpił.“ P. Bobrzyński przeczy, i zdaje się słusznie, aby rokoszanie tak rozległe mieli zamysły, w istocie całe to poruszenie było tylko zwiększoną, że tak powiemy, edycyą wojny Kokoszéj, manifestacyą, któréj podobne nieraz się jeszcze w obce niedołężnych, lub niemiłych narodowi i w sprzeczności z jego prawdziwemi interesami postępujących, królów powtarzały, w któréj jednak, zamiast jasnych pojęć i stanowczych środków zaradzenia złemu, występowały na jaw jedynie mętne dążności i objawił się brak zdrowego zmysłu politycznego; a nadto dostarczonym został dowód, że szlachta coraz bardziéj samodzielność utracała i bezwiednie stawała się narzędziem w ręku możnowładców, wywieszających popularne hasła, aby przy

pomocy uwiedzionych niemi tłumów zupełnie odmienne przeprowadzać zamysły. Możemy więc przywtórzyć zdaniu p. Szujskiego, gdy przy téj sposobności wskazuje „jak głęboko upadł duch polityczny stanu rycerskiego“ i wydając sąd o skutkach rokoszu, mówi że w nich szlachta wystawiła sobie „polityczne świadectwo ubóstwa.“

Obaj historycy upatrują w rokoszu Zebrzydowskiego ważny zwrot dla dziejów Polski; z jego zakończeniem i bezpośredniemi następstwami, mianowicie uchwałami sejmu porokoszowego z r. 1609, wiążą oni szerokie rozpamiętywania nad stosunkami politycznemi i społecznemi jakie się od téj pory w Polsce ustaliły, nad skutkami jakie całe dotychczasowe ustawodawstwo na ukształtowanie, odmiennego od wszelkich europejskich wzorów, ustroju państwa polskiego wywrzéć musiało. Niezmiernie ciekawe, odznaczające się w wielu miejscach dosadną charakterystyką i rzetelną wymową uwagi ich i opisy zasługiwałyby na obszerniejsze streszczenie: musimy jednak poprzestać na zdaniu z nich sprawy w najogólniejszych wyrazach.

P. Szujski, rzuciwszy okiem wstecz na ubiegły od śmierci Zygmunta Augusta 27-letni okres czasu, krytykuje raz jeszcze prawa i urządzenia w téj porze zaprowadzone; tryb elekcyi, artykuły Henrycyańskie, pacta conventa i niedorzeczne, szkodliwe pojęcia szerzące zobowiązania, jakie temi ostatniemi na królów nakładano. Śledząc zgubne na przyszłość skutki owych ustaw, ubolewa on nad „ruiną stanu mieszczańskiego, spowodowaną ustawodawstwem 1565 roku,“ która „dokonywala się szybko wśród aplauzu szlachty.“ Sama szlachta, według niego „obraca się w dwóch ostatecznościach: utracyuszostwa i skrzętnego dorobkowiczowstwa.“ W końcu kreśli autor w silnych wyrazach „przyczyny nieuchronnego staczania się ku przepaści,“ i te upatruje przedewszystkiém w „najniepraktyczniejszéj formie bytu politycznego,“ twierdząc, że „forma ta odcięła społeczeństwo od reszty świata, pokłóciła z szkołą wiekową i wyobrażeniami zachodniéj Europy“ stała się dla Polaków źródłem „młodocianéj zarozumiałości i lekceważenia innych mądrzejszych i starszych narodów.... Tu główna przyczyna zacofania i odpychanie cywilizacyi.... W prostéj konsekwencyi z tą młodą zarozumiałością“ (konsekwencyi téj dobrze nie pojmujemy) „poszło — mówi daléj autor — uleganie zachodowi bezwiedne: na polu ekonomicznem.... zbytku i mody, na politycznem, przez oddawanie się w służbę obcéj polityce, na religijnem, przez bierne uleganie hierarchii kościoła katolickiego....“ Znacznie już posunięta cywilizacya Polski miała się nadto cofnąć wskutek kolonizacyi wschodnich części państwa, przez „zamalgamowanie się z dzikszymi żywiołami ruskiémi i litewskiémi.“ Pomijamy ciekawy obraz szlachcica polskiego i rozmaitych postaci

jakie, z ogółowego typu onego z XVI wieku, wyradzają się w początku XVII, wyliczenie zalet i liczniejszych od nich przywar i wad tego stanu, które prowadzi do ostatecznego wniosku, że „tworzące się dopiero nowe społeczeństwo.... politycznie było tylko kupą nieświadomych zadania swego, wyobrażenia o warunkach państwa niemających, jednostek.“ Zwracając nareszcie uwagę na zadanie zewnętrzne, sądzi autor, że wielkim przedsięwzięciom w tym kierunku stanęły na opak: potrzeba uprzedniego zaludnienia państwa oraz zbytnie zamiłowanie wolności.

P. Bobrzyński powstaje również na formę rządu jaka się w owéj epoce wytworzyła i przez dwa wieki niezmiennie przetrwała, dowodzi, nie bez słuszności, że teorya największéj wolności i równości obywatelskiéj, która jéj za podstawę służyć miała, pozostała nieurzeczywistnionym ideałem, któremu faktyczny stan rzeczy wielokrotnie kłam zadawał, wykazuje że niewola naprawdę nietylko uciskała miasta a nadewszystko lud wiejski, lecz dawała się we znaki i szlachcie, że równość szlachecka, szumnie wygłaszana, była w praktycznem znaczeniu mrzonką tylko, robi wreszcie, w związku z tém, znaczącą bardzo uwagę, że „szlachta polska w XVII wieku traci wpływ rzeczywisty na sprawy publiczne, przestaje być samoistnym politycznym czynnikiem; wszystkiém odtąd w Polsce jest oligarchia.“ W jedném miejscu zaś autorowi, nie będącemu w ogólności zwolennikiem ideałów, wychodzi z pod pióra to niezmiernie trafne w swém lakonizmie zdanie: „Nie ideały gubiły nas, lecz prywata:‘ bliżéj się jednak nad niém nie rozwodzi.

My ze swéj strony dodać winniśmy uwagę, że autorowie nasi zbyt wiele złego kładą na karb saméj formy rządu, w ścisłém znaczeniu wziętéj. I tak: niedające się zaprzeczyć cofanie w cywilizacyi poczynające u nas z wiekiem XVII, przypisać tu należy z jednéj strony zwycięztwu ostatecznemu reakcyi katolickiéj przeciwko różnowierstwu i związanemu z nią upadkowi szkół, stwierdzonemu przez p. Bobrzyńskiego w opracowanych wybornie ustępach, o oświacie i szkołach traktujących, z drugiéj strony przyczynił się do tego niezmiernie upadek miast, będących wszędzie i po wszystkie czasy ogniskiem cywilizacyi. Odgrodzenie się od Europy było również skutkiem, nie formy rządu, lecz tegoż samego skrzętnego gorliwego, gorączkowego niemal powrotu do katolicyzmu; skoro bowiem różnowierstwo napłynęło do nas z zagranicy, teraz, wskutek reakcyi, starannie unikano, obawiano się stosunków z nią, wstrzymywano się mianowicie od posyłania młodzieży na naukę do obcych krajów. Zarozumiałość narodowa, mniéj szkodliwa zresztą, mogła wynikać z tego zamknięcia się w sobie kraju i przeceniania posiadanych swo-

bód; lecz uleganie obcym pochodziło niezawodnie z niewyraźnego choćby poczucia obniżającego się u nas poziomu cywilizacyjnego. Musimy jeszcze zaprzeczyć, aby na ten ostatni objaw wpłynąć mogło zadanie asymilacyi Litwy i Rusi, doświadczenie bowiem dawno stwierdziło, że oświata i wykształcenie to mają wspólnego ze światłem, iż przez udzielanie w niczém się nie umniejszają, że praca płodna w społeczeństwie żywotnością obdarzoném wyrabia i wzmaga siły, drzemiące i utajone do działania powołuje, dzielniejsze krążenie odżywczych jego soków sprowadza. Przystępując bliżéj do ustroju politycznego i działających nań prądów, zaznaczyć musimy, że p. Bobrzyński nie objaśnia dostatecznie jakim sposobem i dla czego, stojąca niedawno na czele ruchu politycznego i pełna żywotności szlachta, teraz utraca wpływ wszelki, a przeciwnie przeżyta jakoby i zbutwiała już w końcu XV wieku oligarchia w XVII staje się „wszystkiem“ w państwie. Objaśnienie jednak bardzo jest łatwem. Możnowładztwo zasilało się ciągle przechodzącemi do jego sfery wybitniejszemi jednostkami ze szlachty, które nietylko osobistą zasługą, lecz także, i to częściéj, *z soli i z roli* wyrastały. Szlachta owszem, tracąc powyższym sposobem nieustannie najenergiczniejsze swe żywioły, nie mogła się z innéj strony pokrzepić przybytkiem nowych sił, skoro, przejęta czcią mistyczną dla rycerskiego klejnotu, odgradzała się coraz bardziéj od innych klas narodu i nabycie szlachectwa prawem nawet utrudnić się starano (konstytucya z r. 1601). Był jeszcze inny, mniéj widoczny powód faktu, nad którym się zastanawiamy. Szukać go należy w instytucyi, którą ustrój Polski więcéj niż czemkolwiek innem odróżniał się od przyjętych na całym świecie, zwłaszcza w czasach nowożytnych, urządzeń, instytucyi, według naszego zdania, ze wszystkich najszkodliwszéj. Chcemy to mówić o starostwach, których ostateczne urządzenie i przeznaczenie, jako *panis bene merentium*, konstytucyą w początkach panowania Zygmunta III uchwaloną, uregulowaném zostało. Bliższe rozpatrzenie się w dziejach przekonywa, że pod piękném mianem i złudnemi pozorami służyła ta instytucya przeważnie do podtrzymania możnowładztwa na téj wyżynie, na którą się czy to zasługami, czy różnemi zabiegami w przeszłości wzniosło było. W innych krajach spełniały to zadanie majoraty; gdy tych w Polsce nie było, znalazły dawne, szczególniéj zaś nowsze pańskie rody, uboczny, pod pokrywką nagród patryotycznych, środek, nietylko zachowania możnowladczéj świetności, ale często i pomnożenia fortuny, szczególniéj gdy rozległe w ukraińskich województwach terytoryalne nadania do tego się przyłączyły. Należało jednakże zapobiedz opozycyi szlachty przeciwko takiemu jednostronnie korzystnemu układowi, należało go czemś okupić. Oddawanie niektó-

rych mniejszéj wartości królewszczyzn wybitniejszym pośród niéj osobistościom widocznie nie wystarczało. Ale magnaci ciągnąc znaczne ze starostw zyski, mniéj ściśle potrzebowali się liczyć z dochodami własnych dóbr dziedzicznych, wypuszczali więc pojedyncze folwarki okolicznéj szlachcie w tanią dzierżawę, a częściéj oddawali je w zastaw na bardzo korzystnych warunkach, utrzymywali liczne zastępy uboższéj „braci“ na różnych posługach wojskowych i dworskich, lub jako przybocznych rezydentów, opiekowali się synami swych szlacheckich klientów; tym sposobem popadła szlachta w zależność od możnowładztwa, i wszelką prawie samodzielność utracić musiała. Materyalnie działo się wszystkim dobrze. Na szlachcica pracował chłop, prócz tego stała dla niego otworem „łaska pańska“; pan miał nietrudny przystęp do „skarbnicy łask królewskich“; wygodne życie, dobrobyt, pomnożenie majątku zależały daleko więcéj od zręczności, usłużności, intrygi, protekcyi niżeli od ciężkiéj pracy i prawdziwéj zasługi. Cały ten społeczny porządek rzeczy zaciężył daleko fatalniéj na losach Polski niż wszelkie przywary jéj formy rządu, niż sejmiki, sejmy a nawet elekcye *viritim*, pacta conventa i liberum veto. Nie przeczymy, że polityczne ustawy Rzplitéj mieściły w sobie wielkie, kardynalne wady; ależ podobno żadna na świecie konstytucya, żadna forma rządu nie była i nie jest od takowych wolną, w różnym prawda stopniu; jest to rzeczą ludzką jak nią jest również i możność poprawy, a należy powiedzieć, że nigdzie nie przedstawiała się formalnie taka łatwość poprawienia formy rządu jak w Polsce, nigdzie nie było ono tak zupełnie w rękach narodu. Potrzebę téj poprawy rozumiano we wszystkich epokach, słowem i pismem o niéj wymownie rozprawiano, podawano najlepsze rady i popierano je najbardziéj przekonywającemi dowodami. Dla czegoż więc do téj naprawy bijących w oczy wad, przywar i zdrożności nie przyszło? To jest kardynalne, i pozwolimy sobie powiedzieć, tragiczne zagadnienie dziejów polskich. Historycy rozmaicie na to pytanie odpowiadają; podają różne, z charakteru narodowego i postronnych wypadków czerpane przyczyny. Z wszelkiém zastrzeżeniem śmiemy przedstawić nasze mniemanie, że głównym powodem złego było wyżéj opisane przez nas urządzenie społeczne. Cechą jego była nieustanna ruchliwość, zmienność, dowolność, a nadto splątanie doniosłych interesów prywatnych z prądami politycznemi. W miarę śmierci użytkowników otwierały się ciągle wakanse, lub bywały przewidywane; przypuszczano też ciągłe szturmy do „skarbnicy łask“ za pomocą prośby, groźby itp., sprawy te zaprzątały gorączkowo umysły i zalegały całe pole bieżącéj polityki, spychając inne, ogólniejszego znaczenia, na dalszy plan. Co więcéj, nie bezzasadnie przeczuwano,

choćby niezupełnie świadomie, że istniejący ustrój polityczny najlepszą stanowił rękojmię niewzruszonego trwania owego nader wygodnego społeczno-ekonomicznego układu. Nie można było wątpić w istocie, że w razie wzmocnienia władzy monarszéj, król, prędzéj lub późniéj, starać się będzie o podniesienie miast, weźmie w opiekę lud wiejski, szczególniéj zaś pomyśli o zatrzymaniu w swych rękach środków do rządzenia potrzebnych, o lepszém zużytkowaniu zasobów ogromnych, jakie królewszczyzny przedstawiały, zwłaszcza gdy nie będzie potrzebował „łaskami“ jednać sobie na wszystkie strony popleczników. Powtórzymy więc raz jeszcze za p. Bobrzyńskim: „Nie ideały nas gubiły lecz prywata“, dodając w objaśnieniu, że nie fanatyczne zamiłowanie w instytucyach, nie zaślepienie na ich wady, nie to, że społeczeństwo nasze było jakoby „kupą nieświadomych, wyobrażenia o warunkach państwa nie mających, jednostek“ stało się główną przyczyną niezmiennego przez dwa wieki trwania zgubnéj formy rządu, lecz było nią najopaczniejsze związanie interesów prywatnych z polityką, uprawnione wyzyskiwanie zasobów publicznych przez klasę rządzącą,

Wielcy mężowie, ze szkoły Zamoyskiego wyszli, Żółkiewski, Chodkiewicz i inni, służąc ojczyźnie przedewszystkiém na polu wojennném, nie zwracali swych usiłowań w kierunku poprawy wewnętrznych stosunków politycznych. Pierwszy dopiéro podjął tę sprawę mąż stanu w cywilnym wykształcony zawodzie, śmiały w pomysłach kanclerz Władysława IV, Jerzy Ossoliński, łącząc ją w myśli z wielkiém wystąpieniem orężném ku Wschodowi zwróconém. Gdy zaś już teraz jasném się stawało, że na tego rodzaju zamiary zezwolenia od sejmów otrzymać było niepodobném, umyślił on, dla nadania temu przedsięwzięciu pierwszego impulsu, użyć gotowego na zawołanie, ruchliwego żywiołu, to jest Kozaków. Ztąd wywiązała się najstraszliwsza dla Rzeczypospolitéj burza. Winę jéj składają, to na króla i Osolińskiego, to znowu na sejm z r. 1646, który królewskim zamysłom wojennym zaporę postawił. P. Szujski, wspominając o buncie Chmielnickiego, mówi w jedném miejscu: „Odpowiedzialność za to składaną bywa dzisiaj coraz częściéj na Władysława: w istocie ciążyła na nim wina odwleczenia katastrofy wewnętrznéj do r. 1646 i wycofanie się z niéj w r. 1646.“ Daléj zaś nieco powiada jednak. „Mogło temu (buntowi) przeszkodzić jedno: *zużytkowanie palnego materyału* w wojnach tureckich i tatarskich, *usunięcie przez wygubienie Tatarstwa, niepewnego stanu na Ukrainie;* i z tego patrząc stanowiska, nie był projekt wojny tureckiéj Władysława IV chimerą ambicyi.“ Podobne ostatniemu przypuszczenie stawia także p. Bobrzyński, (1)

---

(1) T. II. 260. Na str. 212 oświadcza przecież autor, że „wojna z Turcyą nie miała żadnego dla Polski rzeczywistego widoku i celu.“

dodając przytém, że tylko „silny rząd“ mógłby był zadanie, o którém mowa, spełnić. Nam się zdaje, że brakowało w tym wypadku nie tyle silnego rządu, ile zdrowego zmysłu politycznego i konsekwentnego przez lat 60 postępowania. Już Batory ułożył był trafny zarys organizacyi kozactwa. W myśli tego króla chodziło o urządzenie kolonij wojskowych, podobnych tym, jakiemi w różnych czasach państwa cywilizacyjne od strony barbarzyństwa osłaniać się zwykły były, począwszy od kolonij rzymskich, aż do tak zwanego pogranicza wojskowego austryackiego między Węgrami a Turcyą do niedawna istniejącego i do rozmaitych osiadłości kozackich w państwie rosyjskiém. Zasadniczym błędem w organizacyi Batorego była obieralność starszyzny a tém więcéj hetmana. Surowa jedynie karność, utrzymywana przez zesłanych od rządu centralnego i w wojskach Rzplitéj wypróbowanych naczelników, mogła, obok sumiennego poszanowania nadanych żołnierzom-kolonistom swobód i przywilejów, zabezpieczyć skuteczność i pożytek całego urządzenia. Drugim warunkiem musiało być doszczętne, zupełne wytępienie Siczy Zaporoskiéj, któréj samo istnienie w tak bliskiém sąsiedztwie naszych kresów, któréj zaraźliwe przykłady udaremniać musiały wszelkie usiłowania rozumnéj tychże kresów organizacyi.

Tymczasem polityka polska w rzeczach Kozaków na stałą normę postępowania, na przyjęcie jednostajnéj zasady zdobyć się nie mogła. Słuszne zniesienie obieralności urzędów łączono z krzywdzeniem Kozaków w ich prawach i swobodach gruntowych; następnie folgowano ich żądaniom mniéj lub więcéj usprawiedliwionym, układano się z nimi, i tak ciągle na przemian: obawiano się ich z jednéj strony a z drugiéj potrzebowano; prywatne interesa możnych i szlachty w téj kwestyi także stawiane były na piérwszym planie. W skutek téj nieoględności i chwiejności stosunki się coraz bardziéj zaostrzały.

VII.

Gdy nareszcie po tylu błędach, i jak się zdaje, w bezpośredniém następstwie układanych przez Władysława i jego kanclerza a w wykonanie niewprowadzonych planów, znalazła się Polska prawie znienacka zalaną przez straszną nawalę kozacko-tatarską, gdy znowu, po jéj częściowém uspokojeniu nastąpił najazd szwedzki, ujawniły się od razu ciężkie niedomagania kraju: bezład i zepsucie nurtujące społeczeństwo od góry, rozstrojenie i bezprzykładna lekkomyślność z oburzającym egoizmem połączona wszędzie. Z tém wszystkiém niebył naród jeszcze wcale pozbawionym żywotności, w głębi

jego tkwiły uśpione liczne i niepospolitą dzielnością odznaczające się żywioły, potrzebujące tylko energicznéj i sprawnéj ręki, któraby je ująć i poprowadzić potrafiła. Jako dowód posłużyły najprzód: bohaterski opór napotkany przez Chmielnickiego w Zbarażu i Lwowie, następnie obrona Częstochowy. Konfederacya tyszowiecka wyzwoliła Polskę od licznych, sprzyciężonych na nią nieprzyjaciół prawie o własnéj sile, bo pomoc zagraniczna na bardzo mało się przydała; najskuteczniejszymi jeszcze i najbezpieczniejszymi sprzymierzeńcami okazali się, *mirabile dictu*! Tatarzy.

Ciężka, przygnębiająca nauka, jaką odebrał naród, winna była do głębi wzruszyć umysły i przekonać o konieczności gruntownéj, wewnętrznéj reformy. W chwilach gdy niebezpieczeństwo niezupełnie było minęło marzono o tém. „Król, mówi p. Szujski, ślubował uroczyście, że ucisk ludu wiejskiego, sprowadzający pomstę bożą, powściągnie. W otoczeniu króla mówiono głośno o myślach reformy.“ Po zawarciu pokoju było rzeczą konieczną, aby odwróciwszy się od wszelkich obcych spraw i stosunków, naród skupił się sam w sobie użył wszystkich swych sił i zasobów do naprawy złego, które jawnie, w całéj swéj nagości, na widownię publiczną wystąpiło było. Najpilniejszą sprawą bez najmniejszéj wątpliwości, było ukrócenie możnowładztwa. Nigdy bardziéj jak za panowania Jana Kazimierza nie zasłużyła ta warstwa narodu na ciężki zarzut zbutwiałości i zepsucia, który jéj p. Bobrzyński, mówiąc o czasach jagiellońskich, w oczy ciska. Za obfity *chleb zasłużonych*, którym ją Rzeczpospolita dobrodusznie karmiła, odpłacała się magnaterya niedołęztwem najhaniebniejszém (hetmani: Mikołaj Potocki i Kalinowski, tudzież trzéj mianowani w ich zastępstwie regimentarze) oraz bezczelną zdradą (Radziejowski, Opaliński, Janusz i Bogusław Radziwiłłowie). Dla przeprowadzenia tego naczelnego zadania potrzeba było oprzéć się na żywiole, który w złéj doli najwytrwalszym się okazał i głównie do uratowania ojczyzny się przyczynił. Ale zdrowsza część szlachty i mieszczaństwo, znalazły były wprawdzie w chwili niebezpieczeństwa orężnych przywódzców w osobach Jeremiasza Wiśniowieckiego, Stefana Czarnieckiego i księdza Kordeckiego; Czarniecki, w szczególności, do końca życia swego nie szczędził krwi i zdolności w obozach i na polach bitew w usługach kraju; gdy jednak zadanie zbawienia ojczyzny wyłożyć się miało na pole polityczne, w sejmikach i sejmach, sprawa znalazła się wyłącznie w ręku króla i..... możnowładców.

Rehabilitacya Jana Kazimierza jest jedném z zadań, według nas najbardziéj niewdzięcznych, nowszéj szkoły historycznéj. Przy ocenie jego panowania zalicza p. Szujski tego króla „do najwybitniej-

szych postaci historycznych ówczesnéj Europy (?!), w Polsce zaś do panujących, co w obec nawału klęsk i trudności, najwięcéj rozwinęli energii.“

Nie tu miejsce na polemikę w tym przedmiocie. Ci co czytali znakomite swoją plastyką, a źródłowo opracowane *Szkice historyczne* p. Kubali (a któż ich nieczytał?), mogą, z mnóstwa wybornie pochwyconych i uwydatnionych rysów, odtworzyć sobie dokładnie prawdziwą postać owego króla „fantasty,“ jak go nawet sam p. Szujski nazywa. Pewną jednakowoż jest rzeczą, zdaniem naszém, że Jan Kazimierz nie zrozumiał położenia ani potrzeb chwili. Nie rozumiała ich tém bardziéj królowa. Przekształcenie rządu polskiego, na żywiołach narodowych oparte, było rzeczą przechodzącą miarę pojęć kobiéty, wychowanéj na dworze francuzkim, choćby najrozumniejszéj i najszlachetniejszémi uczuciami ożywionéj. Cóż dopiero powiedziéć o możnowładztwie, w osobie swych głównych reprezentantów powoływaném do uczestniczenia w reformie, która aby była zbawienną przedewszystkiém przeciwko samemu możnowładztwu zwrócić się byłaby musiała?

Ale bo téż nie chodziło wcale ówczesnym reformatorom o zniesienie dożywotnich urzędów, skoncentrowanie władzy wykonawczéj w ręku króla, odebranie starostw, poprawę finansów i wojska, tém mniéj zaś o nadanie jakichkolwiek praw stanom dotąd wydziedziczonym. Zaczęto od wypędzenia aryanów. Dalszym i głównym celem zabiegów było mianowanie następcy na tron za życia króla, w osobie księcia francuzkiego a nawet wybór nowéj dynastyi, gdyż jednocześnie zamyślano o usunięciu wolnéj elekcyi. Rzecz sama w sobie była dobrą, ale chwila i sposób obrany dla jéj przeprowadzenia wcale nie odpowiednie. Pomijając to, że rozpoczynano budowę nowego gmachu od szczytu, czyż właściwém było, w momencie gdy Polska potrzebowała skupiać się w sobie, dobywać z własnego łona siły dla materyalnego i moralnego na wewnątrz podźwignięcia się po strasznych klęskach, wystawiać koronę jéj na współzawodnictwo obcych, dawać zagranicznym rządom sposobność do agitowania i rozdmuchiwania pośród niéj niezgody, do mieszania się w jéj wewnętrzne sprawy? Czyż się można było rozsądnie spodziewać, że szlachta w ówczesnych warunkach zrzeknie się łatwo swych praw elekcyjnych, gdy bezpośrednią przyczyną dopiero minionych katastrof nie były elekcye, lecz głębiéj sięgający rozstrój społeczny? Czy można było liczyć na to, że naród chętnie przyjmie z ręki słusznie nielubionego króla, z ręki podejrzywanych nie bez przyczyny możnowładców, nowego monarchę; nową dynastyą, nie związaną z nim żadnemi tradycyami, nie pociągającą go żadnemi zasługami? Czyż wreszcie można było

chociażby oczekiwać powszechnéj na tę kombinacyą zgody ze strony najbardziéj wpływowych możnowładców? Była ona bez wątpienia ponętną dla wielu pomiędzy nimi, były głównie ponętnemi rokowania do niéj zmierzające. Przy licznem rozrodzeniu niektórych familij, przy powstawaniu coraz nowych, łaską królów dźwiganych, rodów magnackich, mogły już starostwa, mogły nadania na Ukrainie nie wystarczać, spustoszenia dokonane w wojnach ostatnich znacznie zmniejszyły wartość i dochody jednych i drugich; w porę więc przybywało nowe źródło obfitych zasiłków: subsydya zagraniczne. Aby jednak to źródło stale i nieprzerwanie płynęło nie należało pośpiesznie rozstrzygać sprawy, owszem konszachty jak najdłużéj prowadzić, zrywać i na nowo zawiązywać, przerzucać się na rozmaite strony, targować się o koronę, układać przymierza ze wszystkiemi po kolei zagranicznemi państwami. Robota przez Jana Kazimierza rozpoczęta nie mogła zatém prędkiego osiągnąć rezultatu, przysposabiała zaś pole do tych przewrotnych intryg, niecnych frymarków, do tego uorganizowanego przekupstwa, które się odtąd nieprzerwaném pasmem snują w dziejach Polski do końca wieku XVII-go i przez cały wiek XVIII. Co gorsza jeszcze, łączenie sprawy reformy wewnętrznéj z rokowaniami zagranicznemi wprawiało naród do tego aby nie liczył już na siebie, na własne siły w najbliżéj go dotykających interesach, upoważniały zarazem mocarstwa obce do nieustannego mieszania się w domowe sprawy nasze. Gdy już raz Polska weszła stanowczo na tę drogę była jako państwo niezależne nieuchronnie zgubioną.

Ze zdumieniem widzimy, że p. Bobrzyński w téj właśnie chwili dziejowéj staje po stronie tylokrotnie przez siebie potępianych oligarchów, a przynajmniéj pewnéj nie najlepszéj ich frakcyi. „Nie brakowało w Polsce, powiada, ludzi znakomitych, którzy wykształciwszy się na dworze Maryi Ludwiki, utworzyli tak zwaną partyą francuską.“ W téj francuzkiéj partyi, w przymierzu francuzkiém upatruje on jakby palladium, które miało uratować Polskę od anarchii i zagłady. Nie chąc zbyt rozszerzać tego studyum nic już nie powiemy o tych wykształconych na dworze ludziach i nie wyrazimy naszego zdziwienia, że mogli zyskać sympatyą gruntownych znawców historyi, przed których nauką, rozmijając się nawet z nimi w opiniach, uchylamy czoła. Obstawać tylko musimy przy zdaniu, że w każdém państwie, godném tego imienia, stronnictwa wywieszające barwy i hasła zagraniczne, z dobrą lub złą wiarą, zmierzają do zatraty godności i niezależności kraju. W kwestyi przymierza wykazuje p. Bobrzyński, że Polska miała do wyboru między sojuszem austryackim i francuskim, rozwodzi się szeroko nad pożytkami i niedogodnościami obu, oświadczając się wreszcie za ostatnim jako najkorzyst-

niejszym dla Polski, głównie ze względu że Austrya nie mogła pragnąć silnego rządu w Polsce i popychać ją musiała do wojny z Turcyą, kiedy przeciwnie Francya potrzebowała jakoby silnéj Polski, a od zatargów z Turcyą zasłaniać ją mogła swym dyplomatycznym wpływem w Stambule.

Zdawałoby się nam przecież, że jeżeli Polska źle czyniła kiedy w czasach swéj potęgi, stroniła od spraw Europy i nie starała się wywierać na nie odpowiedniego wpływu, to gorzéj daleko postąpiła, gdy w ciężkiém osłabieniu, mianowicie po zawarciu pokoju oliwskiego, dała się wplątać w sieci dyplomatycznych intryg, kiedy powinna była się owszem zająć wyłącznie uregulowaniem domowych spraw. Jeżeli już na żadną głębszą reformę się nie zdobyto, należało czém prędzéj pomyśléć chociażby o najbardziéj palącéj sprawie i postarać się o środki, aby wojsko stale i regularnie żołd odbierać, a tém samém w należytéj karności utrzymaném być mogło. Dla państwa zdezorganizowanego, rozkoszami wojskowemi trapionego, jakiém była Polska przy końcu panowania Jana Kazimierza, myśl o obcych przymierzach bywa tylko zgubną, bo ono od swych silniejszych sprzymierzeńców lekceważenia jedynie i wyzyskiwania, bez żadnéj dla siebie korzyści, spodziewać się może. W ogóle zaś, skoro pomiędzy obcemi mocarstwami wybierać przychodziło, znajdujemy, że od chwili gdy Polska wyrzekła się wszelkiego wpływu na Czechy i Węgry, a Austrya przestała forytować swych arcyksiążąt na tron polski, przymierze austryackie było dla Rzplitéj najwłaściwszém. Pomijamy kwestyą o wpływ przymierza na siłę rządu polskiego. Każdy pragnie widziéć swego sprzymierzeńca silnym, przynajmniéj zewnętrznie; jeżeli chodzi zaś o siłę i organizacyą wewnętrzną, to nawzajem nie należy dopuszczać sprzymierzeńca do mieszania się w sprawy tego rodzaju, jest to kwestyą godności i mądrości politycznéj. Wojna z Turcyą znowu była, jakeśmy już wspominali, jedném z naczelnych zadań Polski, była prędzéj lub późniéj nieuchronną ze względu na położenie geograficzne i społeczne Ukrainy i Podola. Rząd nasz winien był sam upatrzyć chwilę dla siebie najdogodniejszą i wystąpić zaczepnie, postarawszy się o odpowiednie przymierza, z pomiędzy których austryackie z położenia rzeczy musiało być najważniejszém; interesa nasze w téj wojnie nie krzyżowały się w żadnym punkcie z interesami austryackiemi, przez czas długi miało każde z tych dwóch państw oddzielną sferę działania, mogły się więc wspierać szczerze i skutecznie. Gdy Polska atoli misyą swą spełnić zaniedbała, przypadła na nią wojna turecka, nie z poduszczenia Austryi jednakowoż, lecz z powodu spraw kozackich i w najkrytyczniejszéj chwili.

Po sześcioletnich, próżnych rozterkach, po wojnie domowéj którą „filary stronnictwa francuzkiego,“ walcząc jedni przeciwko drugim, kraj zawichrzyli, złożył Jan Kazimierz koronę, aby do niéj „drogę kandydatowi, popieranemu przez Francyą, utorować.“ W téj ciężkiéj dziejowéj dobie odezwała się w szlachcie polskiéj po raz ostatni zdrowa myśl, przyszło jéj szczęśliwe natchnienie. Oburzyły ją nareszcie niecne intrygi, matactwa i nieustanne z zagranicą konszachty możnowładców, którzy się prócz tego wzajemnie pomiędzy sobą wadzili i paraliżowali. Niespodziewanie i jednogłośnie okrzyknięto królem Piasta, Michała Wiśniowieckiego, a tłumy narodu, chowające we wdzięcznéj pamięci zasługi ojca jego, księcia Jeremiasza, z zapałem wybór ten przyjęły.

PP. Szujski i Bobrzyński surowo potępiają ten akt samodzielności narodowéj i wyrażają się z najwyższą pogardą o osobie elekta szlachty. Nie myślimy bynajmniéj śpiérać się o to, że król Michał nie posiadał wyższych zdolności, nie położył był osobistych dla kraju zasług, że był ubogim zresztą i niedawno przed elekcyą pożyczył był „sumkę 300 talarów.“ Ależ zwrócimy uwagę że kardynalną podstawą, najpożądańszą cechą królewskości jest miłość ludu dla panującego i wzajemna tegoż dla poddanych życzliwość; zdolności mniejsze lub większe są rzeczą przygodną; niedostatek takowych może być łatwo zastąpionym lub dopełnionym talentami i polityczną biegłością ministrów. Nie brakło w tym właśnie czasie w Polsce na uzdolnionych ministrach. Pomijając już prymasa Prażmowskiego, odznaczał się rzutkością i śmiałością niepospolitą podkanclerzy Olszowski, nabywał już głośnéj sławy hetman wielki Sobieski. Gdyby ci mężowie byli sobie podali ręce, łatwo by im było przyszło, przy pomocy jednomyślnéj naówczas i szczerym zapałem tchnącéj szlachty, wielkich rzeczy dla dobra kraju dokazać. Lecz, niestety, prymas i hetman byli znowu „filarami francuzkiéj partyi“, a rezultat elekcyi obraził ich do żywego. Nauczającym jest opis panowania Michała u p. Szujskiego, który, sympatyzując ze stronnictwem francuzkiém, niemniéj wiernie oburzające wybryki tego stronnictwa podaje. „Sejm koronacyjny, zerwany przez Olizara, narzędzie Sobieskiego“; i tak daléj bez przestanku postępuje partya, mająca na czele prymasa, hetmana, Morsztyna i Grzymułtowskiego, zrywając sejmy po kolei i spiskując przeciwko królowi, którego nawet w najniebezpieczniejszéj chwili wybuchu wojny tureckiéj zrzucić z tronu zamierza, aby na nim osadzić jakieś nieznane francuzkie książątko.

Szlachta, ulegająca dotąd ślepo możnowładcom, wyszła nareszcie ze swéj apatyi. Konfederacya Gołąbska stanęła w obronie króla, i nieprzyjaciół jego dygnitarstw pozbawić i ukarać zamierzała.

Chciała się nawet daléj posunąć, i przez zmianę ustaw Rzplitéj, faktycznéj przewadze możnowładztwa, koniec położyć. Zanosiło się na wojnę domową, lecz zapał trwał krótko, widoków powodzenia nie było, gdy pospolite ruszenie przeciw regularnemu wojsku, mającemu na czele ulubionego żołnierzy i zwycięzkiego wodza, podołać nie miało nadziei. Skończyło się wszystko nieszczęsnym kompromisem na którym najwięcéj zyskali Turcy zabrawszy Podole i część Ukrainy.

Któż był winien w całéj téj sprawie? czy szlachta, która brała na seryo wybór króla, obstawała przy nim i na wzmocnienie władzy królewskiéj przystać była gotowa? czy też możnowładcy, którzy przy ostatniéj elekcyi wskazali byli miarę swego patryotyzmu i rozumu politycznego, którzy następnie nie mogli znieść króla rodaka, bez słusznéj racyi zrzucić go pragnęli, intrygowali dla saméj intrygi, łudzili siebie i kraj jakiemiś rzekomemi reformami, których szczerze pragnąć nie mogli, bo musiałyby wypaść na ich niekorzyść, którym chodziło przedewszystkiém o subsydya francuzkie? Rzecz dziwna! nasi autorowie wspominają na każdéj karcie o „politycznych matactwach możnych", o „intrygach oligarchów"; winę złego jednak składają nie na tych ostatnich, lecz na króla i konfederacyą Gołąbską, na „głupotę szlachecką i niedołężną lalkę" na tronie, jak się wyraża p. Bobrzyński. P. Szujski zaś, napisawszy te znaczące wyrazy: „spółcześnie z zachwianiem się fortun, ruiną kraju, zubożeniem powszechném, zjawiła się sroga pokusa korrupcyi powszechnéj. Ludwik XIV dokazujący tyle pieniędzmi w Europie, dokazywał i w Polsce; pod pozorem utrzymywania zbawiennych dążeń partyi francuzkiéj: najznakomitsi ludzie brali pieniądze". dodaje zaraz potém: „Wśród tego ruchu interesów europejskich, przechodzącego jéj pojęcia, szlachta... nie chcąc, czego chcieli rozumniejsi, nic postawić i stworzyć nie umie, a wybierając niedołężnego króla, i paraliżując obronę kraju, staje się przyczyną hańby buczackiéj." A więc *rozumniejsi* i *najznakomitsi* chcieli brać pieniądze i za to dać się wodzić za nos Ludwikowi XIV; a gdy *głupota szlachecka* nie pojmując téj głębokiéj polityki, ośmieliła się raz takowéj sprzeciwić, gdy król, widząc buntującego się przeciwko niemu hetmana, upokarzający pokój podpisać musiał, wina spada nie na intrygantów i hetmana, lecz na szlachtę i króla!

O królu Janie III radzibyśmy jak najmniéj mówić. Bohater, który uświetnił imię Polski na kartach dziejów powszechnych, był tylko bohaterem, a to nie wystarczało wobec zadań które go czekały. Na polu wojenném zdołał on nawet uratować Austryą i chrześciaństwo, ale pomimo dwudziestoletniéj, prawie nieprzerwanie toczonéj wojny z Turcyą, utraconego Podola dla Polski odzyskać nie zdołał. Winę tak niepomyślnego obrotu rzeczy upatrują nasi autorowie w przymie-

rzu austryackiém. P. Szujski mówi, że „Polska... w nierównném przymierzu z państwem absolutnie rządzoném wiązała sobie ręce do osiągnienia korzyści.“ Nie rozumiemy dobrze, w czém forma rządu, absolutna lub inna, może wpływać na biegłość dyplomatyczną i strategiczną, na szczegóły planów kampanii, a od tych warunków przecież zależało powodzenie, jak samo uważne czytanie opowiadań p. Szujskiego przekonywa. P. Bobrzyński znowu, ostro gromiąc Sobieskiego za przerzucenie się na stronę Austryi, zapewnia że „korzyści z przymierza francuzkiego były dotykalne.“ Nie możemy, mimo najlepszych chęci, dopatrzyć tych korzyści dotykalnych w pozostawieniu Turkom Podola, za zwodnicze mary jakichś problematycznych zdobyczy na Szląsku i w Prusach książęcych, do czego, nieprzyjęty przez sejm a przez króla w interesie francuzkim zawarty traktat żórawiński, zmierzał. Przyczyną złego było, że zamiast wyzyskiwać możebnie najlepiéj dla kraju dane przymierza, król dawał się owszem przez sprzymierzeńców na najszerszą skalę wyzyskiwać. Pytamy zatém, czy Ludwik XIV nie byłby jeszcze lepiéj od Leopolda I umiał dobrodusznego Jana III wyprowadzić w pole, gdy to nawet łatwiéj uczynić mógł bezkarnie?

Przez dziwną ironię losu wróciło Podole do Polski dopiéro za panowania Augusta II, wszelako przy pomocy owego tak potępionego przez naszych historyków przymierza austryackiego. Przed tém jednak odbyło się, jak się z wszelką słusznością p. Szujski wyraża „jedno z najfatalniejszych, najniemoralniejszych bezkrólewiów.“

Nad dziejami XVIII stulecia za przewodnictwem naszych autorów zastanawiać się już nie będziemy. Są one w dziełach które rozebrać przedsięwzięliśmy w krótkości przedstawione i o wywodach tam zawartych mało znaleźlibyśmy do nadmienienia. P. Bobrzyński, wierny swéj teoryi, widzi jeszcze w Auguście II i ministrze jego Flemingu możliwych prawie zbawców Polski, bo pracujących wszystkiemi siłami w celu „narzucenia jéj absolutnych rządów (1).“ Zrzesztą czasy niewątpliwego upadku nadają się do obrazowania najczarniejszemi barwami, jakich im téż historycy w sprawiedliwém ocenieniu nie szczędzą. Pojawiają się teraz coraz częściéj projekta reformy, szczersze niż zamysły stronnictwa francuzkiego z końca wieku XVII-go, uczciwsze i pożyteczniejsze niż zamiary Augusta II, ale, dla wyżéj już przez nas przywiedzionych przyczyn, zawsze bez skutku spełznąć muszą.

Plany i reformy Czartoryskich, uchwały sejmu czteroletniego, dla niezmiernego zajęcia jakie obudzać muszą, dla licznych i waż-

---

(1) T. II, str. 254.

nych kwestyj, które się z niemi łączą, potrzebują obszerniejszego traktowania; dla takowego zaś, z natury rzeczy, w dziełach obejmujących całą historyą kraju w ścisłém bardzo streszczeniu zawartą, miejsca nie było. Prace X. Kalinki, zwłaszcza drukujące się obecnie, piérwszorzędnéj wartości dzieło *Sejm czteroletni*, które czytająca publiczność wita jako jedną z pereł naszéj literatury, przyczyniają się znakomicie do rozjaśnienia dziejów i spraw, tego ostatniego niepodległości Polski okresu, w nich uważne umysły szukać będą wskazówek i najbardziéj szczegółowych a jasno przedstawionych danych do wszechstronnego na tę epokę poglądu.

VIII.

Przystępujemy do ostatecznych wniosków i streszczenia wypowiedzianych uwag.

P. Szujski, w przedmowie do swéj „Historyi polskiéj treściwie opowiedzianéj,“ pomiędzy najważniejszemi dla dziejopisarstwa kraju własnego warunkami, stawia przejęcie się duchem rodzinnego społeczeństwa, dla wszechstronnego spełnienia trudnego dzieła wymaga od historyka, jako rzeczy „najniezbędniejszéj:“ „wytłómaczenia życia przeszłości tętném życia swojego pokolenia.“ Otóż historyografia nasza, pomimo wszelkich pozorów, nigdy podobno w zupełności nie stosowała się do téj arcy-słusznéj zasady. Posługiwano się zbytecznie analogią, i obrawszy, stosownie do chwilowéj opinii, pewien objaw dziejowy jako punkt naczelny, wartość jego, a za jego pośrednictwem wartość rozległego okresu, jeżeli już nie całości dziejów, oceniano przystosowując do nich cudzoziemskie wzory. Metoda porównawcza ma bezwątpienia wielkie zalety, ale, używając jéj, należy przedewszystkiém nie spuszczać na chwilę z oka głównego przedmiotu porównawczego badania, wraz ze wszystkiemi jego szczegółami i najistotniejszą treścią; w tym specyalnym wypadku nie trzeba aby „pod tym pozorem, jak mówi p. Bobrzyński, (1) wtłaczano w historyą swoje własne pojęcia i chwilowe dążenia.“ Szkoła Lelewela, napotykając na kartach dziejów naszych powtarzane hasła: wolności, równości, braterstwa, i zestawiając je z dzisiejszém godłem demokracyi francuzkiéj, przyszła do wniosku, że zarody nowoczesnéj demokracyi tkwiły już w samych początkach państwa polskiego, że już wcześnie bardzo rozwinąć się pragnęły i potrzebowały, że zamachy zmierzające do ich przytłumienia, wychodzące od możnowładztwa a zwłaszcza od królów naszych, sprowadziły zwichnięcie ustroju politycznego

(1) T. II. str. 347.

i upadek Polski. Najnowsza szkoła historyczna przeciwnie, zapatrzywszy się w państwowe formy, jakie przybrały monarchie europejskie, począwszy od drugiéj połowy XVII-go a głównie w wieku XVIII, zarzuca Polsce jako grzech kardynalny, że już od początku czasów nowożytnych do tych późniejszych wzorów zastosować się zaniedbała, że nie rozwijała się politycznie na podstawie cezaryzmu i biurokratycznéj centralizacyi. Ztąd téż rozprawiają nasi historycy bardzo wiele o anarchii w społeczeństwie polskiém, widzą początki takowéj już nawet w wieku XV-tym, nadużywają w ogóle tego zbyt zpowszedniałego, a rozmaicie pojmowanego wyrazu. Łatwo zaiste, mając na uwadze dzisiejsze pojęcia o państwie, dopatrywać się anarchii w téj oddalonéj epoce dziejów naszych; ale znaleść ją można wszędzie w tychże czasach: i tak śmiemy twierdzić, że np. we Francyi do końca prawie XVI wieku, a w Niemczech do połowy XVII-go gorsza panowała anarchia, aniżeli we współczesnéj Polsce. Późniéj stosunek stał się odwrotnym, to nie ulega zaprzeczeniu. Jeżeli zaś przestaniemy narzucać przeszłości naszéj obce wzory, lecz zajrzymy do głębi społeczeństwa polskiego, jak je wytworzyły: wewnętrzna jego przyroda i zewnętrzne okoliczności, to zgodzimy się, sądzę, wszyscy na to, iż właściwą jego treść i naczelne zadanie stanowiły dwie rzeczy: utrzymanie i przechowanie wolnych rządów (samorządu, *self-government*, jak to dziś nazywamy) oraz posuwanie cywilizacyi ku wschodnim strefom. Skrzywienie jednego z tych zadań, zatrzymanie się na drodze w wypełnieniu drugiego, przywiodło na Polskę straszne klęski i ostateczną katastrofę.

Gdy wolność stała się monopolem jednéj tylko warstwy narodu, ściśle a zazdrośnie odgradzającéj się prawami i zwyczajami od reszty społeczeństwa, łatwo przystąpiła do tejże klasy pokusa wyzyskania owéj wolności dla celów prywatnych, dla materyalnych korzyści i nie znalazła ona przeszkód na téj drodze. Splątanie spraw prywatnych z publicznemi, jakie stąd wynikało, przewaga pierwszym coraz bardziéj nadawana, podkopywały państwo w najistotniejszych jego podstawach, niweczyły powagę praw, pozorną wolność często bardzo w istotną przemieniały niewolę. Gdy tym sposobem jedna klasa narodu pogrążała się coraz bardziéj w zabiegach materyalnych i w użyciu łatwo zyskiwanych korzyści, inne zaś skazane zostały na bierność i stagnacyą, jako naturalny wynik takiego stanu rzeczy musiał się objawić, brak siły dostatecznéj a poniekąd i woli do należytego spełnienia drugiego z powyżéj wytkniętych zadań. Barbarzyństwo wschodnie, nie wypierane z zajętych na pograniczu Polski stanowisk, zamiast żeby się miało cofać przed jéj misyą cywilizacyjną, najeżdżało ją owszem i trapiło, niszczyło bez ustanku owoce ciężkiéj pracy, nu-

żyło i wyczerpywało jéj siły, składało nawet zarody dzikości wjéj własném łonie. Gdy wreszcie niebezpieczeństwa i trudność podołania im coraz groźniéj objawiać się zaczęły, klasa kierująca zwątpiła o sobie, a zamiast szukać w koło siebie środków i żywiołów do pomnożenia sił kraju, całą nadzieję ratunku w obcéj umieściła pomocy i tém utratę niepodległości narodowéj przygotowała.

Do téj konkluzyi, do takiego poglądu dojdzie niewątpliwie nowa szkoła historyczna, ucząc zarazem naród, że (1) „złego i rady na złe przedewszystkiém w sobie samym szukać" winien. „W nowym tym kierunku może być przesada i jednostronność," jak sam p. Szujski w końcowym ustępie swéj książki przyznaje; ale jednéj i drugiéj on się pozbędzie, jak mniemamy, skoro się oswobodzi z niepotrzebnych i mało uzasadnionych zwrotów do obczyzny, któreśmy w ciągu niniejszéj rozprawy wykazać i sądowi czytelników poddać, próbowali.

Zasługa téj nowéj szkoły, która sumiennie i z dobrą wiarą szuka prawdy, i nie waha się z jéj wypowiedzeniem; jakkolwiek by była przykrą i gorzką, będzie miała z tém wszystkiém ogromną doniosłość. Zasługa jéj objawi się zaś w tém, gdy nam wskaże, że cel upragniony daje się osiągnąć, bądź na szerokiéj widowni dziejów świata, jaka dawniéj się przed nami otwierała, bądź w najskromniejszym zakresie, na jaki okoliczności obecnie lub téż w przyszłości pozwolić mogą, nie przez oglądanie się na obcą pomoc, skądkolwiek by pochodziła, nie przez odgraniczanie się wzajemne klas w narodzie, tworzenie wyłącznych warstw kół i kółek, nie przez odsądzanie tych lub owych żywiołów od wspólnéj pracy publicznéj, lecz przez jednoczenie zasobów, należyte ich pojęcie i niezłomną wiarę we własne siły, jedném słowem, skoro nas przekona, że tylko wtedy dobre być może, gdy wszyscy na wszystkich liczyć i wszyscy wszystkich szanować się nauczą.

Jan Aleksander Tarnowski.

---

(1) Szujski str. 383.

Z nad brzegów Newy.

(Dokończenie).

V.

Cesarz Mikołaj przez cały czas swego długiego panowania był wciąż zbrojnym szermierzem w rzeczach europejskiego legitymizmu, sprzymierzającym się tylko z rządami, które na téj idei stały oparte. Legitymizm wyrasta z innéj jeszcze obszerniejszéj podstawy, z konserwatyzmu, z trzymania się oburącz głównych uważanych za niewzruszalne podwalin pewnego ustroju społeczeństwa, ze względu na to, że chociaż są złe, usunięcie ich sprowadzi złe jeszcze większe, to jest rozluźnienie i rozprzężenie całego porządku społecznego.

Jedną z takich podwalin było poddaństwo ludu wiejskiego, uprzątane na zachodzie europejskiego lądu za sprawą rewolucyi francuskiéj i pod wpływem pojęć, które weszły w czyn i życie przez tę rewolucyą. Konserwatyzm europejski, którego najwyższym wyrazem i kluczem sklepienia był cesarz Mikołaj, dopatrywał w téj rewolucyi wszelkiego złego źródło i początek. Istniała pewność, że cesarz kwestyi włościańskiéj nie podniesie, z powodu ścisłego jéj powiązania z prawem własności. Ta pewność, przebijająca się i w znanym „liście szlachcica polskiego" A. Wielopolskiego z r. 1846, dawała całemu panowaniu charakter rządów autokratyczno-szlacheckich, które zapewniając szlachcie poddańczą uległość włościan, zachowały dla siebie, samo tylko surowe karcenie nadużyć władzy pańskiéj. Możnaby wnioskować, że taki obrót rzeczy w najżywotniejszéj dla przyszłości narodu kwestyi włościańskiéj wypadł z konieczności, bez żadnego wahania się i namysłu, bez przypuszczenia nawet że wybije godzina kiedy nastąpić ma usamowolnienie ludzi-rzeczy, niewolników. Zapiski i papiery Kisielewa malują rzecz inaczéj i daleko prawdziwiéj.

W ciągu całego życia w duszy cesarza walczyły szczera chęć usamowolnienia włościan, podżegana instynktowém poczuciem solidarności dobrobytu demosu i władzy monarszéj, ze skrupułami konserwatyzmu, wskutek których demokrata znaczył toż samo co rewolucyonista. Kisielew opisuje w ten sposób przyjęcie, którego doznał za powrotem z księstw naddunajskich 9 maja 1834 wieczorem.

„Poświęciłem trzy wieczory — rzekł monarcha — na czytanie twego sprawozdania (o stanie księztw), szczególniéj zajęło mię miejsce, gdzie mówisz o wyzwoleniu włościan. Zajmiemy się tém kiedyś. Wiem, że mogę na ciebie liczyć, bo mamy też same idee, żywimy jednakie uczucia w téj ważnéj materyi, któréj moi ministrowie nie pojmują i która ich przestrasza. — Patrz — dodał, wskazując ręką na kartony na półkach gabinetu — ja tu zebrałem od wstąpienia na tron wszystkie papiery tyczące się procesu, który chcę wytoczyć niewolnictwu, gdy nastanie czas wyzwolenia włościan w całém cesarstwie“ (II, 2).

Zagadnięty znienacka Kisielew, zwrócił uwagę cesarza na to, że w księstwach było łatwiéj, bo tam starodawne prawo już zapewniało chłopom wolność osobistą, a chociaż bojarowie dokonali późniejszego przytwierdzenia części ich do ziemi, dość było wrócić do dawnéj ustawy, znosząc nadużycia. Argument nie wydaje się nam dość mocnym: wszakże i w Rosyi wolność osobista włościan niegdyś istniała, a władza, która ją przedtem mogła stłumić, czemużby nie mogła i do życia napowrót powołać. Czy liberalny reformator ziemi wołoskiéj nie znał historyi własnego kraju, lub o niéj w téj właśnie chwili zapomniał, — czy téż ostrożny dworak chciał temi słowy okazać, że wracając w ojczyste progi, poddał się kwarantannie duchowéj i atmosfery za normalną uznanéj, żadną zagraniczną naleciałością nie zakazi, — rozstrzygać tego nie będziemy. Uderza jednak, że na pomoc argumentowi pośpieszyla uwaga o *braku doświadczenia*: uwaga ta w ustach wczorajszego organizatora księzstw naddunajskich zbytnią razi skromnością, aby szczerą być mogła, a przecież za alluzyą do interlokutora brać jéj chyba nie można. Cesarz odparł na to: „I jam niedoświadczony, ale ufam w pomoc boską. Możesz pomówić ze Sperańskim w ogóle o kwestyi włościańskiéj. Posiada on pamięć nadzwyczajną. Jest to człowiek, który cierpiał niewinnie; mówił mi o tém Aleksander Pawłowicz, upewniał mnie, że się uważa za dłużnika w obec téj ofiary starć politycznych, których nie mógł na razie przemódz, ale za które powinien wynagrodzić; co cesarz nieboszczyk zaczął, tego ja muszę dokonać“ (II, 209).

Mąż, na którego wskazywał w tych ostatnich słowach cesarz Mikołaj, należał do najbardziéj uzdolnionych jakich kiedykolwiek

Rosya wydała. Ten ubogi syn księży stał się prawą ręką cesarza Aleksandra I w świetnéj epoce początków jego panowania, gdy nietylko marzono o wyzwoleniu włościan, czego dowodem było prawo z r. 1803, upoważniające obywateli do wyzwalania włościan z nadaniem ziemi na własność i tworzące z emancypowanych w ten sposób stanu wolnych rolników (swobodnyje chlebopaszcy), lecz gdy zarazem projektowano i radę państwa i organizacyą ministeryów (instytucye, które do skutku doszły) i konstytucyą, która nie doszła. Admirator francuzkich wzorów i porządków, Sperański upadł i poszedł na wygnanie przed najściem Napoleona na Rosyą, jako osoba niepopularna, jako ofiara pokutująca i za pokój tylżycki z 1807 r. i za zrujnowane finanse i za próbę żądania pewnych kwalifikacyj naukowych od kandydatów na posady urzędowe. Gdy wrócono go z wygnania, gdy mu za panowania cesarza Mikołaja kazano zostać nowym Tribonianem północnego imperium i układać Zbiór Praw (*Swod Zakonow*), już był Sperański całkiém odmiennym od dawniejszego człowiekiem, bez wiary w reformy, bez podniosłego animuszu, bez ufności we własne siły.

Taki to człowiek, już zwichnięty i niepewny, wskazany został Kisielewowi jako jedyny pomocnik: wszyscy inni prawie bez wyjątku byli najzawzięciéj przeciwni wszelkiemu usiłowaniu podważenia kolosalnéj bryły poddaństwa. Kilka przykładów wystarczy dla illustracyi tych szczególniejszych stosunków.

W komitecie ustanowionym w 1835 r. „dla podniesienia dobrobytu włościan wszelkich kategoryj,“ minister finansów Kankryn podawał taki program ostatecznego, ostrożnego i o mierzonych przejściach załatwienia sprawy włościańskiéj. „Jest to niby ewolucya trzystopniowa: 1) przymocowanie do ziemi, ale z ograniczeniem robocizny trzema dniami w tygodniu; 2) tenże stan z robocizną odmierzoną ilościowo; 3) wolność przechodzenia od jednego obywatela do drugiego i zadzierżawianie gruntów przez włościan od obywateli na mocy umów dobrowolnych. Przejściem do stanu trzeciego, w jakim już się znajdują włościanie w prowincyach nadbaltyckich, stanie się zadość wszelkiéj potrzebie państwowéj, tak ważnéj dla spokojności i rozkwitnienia Rosyi“ (II, 9). Myśl Kankryna miała zaletę wielkiéj otwartości, robiła ustępstwo duchowi czasu, obdarzała rolnika wolnością ptasią, pod pozorem wolności i formą dobrowolnéj umowy wprowadzała niewolę ekonomiczną, nieraz może gorszą niż przymocowane do ziemi poddaństwo.

W zawisłych wtedy od ministeryum finansów dobrach rządowych, Kankryn nie miał ochoty wprowadzać żadnych zmian ani ulepszeń, chociaż o złym stanie włościan wymownie świadczyła cyfra

68 milionów rubli asygnacyjnych zaległości narosłych od daty manifestu koronacyjnego 1826 r., na mocy którego wszystkie niedobory poprzednie umorzone zostały. Minister skarbu zwykle nie nadaje się na dobrego administratora dóbr rządowych. Dochód z dóbr takich w teraźniejszych systemach finansowych jest rzeczą drobną, więc też majętności rządowe bywają zaniedbane. Ze stanowiska czysto fiskalnego, na którém stało ministeryum skarbu, minister Kankrin ani się bardzo troszczył o dobra skarbowe, ani dbał o ich zatrzymanie w swojém ręku, owszem oddawał je z ochotą. Do utworzenia odrębnego ministeryum dóbr rządowych wiodły wielkiéj wagi względy, wynikające ze stosunku włościan skarbowych do poddanych obywatelskich. Państwo, jako największy z właścicieli dóbr chłopami zaludnionych, powinno było dać pierwszy przykład jak podnosić dobrobyt włościan i jak ich stopniowo organizować, a przez to organizowanie, utorować drogę wyzwoleniu z poddaństwa włościan w dobrach prywatnych. Jeszcze w 1827 Sperański zwracał uwagę rządu na to, że włościanin skarbowy ubożeje i nędznieje niemniéj jak pański, bo z jednéj dziesięciny płaci tyleż podatków i odbywa tyleż powinności ziemskich i gminnych, ile prywatny poddany z 8-iu albo i więcéj dziesięcin. Sprawnikami ziemskimi (naczelna władza policyjna w powiecie) — dodawał Sperański — są ciż sami obywatele, z tą tylko różnicą, że się zmieniają co trzy lata; wprawdzie ich czynności można zaskarżyć, lecz nie mają oni powodów bronić tych włościan, którzy nie należą do nich, ani dostaną się ich potomstwu (II, 10). Z tych założeń już się rozwijała myśl oddzielnego ministeryum dla dóbr państwa, nietylko przed tém nim wydany został w 1837 r. ukaz ustanawiający to ministeryum, lecz zanim Kisielew został na przewodniczącego w téj sprawie powołany, na posłuchaniu u cesarza 9 maja 1835 roku.

Organizacya dóbr państwa i wyzwolenie włościan w dobrach prywatnych stanowiły w myśli cesarza dwie części jednéj i téjże saméj roboty. Kisielew jako przyszły minister miał przeprowadzić pierwszą z tych części, a jako członek rady państwa oraz wielkiéj ilości komitetów sekretnych, które tworzono co chwila w każdéj z pojedynczych kwestyj, wchodzących w obręb sprawy włościańskiéj, — przygotowywać część drugą. „Rozumiemy się wzajem—rzekł cesarz 17 lutego 1836 r. do Kisielewa, ty będziesz moim *szefem sztabu w sprawie włościańskiéj* (po krestianskoj czasti). — Dzięki ci raz jeszcze. — Z Bożą pomocą rzecz się urządzi, jestem tego pewien“ (II, 13). Pomimo tak solennego zapewnienia, Kisielew nawet w pierwszéj części swego zadania nie miał nieograniczonéj swobody działania i walczyć musiał na każdym kroku z krytykami, podejrzeniami i zarzutami;

w drugiéj części zadania piętrzyły się przeszkody tak liczne, tak wielkie i napozór nieprzezwyciężone, że zmęczony powszechnym oporem, sam cesarz Mikołaj się zniechęcił i w epoce bezpośrednio poprzedzającéj rewolucyą lutową 1848 r., zaniechał usiłowań w kierunku zniesienia poddaństwa. Od rewolucyi lutowéj nastrój ogólny umysłów już był taki, że wszelki liberalizm był srodze potępiony, a zapanowały bez podziału zastój i reakcya.

Wprzód nim przystąpimy do streszczenia rezultatów działalności Kisielewa, jako organizatora nowego zarządu dóbr państwa, przypatrzmy się na chwilę przebiegowi ogólnéj sprawy zniesienia poddaństwa, w okresie od wstąpienia cesarza na tron do 1848 roku i zaznaczmy główne momenta walki dobrych chęci rządowych z biernym oporem całego prawie otoczenia. Każde, by najskromniéj obrachowane przedsięwzięcie rządowe, jeszcze się bardziéj okrawało i w prawodawczym okresie stawało się czemś do takiego stopnia obciętém, kusem, od pierwotnego założenia odmiennėm, że całość usiłowań robi takie wrażenie jak robota królowéj Penelopy.

Porównania tego wszelako nie bierzmy zbyt ściśle. Tęskniąca małżonka Odysseja działała z zupełną świadomością środków i celu, gorąco pragnęła wygrać na czasie i doczekać chwili wyzwolenia od natrętnych gachów. I doczekała się wreszcie. Tu zaś czas płynął na zamiarach po części spełzłych na niczém, po części na próbach chybiających celu lub nawet mnożących złe, które chciano zwalczyć; na ostrożném kroczeniu naprzód, by się niebawem wstecz cofnąć,—a najwydatniejszym owocem wszystkich tych usiłowań wieloletnich był może wymowny widok téj bezsilności w sile. Gdyby to nie chodziło o los milionów istot ludzkich, gdyby tu uśmiech Phaedra był na miejscu, gotów byś powtórzyć słowa staréj bajki: *parturiunt montes*. Być, że użyjemy słów poety, „jak Bóg silnym,“ działać „z bożéj łaski,“ a znaleść się bezsilnym, doznać braku téj „łaski“ wtedy właśnie, gdy się zamierza działać dobrze—jakież to gorzkie musi obudzać uczucie! Ale hamujmy się w sentymentalnych refleksyach i wróćmy do szczegółów ściśle realnych.

VI.

1. *Kwestya o ludziach dworskich* (dworowyje). Oprócz osadzonych na roli byli w poddaństwie ludzie należący do dworskiéj czeladzi. Liczono ich około 1840 r. do 1,200,000 samych mężczyzn (nielicząc kobiet niezapisywanych do tak zwanéj rewizyi). Stosunek do pana tych bezziemnych chłopów, sprzedawanych jako ruchomość,

najbardziéj się zbliżał do starożytnéj niewoli (dopiero w 1833 r. wydany ukaz o sprzedawaniu ich nie pojedyńczo lecz tylko całemi rodzinami). W komitecie, który się sformował w r. 1826, chodziło o trzy rzeczy: *a*) wzbronić powiększania ilości ludzi dworskich, zakazując panom zaliczania na roli osiadłych do czeladzi dworskiéj, *b*) dać prawo dworskim wykupywania się na wolność, *c*) obmyśléć dokąd mają być zaliczani wyzwoleńcy po wyjściu ze stanu poddańczego. Wszystkie rego rodzaju kwestye w dzisiejszych warunkach prawodawstwa, dałyby się załatwić, jeżeli nie jednym pociągiem pióra, to po bardzo krótkiéj naradzie w komitecie ministrów albo w radzie państwa. W owym czasie, wlokły się one przez całe lat dziesiątki, rodząc nieskończone wątpliwości i namysły. Najprędzéj jeszcze dałaby się załatwić kwestya trzecia, chociaż dla średniowiecznego państwa, złożonego z samych klateczek stanowych, wypadało wymyśléć i utworzyć stan odrębny, zarejestrowany jako *cech służących*, najniższy poddziałek stanu miejskiego, do którego mieli być zapisani przyszli wyzwoleńcy. Opór przeciwko pierwszemu środkowi był tak powszechny i stanowczy, że w protokule posiedzenia komitetu z d. 19 czerwca 1844 r. odbytego pod osobistą prezydencyą cesarza, zakaz obywatelom przenoszenia osiadłych na roli do dworu, uznany został za niewykonalny na długi przeciąg czasu. Sama myśl wykupywania się dworskich na wolność wywołała ostrą mowę hrabiego Czernyszewa: „Myśl o wolności dawno kiełkuje w umysłach europejskich; szczęściem niema jeszcze wstępu do klasy naszych włościan. Od myśli o wolności włościan przejście zbyt łatwe do rzeczy innych, do rozchwiania całego gmachu społecznego. Potrzebujemy nie nowinek niebezpiecznych, ale udoskonalenia tego co stare. Bogobojne oddanie się wierze ojców, bezwarunkowe przywiązanie do rządu, ojcowski nadzór rządu, celem wykorzenienia nadużyć i okrucieństw a utrzymania węzłów rodzinnych i społecznych — to są warunki potrzebne dla szczęścia ziemi rosyjskiéj....“ (II, 232).

Nie gorszmy się zbytecznie tą pełną namaszczenia przemową, w któréj z poza sielankowych ideałów gruby egoizm pokazuje swoje rogi. Nie gorszmy się: wszak blisko lat 40 od tego czasu ubiegło, a jeszcze i teraz nie jest żadną osobliwością czytać lub słyszéć podobne zdania, być świadkiem frazeologicznéj maskarady.

O mało co nie przeszedł, i to dzięki tylko niezgodzeniu się cesarza, projekt księcia Menszykowa o wolném sprzedawaniu kwitów rekruckich, otrzymywanych przez właścicieli za ludzi dworskich, oddanych przez nich do wojska, innémi słowy projekt patentowanego handlu ludźmi. Cesarz stanowczo wyrzekł, że na to nigdy niezezwoli (II, 239). Dla załatwienia sprawy o emancypacyi wskutek umowy.

Cesarz przemówił na posiedzeniu komitetu 19 marca 1844 w ten sposób, wedle protokułu posiedzenia: „Celem moim *znieść* stan poddaństwa u nas istniejący (krepostnoje sostojanije). Myśl o tém nie opuszczała mię w ciągu lat 18 panowania. Za pierwszy warunek stawiąc stopniowość środków, postanowiłem zacząć od ludzi dworskich....“ Skutkiem przeciągłéj pracy prawodawczéj był ukaz z d. 10 czerwca 1844 r., mocą którego właściciel mógł, skutkiem umowy z poddanym, uwolnić go za pewną sumę wypłacalną jednorazowo, albo częściami przez pewien przeciąg lat, albo uiszczalną ratami rocznemi aż do śmierci właściciela. W razie nieuiszczenia się wyzwoleńca, właścicielowi służy tu prawo: dochodzenia swojéj należności na wszelkiém mieniu wyzwoleńca z pierwszeństwem przed wszystkimi jego wierzycielami; oddania go do wojska na rekruta, w razie niezdatności do wojska, żądania, aby go oddano jako przymusowego robotnika w ręce prywatne a jego zarobek szedł na zaspokojenie należności pańskiéj, albo wreszcie, aby go zesłano do ciężkich robót (katorga) w fortecach. Obmyślane lekarstwo pod wielu względami było gorsze od choroby: dobrowolna umowa między panem i niewolnikiem obostrzona jedną z najcięższych kar kryminalnych. Autor życiorysu Kisielewa słusznie robi uwagę, że treść ukazu świadczy o niezmiernie małym rozwoju pojęć prawnych pomiędzy mężami stanu ówczesnemi.

2. *Dopuszczenie poddanych do licytacyi w subhastowanym majątku.* Znalazło się w zbiorze praw jakieś specyalne prawo dla Gruzyi z d. 22 lutego 1824, mocą którego włościanie mogli stawać wraz z innymi nabywcami do licytacyi majątku subhastowanego i nabyć wolność wraz z ziemią, płacąc najwyższą z ofiarowanych cen, albo, gdy nie było innych licytujących, wartość majątku wedle urzędowéj ceny. Senat w 1834 r. zastosował do Rosyi to prawo w szczególniejszym przypadku, gdy zaludniony majątek szlachecki miał być zlicytowany. Senat w tym razie kierował się tą pobudką, żeby dobra nie dostały się w ręce tak zwanego *raznoczyńca,* to jest osoby nie szlacheckiego stanu, nie mającéj prawa posiadania poddanych. Upatrzono w tém zastosowaniu nową kwestyą prawodawczą, którą kazano poddać rozpoznaniu rady państwa w drodze prawodawczéj. W radzie, większość opiniowała w kierunku przychylnym dla włościan. Oparł się temu hrabia Kankryn. Tkliwa pieczołowitość o los ciemnych prostaczków, któréj nikt by się po nim nie spodziewał, natchnęła go obawą, że łatwa do zrozumienia chęć poddanych wydostania się na wolę, popchnie ich do zbyt wielkiego przeceniania sprzedawanego majątku, że się w ten sposób zrujnują. Zresztą kilka tysięcy emancypowanych w ten sposób nie wiele państwu przysporzy korzyści,

bo emancypacya wymaga wielkich ogólnych nie zaś cząstkowych środków (II, 224). Ostatni z tych dowodów Kisielew odpierał, stawiąc ostrzem pytanie: czy rząd ma na celu zniesienie czy umocowanie poddaństwa? Jeżeli zniesienie, to takowe nie da się bez wstrząśnienia przeprowadzić doraźnie, a więc chyba tylko przez skombinowanie jaknajwiększéj liczby drobnych pojedynczych środków. To już trąciło podejrzaną filozofią, oczywista więc że tkliwość górę nad nią weźmie.Jakoż ogólne zgromadzenie rady państwa stanęło po stronie nie Kisielewa lecz Kankryna. Wreszcie spór rozstrzygnięty został wcale nieprzewidzianym sposobem przez ukaz cesarski z d. 15 stycznia 1836 r., nakazujący aby majątki spadające na raznoczyńców zabierać po prostu do skarbu, nie wystawiając ich na licytacyą, tylko po prostu płacąc raznoczyńcowi indemnizacyą wedle taksy *minimalnych* cen dla majątków zaludnionych, na mocy któréj rząd ściąga w każdéj gubernii opłatę od sprzedaży tychże majątków.

Niech nam za złe czytelnik nie bierze, że w zarys ten historyczny wtrącimy uwagę dotyczącą dni obecnych. W piśmie jak Ateneum, które niedawno dało dowody swéj żywéj sympatyi dla p. Aksakowa (miesiąc Listopad 1881 r.) pominięcie jéj, lubo do tego nadarza się sposobność, byłoby istotnym grzechem. Świetny publicysta moskiewski, który co tydzień stacza daremnie harce aby przekonać przeciwników o tak zwanéj „samobytności" swojego narodu, oszczędził by sobie wiele atramentu, gdyby spółczesne dzieje znał w równym stopniu jak zna epokę Ilii Muromca lub czasy Iwana Groźnego. Wszakże proste powołanie się na prawo z 15 stycznia 1836 r. zwycięzko by Aksakowowską tezę stwierdziło, boć nie ulega wątpliwości, że prawodawstwo zarozumiałego Zachodu niczém podobném pochwalić się nie jest w stanie.

Ukaz cesarski z d. 15 stycznia 1836 r. nie załatwiał całéj kwestyi, wynikającéj z prób dopuszczenia włościan do wykupienia się na wolność i nabycia zarazem subhastowanego za długi majątku, a to za najwyższą z cen podanych przy licytacyi. Niezałatwione pytanie odnowiło się w roku 1847, pomyślnym w ogóle dla sprawy włościańskiéj; w tym roku bowiem Kisielewowi udało się dopiąć rzeczy uważanéj za ważną. Zdarzało się, że obywatel na swoje imię, ale za chłopskie pieniądze przykupił grunta, które potém w razie jego upadłości szły na sprzedaż z licytacyi wraz z całą masą majątku upadłego, a chłopi, niedopuściwszy się żadnéj winy, tracili krwawą pracą nabyte mienie. Było to trochę niesprawiedliwém. Cesarz przystał na to, aby dla uniknienia podobnych wypadków poddany mógł nabywać grunta na własne imię, za zezwoleniem jednak swojego pana. 1 września 1847 r. monarcha w ten sposób tłómaczył Kisiele-

wowi swoje zamiary: „postanowiłem obcinać to wszystko, co wedle pojęć ludzi dobrych nie może ostać się nie szkodząc. Powoli, ostrożnie, lecz bez ustanku, spełniać będę moję powinność. Zapewnijmy naprzód poddanym grunta przez nich nabyte, zatém pójdzie zapewnienie im i ruchomości, lecz nie odrazu i nie teraz. Póki człek jest rzeczą do kogoś należącą, niepodobna ruchomości jego uznawać za jego własność; przy zdarzonéj okazyi z kolei i to nastąpi“ (II, 296). Cywiliści ocenią bezwątpienia subtelność tego rozumowania, które pozwoliło, możność nabycia nieruchomości z niemożnością posiadania ruchomości, zjednoczyć.

Tegoż roku 2 lipca w Peterhofie, na posiedzeniu sekretnego (kielejnyj) komitetu, cesarz wyraźnie i stanowczo oświadczył, że chce aby włościanie dopuszczeni byli do wykupowania się przy subhastacyi, skutkiem czego był ukaz z d. 8 listopada 1847 r., mocą którego włościanom należącym do majątków, sprzedawanych z licytacyi za długi, nadano prawo wykupienia się lub nabycia majątku na własność, płacąc—albo najwyższą z ofiarowanych cen, albo wartość majątku wedle oszacowania urzędowego. Jednocześnie otworzono ministrowi dóbr państwa kredyt na 300,000 rubli, celem stawania do licytacyi i kupowania na rzecz skarbu majątków subhastowanych. Urzędowy opór przeciwko nowemu prawu ustał, lecz teraz dopiéro poczęła się agitacya sztuczna, ruchawa, niby od stanu szlacheckiego pochodząca, to jest od jedynéj klasy, z któréj opinią rząd uważał za konieczne ściśle się rachować. Różnemi drogami dochodziły do monarchy memoryały imienne i bezimienne o niebezpiecznych zasadach w nowém prawie zawartych, o niebezpiecznych ruchach pomiędzy włościanami, o szkodliwych skutkach propagowanéj w ten sposób idei wolności. „Lud prosty—twierdzi autor jednego z takich memoryałów—przyzwyczaja się do spiskowania, ponieważ włościanom daje się prawny powód do narad nad środkami wyzwolenia się od władzy obywatela; w ten sposób ludowi podaje się nauka komunizmu.“ (II, 305). Jeśli konkluzya ta niedość ściśle łączy się z poprzedzającym ją wywodem, przyznać jednak trzeba, iż pod względem oryginalności niewiele ustępuje Proudhonowskiéj definicyi, że własność jest kradzieżą. Cesarz jako mąż praktyczny mniéj zwracał uwagi na stronę teoryi, zastanawiając się raczéj nad wzmianką o ruchach włościańskich, zanotował własnoręcznie na memoryale: „pierwszy raz słyszę i nie wierzę.“ Ale powtarzane coraz to w innéj formie skargi i strachy czyniły pewne wrażenie, tém bardziéj, że powtarzali je głośno ks. Czernyszew i minister spraw wewnętrznych Perowski. Cesarz Mikołaj poddał pod rozpoznanie komitetu kwestyą: czy w obec szko-

dliwych rzekomo skutków prawa z 8 listopada 1847 r. ma być ono uchylone, czyli téż w mocy swojéj nadal utrzymane. Większość była za uchyleniem, cesarz oświadczył się naprzód za utrzymaniem prawa, wkrótce jednak ustąpił, skutkiem czego było nowe prawo z d. 19 lipca 1849 r., w którém treść ukazu z 8 listopada 1847 została do niepoznania zmodyfikowaną, a z dobrodziejstwa dawnéj ustawy nic a nic już dla włościan nie pozostało. § 188 nowego prawa głosił, że w razie gdyby właściciel subhastowanego majątku chciał zawrzéć umowę z osiadłemi w majątku poddanymi o sprzedanie im całego obszaru tego majątku, albo pewnéj jego części, powinien tenże właściciel dla uniknienia subhastacyi, wnieść do urzędu, który rozporządza subhastacyą, całą sumę potrzebną na opłatę długów, albo zgodzenie się wszystkich wierzycieli na przeniesienie długu z właściciela dłużnika na jego poddanych; po dopełnieniu któregokolwiek z tych warunków, umowa z poddanymi włościanami powinna być przedstawioną na zatwierdzenie samemu monarsze. Cel agitacyi ze strony konserwatystów, popierających utrzymanie poddaństwa, został całkowicie osiągnięty, bo przypadek w prawie z d. 19 lipca 1848 przewidziany należał do rzędu, praktycznie rzeczy biorąc, nader rzadkich, rzecby nawet można nie dających się nigdy urzeczywistnić. Z drugiéj strony, któż nie dojrzy tu politycznego charakteru własności ziemskiéj, a także nowéj sankcyi dla umów prywatnych, które podnies one zostały niemal do stanowiska aktów międzynarodowych, podzielając z niemi zaszczyt ratyfikacyi.

VII.

3. *Ustawa z d. 2 kwietnia 1842 r. dla stanu włościan zwanych obowiązanymi.*—Na polu téj ustawy rozwinęła się główna akcya rządowa w sprawie włościańskiéj i tu był najdaléj sięgający punkt usiłowań rządowych. Wszystkie komitety w kwestyi włościańskiéj (a liczono ich sporo) były sekretne, tak sekretne, że wygotowując memoryały sekretarz państwa Modest Korff, przepisywał je własnoręcznie, nie dowierzając kopistom. Specyalny komitet, uorganizowany 10 listopada 1839 r., był z tych sekretnych najsekretniejszy, do takiego stopnia, że nawet firmę dano mu fikcyjną: *o powinnościach w dobrach rządowych gubernii zachodnich.* A jednak chodziło o rzecz skromniutką: o ułatwienie właścicielom, z dobréj ich woli i bez najmniejszego przymusu, już nie emancypowania poddanych (do czego widocznie nie mieli ochoty skoro prawo o wolnych rolnikach z 1803 r. nie przestało być martwą literą), lecz tylko przenoszenia ich w stan nowy i szczegól-

niejszy poddaństwa nie bezwzględnego, ale o prawnie uregulowawanych stosunkach, z dokładném określeniem wymagalnych od poddanego obowiązków.

Ktoś wyraził zdanie, że sam ten pomysł w gruncie był niedorzeczny, bo sprzęgał, w niezadawalniającym nikogo półśrodku, dwa wyłączające się wzajem przeciwieństwa: niewolę i stosunek prawny. Na ten surowy wyrok trudnoby się nam było zgodzić. Wszak „inwentarze“ w tak zwanych guberniach zachodnich (o czém będzie niżéj), wszak działanie rządów austryackiego i pruskiego w ziemiach polskich, wiele z tym pomysłem mają powinowactwa, a zarzutowi nielogiczności nie ulegały. Radziéjbyśmy zarzucili fantastyczność przypuszczeniu, że znajdzie się znaczna liczba panów, którzy nieograniczoną dotychczas swą władzę nad poddanymi, zechcą dobrowolnie poddać pewnym ścieśnieniom, gdyż to przypuszczenie służyło za punkt wyjścia projektowi. Logiczniejszém zaiste rozwiązaniem byłaby prosta wolność osobista chłopów, za przykładem prowincyj nadbaltyckich, bezpieczny port, ku któremu zmierzały chęci przezorniejszych właścicieli ziemskich.

Obok ideału baltyckiego kiełkowała myśl inna, która dojrzała dopiero późniéj w 1861 r., o emancypowaniu włościan wraz z ziemią. W komitecie, który wzorem monarchów podróżujących *incognito* funkcyonował pod przybraną nazwą, nic dziwnego, że nie każda myśl dawała się wypowiedzieć otwarcie. Ta, o któréj wspomnieliśmy, więcéj niż wszelka inna miała pobudek do zachowania swego *incognito*, konieczność więc kazała, maskując ją, uciekać się do półśrodka, którego myśl zaprzątała Kisielewa od 1816 r. i któren dałby się streścić w tych słowach: dać poddanym wolność warunkową, przywiązać ich tylko do ziemi, nie do osoby właściciela, uregulować kontraktami ich obowiązki względem pana ziemi, na któréj są osadzeni; zachęcić szlachtę do zawierania takich kontraktów przynętą dozwolenia na tych warunkach tworzenia majoratów. Właściciel posiadać miał, nad swoimi nowego rodzaju wasalami, zwierzchnią władzę sądową, którąby sprawował za pomocą osobnego urzędu patrymonialnego. Temu projektowanemu przekształceniu poddanych na niby wasalów, a właścicieli na suzerenów, justycyariuszów na sposób prawie feodalny, przewodniczyły idee austryackie, stan włościan w Czechach, któremu się przypatrzył Kisielew w 1835 r. lecząc się w Karlsbadzie i korespondencya z posłem rosyjskiem w Wiedniu Tatyszczewem (II, 212), dostarczającym mu materyały do kwestyi włościańskiéj. Godząc się z sądownictwem patrymonialném, Kisielew zapewne miał na myśli wprowadzenie do urzędu włościańskiego pier-

wiastków wziętych z gminy chłopskiéj rosyjskiéj, pewne przedstawicielstwo téj gminy przez wybranych rajców wieśniaczych, to samo mniéj więcéj, co jednocześnie starał się organizować w zarządzie dóbr skarbowych. Należy mu się niezaprzeczenie ta zasługa, że dojrzał gminę włościańską, a w niéj uwzględnił mogące być pożytkowanemi pierwiastki włościańskiego samorządu. Do projektu wchodziło ustanowienie normy, czyli stałéj proporcyi uposażenia włościańskiego do ilości głów męzkich na roli osiadłych, przyznanie poddanym prawa posiadania ruchoméj własności, ograniczenie władzy karnéj właściciela względem byłych krepostnych, mających nosić miano *obowiązanych* (obiazannyje).

Głównym antagonistą projektowanéj reformy w samym komitecie był książę Menszykow. Jego zarzuty i argumentacya Kisielewa zbijająca te zarzuty, do takiego stopnia malują duch czasu, że zasługują na wzmiankę. Książę Menszykow twierdził, że *obowiązaną* osobą, wedle przyszłéj ustawy, będzie nie chlop lecz obywatel: że rodową własność szlachecką chcą nowotarowie zabierać, dając w zamian właścicielowi czynsz tylko jakiś mizerny, któren trudno będzie nawet egzekwować, że pod pozorem urzędu włościańskiego wprowadza się pierwiastek municypalny, tak niebezpieczny dla rządów. Nieposluszeństwo grozić będzie, lecz nie od pojedynczych włościan pochodzące, owszem od gmin, cial zbiorowych, uzbrojonych w siły materyalne wskutek zjednoczenia się w nich mas ludzi mogących się opierać, a zatém nieulegać, a zatem bunt podnosić. Historya świadczy ciągnął daléj z równą swobodą pływający po oceanie dziejów jak i po falach morskich admirał—czego gminy mogą dokazać. Dla bezpieczeństwa i trwałości wladzy rządowéj trzeba nie łączyć lecz dzielić ludzi: *divide et impera.* Menszykow oświadczał się stanowczo za systematem nadbaltyckim, to jest za wolnością włościan jedynie osobistą, bez nadania im gruntów.

Kisielew utrzymywał przeciwnie, że system krain nadbaltyckich gorszy jest od niewoli, bo daje chłopu do wyboru dwie jednako złe ostateczności: albo drogo opłacać prawa nędznego egzystowania na ziemi jego pracą uprawianéj, albo z osiadłego przejść na włóczęgę tułającego się zanim się gdzie nie przyczepi. Obywatele utworzą system dzierżaw, będziemy mieli nawet zamożnych fermerów, ale $^{9}/_{10}$ ludności przejdzie na parobków albo wyrobników. Ruchomość téj kilkomilionowéj ludności uniemożebni ściąganie z nich podatków, pobór rekrutów. Niech się zdarzy nieurodzaj albo bezrobocie, a całe te kilka milionów spadnie jako ciężar na rząd, któren bedzie zmuszony ich żywić by zapobiedz rozruchom.

Mimo opozycyi niechętnych, projekt ustawy otrzymał większość w departamentach rady państwa, wreście na posiedzeniu ogólnego zgromadzenia rady 30 marca 1842 r. sam cesarz zabrał głos w tėj materyi i miał długą przemowę, treść którėj wedle dyaryusza posiedzeń była następująca (II, 254—259).

Poddaństwo (krepostnoje prawo) jest bez wątpienia złem wielkiém i oczywistém, lecz ruszyć je teraz byłoby złém jeszcze większém i szkodliwszém. Miał tę myśl uwolnienia poddanych Cesarz Aleksander I w początkach panowania, lecz od niéj odstąpił jako od przedwczesnéj i niewykonalnéj. Jeżeli czas, w którym można będzie do téj rzeczy przystąpić, bardzo jeszcze daleki, to sama myśl o niéj byłaby występném targnięciem się na spokój publiczny i dobro państwa. Bunt Puhaczowa dowiódł do czego może dojść rozzuchwalenie się czerni. Jednakże sposób myślenia dzisiaj już nie taki jak za dawnych czasów i bystrzejszym badaczom nie tajno, że stan teraźniejszy nie może przeciągnąć się na *zawsze*. Przyczyny téj zmiany w myślach i objawów niespokojności są wielorakie: 1) nieostrożność samychże właścicieli, dających swym poddanym wyższe wykształcenie, które każe im przykrzyć swym stanem; 2) to, że niektórzy właściciele, niepomni świętego obowiązku, nadużywają władzy swéj, a marszałkowie szlachty nie znajdują środków na poskromienie ich w ustawach, które nie ograniczają władzy właściciela. Jeżeli stan teraźniejszy trwać niemoże ale i stanowcze środki zaradcze niedałyby się użyć bez ogólnego wstrząśnienia, należy przygotować przejście do innego porządku rzeczy: *nie nadając wolności*, utworzyć stan inny przechodni i związać znim zasadę nietykalności właścicielskiego (wotczynnaho) prawa do ziemi. Nowy projekt ustawy 1) nie podaje nic całkiem nowego, jest on tylko dalszém rozwinięciem i zastosowaniem ukazu z r. 1803 o wolnych rolnikach; 2) usuwa on tylko *szkodliwą* zasadę prawa z r. 1803—alienacyą dóbr szlacheckich, które powinne na wieki pozostawać w ręku szlachty, od czego j. c. mość nigdy nieodstąpi; 3) wyraża on wolę i przekonanie rządu, że ziemia jest własnością, nie osiadłych na niéj włościan, ale jedynie obywateli; 4) bez przewrotu i bez pozorów innowacyi daje możność obywatelowi ulepszyć stan włościan, nie zniewalając go do niczego, bo *pozostawia to dobréj jego woli i oddaje popędom jego własnego serca.* Cesarz wymawiał członkom rady państwa; że mimo zalecony sekret wiadomość o projekcie przeszła do wiadomości publicznéj.

Przy głosowaniu nad projektem książę D. Galicyn podał myśl nową, którą praktykowano późniéj z wielkim skutkiem na Wołyniu, Podolu i Ukrainie (inwentarze Bibikowa z r. 1847), wprowadzenie inwentarzy, któreby określiły władzę obywatela i robociznę. W pa-

miętniku barona M. Korffa zapisano, że myśl nie trafiła do przekonania cesarza. „Jestem, wyrzekł monarcha, samodzierżcą i wszechwładnym, lecz na ten środek nie zezwolę nigdy, jako też nie zezwolę, aby kazano właścicielom zawierać umowy. Rzecz cała ma być czynem tylko dobréj ich woli. Skutek pokaże w jakim stopniu można będzie przejść od dobréj woli do przymusu.“ Nowe prawo otrzymało sankcyę 2 kwietnia r. 1842 i miało bardzo ciekawe skutki.

Następstwa te były przedewszystkiem ujemne, z wielkiéj chmury spadł mały deszcz i zawiódł powszechne oczekiwania. Szły wieści z Moskwy, że obywatele wybierają się ze wsi do miast, bo chłopi niezawodnie bunt podniosą. Nic się podobnego nie stało, owszem z treści ukazu wywiązywało się to założenie, że ziemia nigdy nie przestanie być szlachecką, że włościanie nigdy swojéj skiby gruntu nie posiędą. Ochotników do korzystania z dobrodziejstw ukazu pojawiło się niewielu, a mianowicie tylko dwóch: książę M. Woroncow, któren zaczął od uregulowania stosunków wedle nowego ukazu w majątku Murino około Petersburga, ale z zamiarem zastosowania ukazu i do wszystkich innych dóbr swoich i książę Wittgenstein (662 dusze w powiecie Carskosielskim). Korespondencya w téj materyi Woroncowa z Kisielewem jest nadzwyczaj pouczająca, jako dowód niesłychanych trudności, z któremi miał do walczenia każdy ktoby chciał korzystać z ukazu. Notaryusz żaden nie chciał układać kontraktu, kancelarya marszałka szlachty nie przyjmowała podania bez precendentów w utartéj rutynie. Podanie miało przejść przez komitet ministrów, w którym ministrowie spraw wewnętrznych i dworu, Perowski i Wołkoński, przyczepiali się do szczegółów. Dla wyjaśnienia szczegółów rządcę Woroncowa indagowano co chwila, jak gdyby przy śledztwie; Woroncow błagał listownie Kisielewa o zaopiekowanie się interesem: „ocal własną dziecinę, która jest w niebezpieczeństwie; wyzwól ją z rąk czyhających na jéj zgubę filistynów. Wejrzyj w to, czy może sprawa muryńska być zahamowaną powoływaniem się na artykuły Swodu Zakonów daleko wcześniejsze od ukazu, na którym oparta moja umowa z chłopami.“ Podanie wrócone zostało Woroncowowi z komitetu ministrów dla poczynienia zmian w umowie, poczém po zawarciu nowéj umowy powtórnie wróciło do komitetu. „Teraz panowie ministrowie, pisał Woroncow, waszą robotą powinno być popychać mój interes; jeżeli się takowy przeciągnie albo nieuda, zaiste nie moja w tém wina.“

Interes doszedł do końca, dopiéro w końcu 1843 po półtorarocznych kłopotach, ale Woroncowa, odpadła ochota urządzenia prócz Murina, innych jeszcze majątków. Jeżeli taki możny i wpływowy człowiek jak Woroncow, potykać się musiał z takiemi trudnościami

przy uregulowaniu stosunku z chłopami, że ustała ochota regulowania, cóż dopiéro wnosić o innych mniéj gorliwych i wytrwałych. Przykład Woroncowa zgoła nie znalazł naśladowców.

A jednak rząd rachował, że się oni znajdą. Rząd w ciągu całego panowania Cesarza Mikołaja był bardzo wybitnie szlachecki, co licowało z górującym ogólnego kierunku konserwatyzmem. Rząd liczył na to, że wierna szlachta myśl monarszą spełni, dokona z własnéj dobréj woli, massami działając—urzeczywistni. Gdy stan szlachecki zachowywał się względem nowéj ustawy całkiem biernie, Cesarz po kilku latach oczekiwania postanowił zachęcić go do kroku naprzód,—a szlachtą, która została pierwsza poddana téj próbie, była smoleńska w r. 1847. Po wyborach dokonanych w gubernii szlachta miejscowa miała prawo słać deputatów dla złożenia przed tronem podziękowań za nadane przywileje. Zwykle rząd uchylał się od przyjmowania takich deputacyj, ale w r. 1847 zgodził się przyjąć Smoleńszczan. Przybyli w deputacyi pułkownik Forton de Verrayon i jenerał Szembel. Cesarz pochwalił szlachtę smoleńską za jéj uczucia prawdziwie rycerskie, wreście po kilku uwagach obojętnych zagaił rzecz o włościanach *obowiązanych*. „Mówię z wami jako pierwszy szlachcic w państwie; w ukazie jasnom wyraził, że zasłużona przez przodków szlachty ziemia ma pozostać naszą—szlachecką; wszakże włościanin, nie na mocy prawa lecz raczéj z długoletniego zwyczaju w stan poddaństwa popadły, nie może się liczyć za przedmiot własności a tém mniéj jeszcze za rzecz. Chcę, aby szlachta pomogła mi, przenosząc „krepostnych“ do stanu „obowiązanych.“ Wiem, że jest zarzut: kto zaręczy, iż chłopi pełnić będą włożone na nich powinności; sądy nasze złe są itd. Odpowiadam, że rękojmią pełnienia obowiązków powinny być sądy, a w nich zasiada szlachta; więc jeżeli złe są, winna szlachta, że takich złych sędziów wybiera.“ Deputaci oświadczyli naturalnie, że nie są umocowani do dania odpowiedzi. Zalecono im naradzić się z marszałkami, ale tylko pod największym sekretem (kielejno) (II, 278). Odpowiedź dojrzała dopiero w styczniu r. 1848 w kształcie dwóch memoryałów, które podał smoleński marszałek gubernialny książę Drucki-Sokoliński. Treść tych adresów do tronu była następująca.

Szlachta smoleńska pojęła z *uwielbieniem* cele ukazu 2 kwietnia 1842 r. lecz nie mogła z ukazu tego korzystać z przyczyn od niéj niezależnych, któremi są: 1) niski stopień oświecenia ludu, który swobody nie rozumie w sensie cywilnym a tylko *wolność* w sensie przyrodzonego prawa (II, 282), który nie przypuszcza, że ziemia jest własnością obywatela, ani nawet, żejest ona spółwłasnością pana i włościanina, lecz uważają ją za własność Bożą; 2) niepewność rękojmi

ubezpieczających umowę pana z włościanami, skutkiem czego upadnie produkcya, szlachta zubożeje, straty poniosą zakłady rządowe kredytowe, w których zastawione są majątki, wreszcie zrujnują się i sami włościanie. Fałszem jest jakoby w Rosyi istniała niewola; twierdzą to tylko publicyści europejscy, znający niewolę z byłego feodalnego systematu; takie twierdzenia—to tylko sofizmata, podniecane zazdrością względem Rosyi i obawą jéj potęgi. Co się tyczy nadużyć, te są wyjątkami i będą nawet po wyzwoleniu włościan, z tą tylko różnicą, że zamiast właściciela, któren dbał o dobrobyt chłopa z własnego interesu, władzę piastować będzie policyjny albo inny urzędnik, dbały o to jakby z włościan co najwięcéj wycisnąć.

Znać, że posiadacze „dusz“ ludzkich, a raczéj panowie ciał chłopskich w których te dusze pokutowały, wiele podrużowali po Europie, a podróżowali nie bez duchowéj korzyści. Pominąwszy już zbawienny wstręt do wymysłów zgniłego Zachodu, którym się każdy dobry patryota miał w podróży sposobność przejąć w należytej mierze,—toć uważmy, że ta historya Zachodu stanowiła ów bogaty arsenał, z którego wierni tradycyom przodków „dworzanie“ czerpali najpotężniejsze argumenta. Ztamtąd wzięto widmo komunizmu, tak nadające się do tłumienia wszelkiéj idei postępu; ztamtąd dowcipny żeglarz, ks. Menszyków przywiózł grozę budzący obraz gmin średniowiecznych, tając że to były gminy miejskie; nawet szlachta Smoleńska (ktoby się tego spodziewał?) tam sięgala po wątpliwe nocye o feudalizmie, niewoli i zazdrości międzynarodowéj. A feudalizm przydał się jeszcze w wiele lat późniéj, kiedy chodziło o osmaganie nas w obec Europy jako zapamiętałych wsteczników. Zaiste, wojaż to najlepsza szkoła dla człowieka. Wobec tych pożytków duchownych, któżby chciał obliczać jakieś tam straty materyalne z wywiezienia zagranicę milionów, które znój chłopski z ziemi wydobywał!

Akomodując się pozornie do myśli reformy, memoryał smoleński podawał idee niby reform, tak czczych, że wyglądały na kpiny albo na proste przeczenie; proponowano zmienić frazeologią w aktach urzędowych (dziś, w tenże sposób probują zmienić fakta etnograficzne) i pisać nie o sprzedaży *dusz*, ale o sprzedaży majątku zaludnionego tylu a tylu duszami, sprzedawać w aktach „krepostnych“ bez ziemi nie na *wywóz*, ale dla wysiedlenia; wreszcie ustanowić osobne urzędy szlacheckie (uprawy) z wybranych przez szlachtę członków pod prezydencyą marszałków dla pohamowania nadużyć panów nad chłopami. Memoryał ten podany został śród takiéj zawieruchy Europejskiéj (1848) po którój nastąpił okres przeciągłéj reakcyi, że nie odniósł skutku, albo raczéj, jeżeli rzeczy brać ściśléj, osiągnał swój cel calkowicie i wszystko zostalo po dawnemu, tylko cesarz Mikołaj

ostygł ostatecznie w chęci przyłożenia kiedykolwiek ręki do zniesienia poddaństwa.

Skutkiem całéj roboty były stosy papierów—świadki niedoszłych zamiarów i ślady osobistych starć i nieprzyjaźni pomiędzy wysokiemi dostojnikami, których kwestya włościańska miała własność roznamiętniać do najwyższego stopnia. Tak tłómaczy autor życiorysu Kisielewa, niechęć barona M. Korffa względem Kisielewa i całkowite zerwanie stosunków między Kisielewem a księciem Menszykowem. Do ostatniego z tych wypadków przyczynił się autor biografii Kisielewa, któren po obejrzeniu gubernii wielkorosyjskich złożył memoryał dowodzący, że mrzonką jest oparcie stosunku poddaństwa na obustronnéj umowie, że wyzwolenie niemożebne bez uwłaszczenia i że powołaniem jest władzy monarszéj ująć się za poddanych, prawo postawić na miejsce samowoli i otworzyć na oścież wrota moralnemu ukształceniu ludu wiejskiego. Memoryał téż nietylko nie nadawał się do druku, ale nawet do obiegu z rąk do rąk w rękopisie i poprostu narażał on autora na niebezpieczeństwo. Menszyków dostał z niego kopię i poddał ją tak ostréj i zjadliwéj krytyce, że odtąd kwita była z przyjaźni najzupełniejsza między i nim Kisielewem.

VIII.

W krótkich słowach, na mocy danych które podaje książka, możnaby stan Rosyi wewnętrzny w ciągu długiego panowania cesarza Mikołaja, w ten sposób streścić i odmalować. Powszechny zastój, a przy całkowitém prawie bezruchu członków, polip biurokratyzmu rozwijający swoje milionowe ramiona. Budziło się instynktowe przeczucie, że trzeba bądź co bądź rozwiązać kwestyę poddaństwa. Z myślą tą obchodzono się jak z prochem, komunikowano ją półszeptem, nie śmiano zajrzéć potworowi w oczy, przewidywano bowiem że ta jedna zmiana pociągnie setki innych i sprawi całkowitą metamorfozę w stosunkach stanów, w całéj ekonomii społeczeństwa, w zadaniach i środkach rządzenia, że z ryzykownéj próby wyjść musi społeczeństwo całkiem niepodobne do tego jakie istniało.

Spółczesny konserwatyzm pojmował jako normę jeden tylko rzeczy porządek, łatwo było zainteresowanym w kwestyi wytłómaczyć, że najmniejsza odmiana w statyce państwowéj i społecznéj otworzy wrota rewolucyi i że tym prądem społeczeństwo porwane zostanie do otchłani. Ścisła koalicya drobnéj mniejszości w narodzie, ale takiemi masami zwartéj, że stanowiła niby mur i dobrze uorganizowanéj krępowała olbrzymią bryłę poddaństwa, nie tylko nie da-

jąc ją ruszyć ale krzycząc na gwałt, skoro o możebności poruszenia pocichu zagadano. Z drugiéj strony był lud, w zależności prawie niewolniczéj zostający, lud któren i przed wyzwoleniem i po wyzwoleniu był, jest i będzie, przynajmniéj na czas nieprzejrzanie długi, niemowlęciem, a rzecznicy jego nieliczni, jeden niby urzędowy, z dopuszczenia władzy najwyższéj, Kisielew, inni na mniéj wydatnych stanowiskach; sporo gorących ale tających się adherentów téj idei w niższych warstwach biurokratycznego polipa;—sporo sprzymierzeńców pomiędzy profesorami, literatami, których nieśmiały głos mało znaczył, bo to byli teoretycy, ideologowie, metafizycy, niebezpieczni idealiści, mający za punkt wyjścia zakazane wówczas pojęcia ludzkiéj godności i wolności. Ponieważ prawo poddańcze było kluczem sklepienia ówczesnego porządku i kłębkiem, w którym się gmatwały poplątane pasma wszystkich kwestyj społecznych, dopóki więc ono istniało o żadnych prawach ludzkiéj osoby niepodobna było mówić; stąd łatwo zrozumiéć jakie znaczenie miała emancypacya włościan dla pokolenia, które wystąpiło jako działające po 1856 r., to jest po wojnie Krymskiéj i traktacie paryskim. Dla wszystkich była emancypacya pytaniem główném, górującém nad innemi; dla wielu była i pozostała pytaniem jedynėm, po za którym już nie dojrzeli ci fanatycy emancypacyi żadnych innych kwestyj społecznych. Po ogłoszeniu ustawy z r. 1861 wołali oni z Symeonem: *nunc dimittis*; a choć ustawa włościańska z 19 lutego 1861 r. była z wielu względów wadliwa, z powodu niedowierzania szlachcie murem odgradzająca włościan od inteligencyi, tworząca dla włościan zamknięty światek rządzony biurokratycznie, trzymali się téj ustawy jakby jakiéj ewangelii, nie dopuszczając w niéj odmiany, ani na jedną jotę, chociażby na lepsze.

Tak było w saméj Rosyi, a głównie w jéj gniazdowych prowincyach wielkorosyjskich; całkiem inaczéj było w Królestwie polskiém, które miało zupełną odrębność, całkiem inaczéj w guberniach zachodniego pasa (zapadnaja okraina), w których zwierzchnia warstwa wyróżniała się mocno narodowością, o przechowywanych tradycyjnych cechach bardzo wybitnych. W tych ostatnich guberniach, stan właścicieli ziemskich, jeśli potrącimy wyjątki, podobnież trzymał się oburącz instytucyi poddaństwa i krzyczał na targających się przeciwko świętym zasadom nietykalnéj własności. Rząd jednak nie ufał ani trochę téj szlachcie, nie wierzył w jéj uczucia wiernopoddańcze i w sprawie włościańskiéj upatrywał skuteczne wędzidło dla poskromień wszelkich powstańczych ruchów, do których przychodziła podnieta z Londynu czy Paryża. Co prawdą jest z jednéj strony Pirenejów, nie koniecznie potrzebuje być nią z drugiéj gór strony. Tu

wprawdzie gór nie było i nie ma, w tych jednak ziemiach administracyjnie zasymilowanych, ale tak bardzo różnych pod względem kultury, obyczajowości, żadne skrupuły nie wstrzymywały od użycia środków bardziéj energicznych i radykalnych, wprost prowadzących, jeżeli nie do przecięcia gordyjskiego węzła kwestyi, to do jéj posunięcia naprzód i zbliżenia do ostatecznego rozwiązania. Liczne dowody popierające to twierdzenie znajdują się w książce o Kisielewie.

W r. 1835 podany został przez Kisielewa memoryał, w którym przyszły minister dobr państwa twierdzi z własnego doświadczenia, że w r. 1815 szlachta na południu była jeszcze skromna i pokorna, ale już w 1817 zajęły ją plany restauracyi. W tych ziemiach Kisielew dopatrywał walkę dwóch sił różniących się religią: rzymskich katolików i prawosławnych; uważał za konieczne odosobnić warstwę niższą od średniéj i wyższéj i wszczepiać właścicielstwo rosyjskie z rosyan prawosławnych, nadając im dobra konfiskowane, starościńskie, poduchowne. Za przykład wzięty powiat Humański z 73 tysiącami ludności, w téj liczbie 17.000 włościan w majątkach konfiskowanych z 42 wsi złożonych. Z tych majątków, jak twierdził, możnaby utworzyć jakie 38 folwarków, rozdać je na prawie lennem 38-miu urzędnikom z głębi Rosyi, a włościan promować na obywateli, odrabiających pewną ilość roboty albo płacących pewne stałe czynsze (IV, 146). W r. 1841 nowy projekt Kisielewa popiera tę samę myśl, uzupełniając ją pomysłem fundowania w nadawanych w ten sposób ziemiach majoratów (IV, 157). Pod rokiem 1837 spotykamy w książce ciekawą korespondencyą Kisielewa z jenerał gubernatorem wileńskim księciem Dołgorukim, któren komunikuje, że na wyborach szlacheckich w Wilnie, chcąc grunt wymacać, zaproponował przez księcia Ogińskiego szlachcie, czyby nie chciała prosić rząd o wyznaczenie z pomiędzy siebie saméj komitetu, celem polepszenia stanu włościan i uregulowania stosunku poddaństwa przez określenie ilości robocizny. „Nie można wystawić, dodaje Dołgoruki, jakie przerażenie wszystkimi owładło; wyobrażali że już widzą emancypacyą, część ziem straconą, dochody uszczuplone. Najliberalniejsi, jak zwykle, najbardziéj się zlękli i stali się łagodni jako jagnięta. Przychodzili we czterech, w pięciu badać mię, czy jest jaki sekretny rozkaz od rządu. Starałem się im wbić w głowę, że powinniby kwestyą tę poruszyć i opracować razem zemną (II, 218).“ Pochwalając cele Dołgorukiego Kisielew robi pewne ekscepcye co do sposobu księcia brania się do rzeczy. Według jego zdania rząd powinien dać za wygranę respublikańsko-arystokratycznemu duchowi, którym przesiąkła szlachta, ale emancypacyą powinien tu z góry nakazać nie zaś

wymusić na szlachcie jéj przyjęcie. Prowincye nadbaltyckie okazują jawnie do czego prowadzi uregulowanie stosunku przez samychże obywateli. „Bożyszcze polaków Napoleon bez żadnéj ceremonii jednym pociągiem pióra zniósł niewolę w księstwie warszawskiem.“ Fakt prawdziwy—ani słowa, z tym drobnym dodatkiem, że Napoleon zniósł niewolę, któréj tam nie było, i że za to zniesienie dał krajowi ekwiwalent, mający pewną wartość, a zwany w danym razie konstytucyą i strąceniem jarzma pruskiego. „Nam—prawi daléj w zapale Kisielew—trzeba działać jak działała Marya Teresa i trzéj ostatni królowie pruscy. Uregulować poddaństwo w pasie zachodnim łatwiéj niż we wnętrzu cesarstwa, bo są inwentarze gospodarskie, które można zrobić obowiązującémi dla stron obu; jeżeli dodamy sądy, już będziemy mieli punkt wyjścia dla nadania praw cywilnych ludności stojącéj po za obrębem prawa. Bez wyrzeczenia słowa: *wolność* niewola zniknie, tak że niewolnicy ani się obejrzą“ (II, 221).

Sam pomysł inwentarzów był naturalny, prosty i wyborny, dający się nawet i do ziem wielkorosyjskich zastosować; w radzie państwa, jak wiemy, podnosił go nawet ale bez skutku ks. Galicyn w dyskusyi o włościanach obowiązanych (1842). W przyłączonych od dawnéj Polski prowincyach wzgląd na szlachtę nie krępował działań rządu, owszem polityka kazała trzymać ją w grozie, a system panujący wydzierżawiania dóbr skarbowych z wyszczególnieniem robocizn w inwentarzu, dawał pochop do zaprowadzenia przymusowego takich że inwentarzy w majątkach obywatelskich. W r. 1840 18 lutego otrzymał aprobacyą projekt Kisielewa (II, 311), aby w przypadkach dość częstych wzięcia pod opiekę majątków za rozrzutność albo za złe obchodzenie się z chłopami, wprowadzać do tych majątków inwentarze; wkrótce środek ten uogólniono i rozkazem z d. 23 kwietnia 1840 r. polecono ministrowi spraw wewnętrznych, wypracowanie prawideł dla sporządzenia inwentarzy we wszystkich majątkach obywatelskich zachodniéj strefy Cesarstwa (II, 318); z wielkorządców jeden tylko kijowski D. Bibikow dokazał, że na jego energiczne naleganie, zostały zatwierdzone 26 maja 1847 r. prawidła względem inwentarzy, prawidła tendencyjne, obrachowane na to, aby jątrzyć nie zaś łagodzić stosunek; mimo to, ułatwiły inwentarze sporządzone na zasadzie tych prawideł, robotę komitetów w sprawie włościańskiéj na Wołyniu, Podolu i Ukrainie oraz samo wprowadzenie reformy roku 1861.

Z inwentarzami na Litwie i Białéjrusi nie umiano sobie poradzić tak prędko, rzecz poszła w odwłokę, nie została załatwioną aż do wojny krymskiéj, śród któréj w maju 1855 po gorących i gorszących, wedle zapisek Kisielewa, debatów postanowiono kwestyą tę,

jako nie na dobie będącą, odroczyć na czas nieograniczony (IV, 235). Kisielew narzeka na nieudolność prezydującego ks. Czernyszewa, na rozognienie namiętności i takie zamieszanie w radzie państwa, że posiedzenie miało podobieństwo do giełdy (II, 315). Te narzekania pochodzą od człowieka stronnego, którego ustami przemawia duch partyi. Zdanie większości, do któréj należał, zaiste nie stronnik prawa poddańczego, ekonomista Tęgoborski, motywowane jest niezmiernie przekonywająco i logicznie. Wedle tego zdania, chodzi o to, aby zamiast wiekami utrwalonego stosunku patryarchalnego wprowadzić inny prawny z ograniczeniem władzy właściciela, z porównaniem poddanego z panem przynajmniéj przed sądem i z udzieleniem pierwszemu możności prawowania się z ostatnim. Jeżeli każdemu trzeźwo patrzącemu nie tajno, że rdzenna reforma musi kiedyś nastąpić, należy przecież zważyć, że wszędzie, gdzie podobne przewroty wynikały nie z przyczyn zewnętrznych to jest z powstania, lecz z woli samego rządu, działy się one śród głębokiego pokoju, umożebniającegoześrodkowanie w podobném przedsięwzięciu wszystkich sił rządowych. Śród wojny, zwiększonych poborów rekruta, powinności i podatków, poruszenie kwestyi włościańskiéj zachwieje wielkie gospodarstwa, a głównie uszczupli władzę policyjną obywateli, dla zestąpienia któréj wypadnie kreować wielką masę urzędników. Inwentarze nie zadowolnią ani obywateli ani chłopów. Jeżeli niepodobna być pewnym, że w obywatelstwie tém nie ma ludzi nieprzyjaznych dla Rosyi i do odpadnięcia gotowych, niepodobna téż nie przypuścić, że i włościanie ujrzawszy w inwentarzach bardzo małą ulgę i zawiedzione nadzieje, znajdą w nich pochop do ruchów i nieposłuszeństwa. Cesarz przychylił się do tego zdania większości (IV 237).

Bardzo ciekawą ilustracyą do rządowéj polityki w kwestyi włościańskiéj, specyalnie tylko w guberniach zachodnich, stanowi rzecz o niewydzierżawianiu nadal zaludnionych majątków obywatelskich, w któréj się starli Bibikow z Kisielewem. Nietyczył się ten projekt wewnętrznéj Rosyi, bo chociaż absenteizm obywateli był tam jeszcze większy niż w pasie zachodnim z powodu znaczniejszéj ilości wielkich właścicieli, albo w służbie rządowéj zostających, albo w stolicach i wielkich miastach stale zamieszkałych, lecz nie prowadzili zwykle ci panowie wielkich gospodarstw pańszczyznianych, lecz trzymali tylko burmistrzów czy oficyalistów do ściągania co największych z włościan *obroków*. Chodziło Bibikowowi nie tyle o włościan, ile o wzięcie w kluby i o przetrzebienie stanu, uważanego przezeń w masie za nieprzejednanie wrogi względem państwa. Chlubił się Bibikow w mowie do szlachty kijowskiéj, że ją zredukował, że daw-

niéj szlachtą byli i pan, któren jechał w karecie, i kucharz jego i lokaj i furman; lecz to pospolitowanie się stanu ustało po zlustrowaniu dowodów szlachectwa przez heroldyą. Bijąc na to, że głównem źródłem zubożenia włościan poddanych jest wyzyskiwanie ich przez chciwych dzierżawców, wielkorządca proponował dla właścicieli rodzaj pewnéj *glebae adscriptio*, to jest aby majątkami rządzili koniecznie oni sami osobiście. Jedyne ustępstwo, które Bibikow dopuszczał w końcu jako kompromis polegało na tém, aby brać w dzierżawę majątki pozwolone było tylko patentowanéj przez heroldyą utwierdzonéj szlachcie. Dowody te trafiały do surowych przekonań cesarza Mikołaja, któren zamierzał postanowić, aby każden majątek obywatelski, nie przez właściciela rządzony, oddawany był podług sporządzonego inwentarza pod zarząd izby dóbr państwowych, któraby dochody z niego wypłacała właścicielom. Daremnie przekładał Kisielew, że niesłusznie w ten sposób karać właścicieli, którzy znajdują się w służbie rządowéj, że dobry i zasobny dzierżawca lepszy niż niezaradny właściciel, że niemoże w każdym z majątków mieszkać i gospodarzyć ten kto ich dużo posiada, że dzierżawca przedzierzgnie się w pozornego rządcę albo plenipotenta, że izby dóbr państwowych mają dość do czynienia z 650.000 „dusz“ włościan rządowych, włościan zaś poddanych obywatelom liczą w kraju zachodnim do 5 miljonów; że częściowémi środkami nie da się stan chłopów poprawić, a należałoby uchwalić ogólną ustawę, któraby włościan poddała opiece prawa. Gdy Bibikow został ministrem spraw wewnętrznych nie przestał on nalegać o przyjęcie projektu. W r. 1853 obradowała o tym projekcie rada państwa i uchwaliła zakaz wydzierżawiania majątków po 1 stycznia 1859 r. Cesarz Mikołaj termin ten zredukował do 1 stycznia 1857 r. (II, 320). Tymczasem zaszła wojna krymska, potém emancypacya włościan, z emancypacyą ustawał powód do wzbronienia dzierżaw w dobrach, od których oddzielono chłopów z ich gruntami. Wynagradzając niejako właścicielom szlachcie ich ponoszone przez emancypacyą straty i uszczuplenie w posiadłościach ustawa z d. 19 lutego 1861 r. nietylko dopuściła dzierżawy w niezaludnionych już dobrach, lecz powiększyła ich najdłuższy termin we troje z 12 do 36 lat.

IX.

Z działalnością Kisielewa jako ministra dóbr państwa załatwimy się po krótce. Rząd mało dbał o włościan skarbowych: przy Katarzynie rozdawano ich ulubieńcom dziesiątkami i setkami tysięcy, za

Aleksandra I formowano z nich niefortunne kolonie wojskowe (wojennyja posielenia), za ministra finansów Kankryna rząd zapatrywał się na nich ze stanowiska fiskalnego. Włościan skarbowych liczono 8 mil. „dusz“ męskich zapisanych w rewizyi (II 158), chłop w tych włościach zubożony nie płacił podatków, rozpajany rozmyślnie przez dzierżawców monopolu szynkownego czyli tak zwanych *odkupszczyków*, zniewalających włościan, przy pomocy urzędników skarbu, przymusowo do kupowania pewnéj ilości wódki na chatę. W 1857 r. w guberniach wielkorosyjskich liczono jeden szynk na 2.700 dusz w majątkach prywatnych, a na 700 dusz w majątkach rządowych. Rządzący włościanami wydział gospodarczy w izbach skarbowych w gubernii był bardzo zaniedbany, powiatowych organów zarządu niebyło; w celach czysto fiskalnych dla ułatwienia poborów istniały uorganizowane gminy sielskie, łączone w jednostki wyższego porządku czyli *włoście* z wołostnemi na czele hołowami i sielskimi starostami obieralnymi. Na wiecach czyli schadzkach chłopskich żadnych pierwiastków przedstawicielstwa, schadzkę ze wszystkich gospodarzy zbierał hołowa czy starszyna kiedy chciał, zwykle zmówiszy się z szynkarzem; taż chłopska starszyzna odpowiadała własną można rzec skurą za podatki. Wedle ukazu z 19 maja 1769 r. kazano brać do więzienia starostów i wybranych przez chłopów (w rodzaju naszych ławników) oraz używać ich do robót dopóki sioło nie uiści się z należności. Solidarna odpowiedzialność ciążyła na całéj gminie sielskiéj, było więc we zwyczaju peryodyczne przez zjeżdżającą policyą wybijanie rózgami podatków z członków gminy poddawanych téj operacyi wszystkich co do jednego (II, 30).

Po uformowaniu w r. 1837 odrębnego ministeryum dóbr państwa, miał Kisielew otwarte pole dla okazania właściwych sobie talentów sprężystego i oględnego administratora, zwłaszcza że nie żądano od niego powiększenia dochodów, ale jedynie tylko okazania czynem jak należy gospodarować: aby włościan i wzbogacić i umoralizować za pomocą co najenergiczniejszych ukazów, instrukcyj, masy urzędników i całego przyrządu środków biurokracyi. Z dawniejszych mglistych marzeń liberalizmu, pielęgnowanych w młodości, pozostało już bardzo niewiele w mężu stanu i ministrze cesarza Mikołaja w epoce, w któréj liberał znaczył to samo co rewolucyonista. Przechował się jednak w tym charakterze nietknięty rys jeden: poczucie obowiązku ujmowania się opiekuńczego za prosty lud wiejski, względem którego z urzędu grał Kisielew demokratyczną rolę obrońcy i rzecznika. Kisielew był najmocniéj przeciwny szybkiemu zwiększeniu dochodów państwa. Zwiększać podatki, wedle opinii jego, można, ale nie zabierać ubogiemu ostatki; „każdy nad miarę wymożo-

ny rubel na rok przynajmniéj opaźnia rozwój kraju ekonomiczny (II, 177);“ ztąd téż pochodzi, że po Kisielewie nie trudno było następcy jego Murawjewowi podnieść w r. 1857 sumę podatków z włościan skarbowych z 42 na 57 milionów, a następcy Murawjewa Zelenemu powiększyć sumę samych czynszów z ziemi (obrocznaja podat’) z 24½ m. na 32. Zwiększenie kosztów administracyi i znaczne powiększenie ilości urzędników nie obchodziły Kisielewa wcale. W gubernii miało ministeryum organ—izbę dóbr państwa, między nią i włością a gminą sielską stanęli jak pośrednie organy liczni naczelnicy okręgowi, prowadzący gromady chłopskie na pasku. Szczególniejszą zasługę Kisielewa stanowiło, że nie tylko gromadę sielską zachował, ale ją uorganizował i kazał się jéj sądzić i rządzić, pod zwierzchnią naturalnie opieką okręgowych; uporządkował wybory, rozkład pomiędzy członków podatków, kolejne odbywanie rekrutowania, magazyny zapasowe wiejskie, nakoniec sądy. Wcale niezły kodeks karny o przestępstwach popełnionych przez włościan skarbowych zajął miejsce w 12 tomie Swodu zakonów, gdzie obowiązuje dotąd a przydał się jako pożyteczny materyał dla ułożenia kodeksu karnego dla dzisiejszych sądów pokoju. Staraniem Kisielewa rozpoczęta na wielką skalę robota kadastru w dobrach rządowych, celem obrachowania ilości czynszu płaconego przez włościan wedle czystego dochodu z gruntów (dotąd ten czynsz czyli *obrok* płacony był z „duszy rewizskiéj“ i zlewał się z pogłównem).

Mimo insynuacyi przeciwników, że minister dóbr państwa wprowadza niebezpieczne dla monarchizmu pierwiastki samorządu (II, 172), mimo szydercze sądy innych, że wielkie innowacye ładnie wyglądają tylko na papierze, a w gruncie są tylko *chateaux en Espagne*, łaska cesarska dla ministra rosła bez przerwy, budząc nie małą zawiść pomiędzy kolegami. W roku 1840 został Kisielew mianowany hrabią, w 1841 otrzymał order św. Andrzeja najpierwszy w Rosyi. W ogóle trzymał się butnie, imponował i celował w sztuce ostrego odcinania się. Za dowód jak dużo sobie pozwalał, niech służą następujące wyjątki z pamiętników barona Korffa pod r. 1845.

W radzie państwa Kankryn zarzucał, że powiększenie się dochodów z dóbr państwa nie odpowiada strasznemu zwiększeniu się kosztów administracyi.—Kisielew odparł: „Jako istny rosyanin i wierno-poddany objąłem zarząd nad włościanami skarbowymi nie na to, aby się przysłużyć nagłém zwiększeniem dochodów skarbu, lecz na to, aby nasamprzód podnieść ich dobrobyt i sądzę, że więcéj dbam o moję ojczyznę, aniżeli ci, którzy w swoich przedsięwzięciach mają na oku głównie korzyść swoję osobistą.“ Z téj repliki, dla któréj

punktem wyjścia jest związek między etnografią a finansami, któréj rezonowanie opiera się na argumencie *ad hominem*, ale która właśnie swą nieparlamentarną formą tak dobrze nieparlamentarnym czasom i miejscom odpowiada, z téj repliki czytelnik dowiaduje się że mówca był rosyaninem, a domyśléć się winien, że przeciwnik był niemcem.

Innego razu, broniąc wielce niesłusznéj w gruncie zasady, że skarb nie może nic stracić przez przedawnienie, Kisielew popierał ją znowu swoim bardzo nieparlamentarnym sposobem: „Wiem, że mówię jeden przeciwko wszystkim, nie znajdując współczucia; podtrzyma mię chyba minister sprawiedliwości *pełniący w tém swoją powinność*....“ Ogólne szemranie przytomnych: „tak mówić niepodobna, czyż i my niepełnimy powinności,“ przerwało na chwilę zaciekłego mówcę, który bynajmniéj tém niezmięszany dodał: „Wiem, że opinia dziś publiczna wszędzie i zawsze obstaje za obywatelami (pomieszczykami) i prywatnymi ludźmi; lecz jam się oddawna poświęcił na ofiarę, nie przestanę bronić praw skarbu i pełnić mojéj powinności jak ją pojmuję.“ Przy wotowaniu Kisielew został przy swojém zdaniu prawie sam jeden. Książe Wołkoński do takiego stopnia był jego postępowaniem obrażony, że prosił cesarza Mikołaja o uwolnienie go od uczestniczenia w posiedzeniach rady państwa, temi słowy: „Mój wiek i moja służba nie pozwalają mi słuchać nauczek od ludzi, którzy jeszcze służyć nie zaczynali, kiedy my byliśmy już jenerałami.“ Czytając to, trudno uwierzyć że w tym kraju księgi genealogiczne (rodosłowne) publicznie kiedyś spalono, wszak widzimy, że „miestniczestwo“ lubo w innéj szacie, żyło nieśmiertelne. Cesarz znalazł, że dwóch jest winowajców: Kisielew i ten co prezydował na posiedzeniu—Lewaszow, ponieważ Kisielewowi nie kazał zamilczéć. „Ja im obu tak zmyję głowę — dodał — że to się niepowtórzy.“ Mimo udzieloną obu naganę, oba otrzymali tegoż roku brylanty na order św. Andrzeja (II, 159).

X.

Po zawarciu pokoju paryskiego, cesarz Aleksander II-gi 1 lipca 1856 r. wymógł prawie na Kisielewie, blisko 70-letnim starcu, iż zgodził się na przyjęcie posady posła w Paryżu, tak ważnéj dla odnowienia przyjaznych stosunków z dworem i gabinetem Napoleona III-go: „Żądam od was nie przystania na moję propozycyą, ale uczynienia z siebie ofiary.“ Wydalenie się hrabiego Kisielewa z Petersburga przecięło od razu bezpośredni wpływ jego na przebieg najważniejszéj sprawy w polityce rosyjskiéj wewnętrznéj, to jest na kwestyą eman-

cypacyi włościan. Trudno odgadnąć, jaką by on grał rolę w reformie; stary szermierz nie byłby może na wysokości nowéj sytuacyi, wymagającéj śmiałego rzucenia się naprzód, bez oglądania się na stronę ani w tył. Posiadamy memoryał Kisielewa, odradzający natychmiastową emancypacyą ze względu na to, że nie przypuszczał możności emancypacyi włościan z uwłaszczeniem ich, nie miał zaś pojęcia o finansowéj operacyi wykupu gruntów włościańskich (II, 332).

Po emancypacyi hrabia Sumarokow pisał (5 czerwca 1861) do Kisielewa: sans exegération vous pourriez vous considérer comme débordé d'après la manière dont cette question fut emmanchée chez nous.—Na co ambasador odpowiedział: quant à la question nationale du jour je me trouve en effet *débordé*.— Główną osobą wprzężoną do téj roboty, mającéj olbrzymią doniosłość, był prawie uczeń, siostrzan Kisielewa, w którym upatrywał on prawie samego siebie odrodzonego, dodajmy daleko ryzykowniejszego i energiczniejszego—M. Milutyn. Kisielew winszował sobie, że los na starość uwolnił go od ciężkiéj pracy przy dokonaniu: de cette lourde besogne qui pourtant devrait m'appartenir (II, 355). — Nous avons dé bouché la bouteille et nous avons remplie notre mission, à d'autres maintenant à la reboucher (III, 73). Metafora to trącąca restauracyą, nie burbońską jednak, nie legitymistyczną, ale rastauracyą Very'ego lub Trois frères Provencaux.

Od chwili wyjazdu za granicę notatki Kisielewa codzienne stają się coraz ciekawsze i szczegółowsze, pełno w nich spostrzeżeń trafnych, słówek dowcipnych, drobiazgów anegdotycznych; niby w szajne-katarynce, przesuwają się w dezabilu (prawie à la Zola) lekko naszkicowane rzeczy i ludzie rosyjscy i francuzcy.

„Przybył do mnie Murawiew— pisze Kisielew — i sypiąc kwiaty na moje rządy w ministeryum dóbr państwa, chwalił w końcu tylko to, co zrobił sam. Chciało mi się rzec jak Tyberyusz Varusowi: oddaj 16 milionów rubli kapitałów gromadzkich, które były w kasach, gdym odchodził, a których już podobno niema (III, 312). — Hrabianka Bludowa tłómaczyła mi swój pogląd na politykę wschodnią. Jestto niesensowna mieszanina dobrych religijnych i patryotycznych zachceń z całkowitą nieznajomością tego co w polityce możebne" (III, 313).

Trafnie to charakteryzuje tę fantastyczną niewiastę, która doczekała się czasów, kiedy ku zdziwieniu świata „niemożebne w polityce" stało się jeśli nie zupełnie możebném, to przynajmniéj próbowaném na seryo i przez Murawiewa i przez hrabiankę i przez Kisielewowskiego siostrzeńca i przez wielu innych do mniéj wytwornéj sfery towarzyskiéj wchodzących.

Kisielew opisuje między innemi jak w Fonténebleau na murawie przed publicznością, śród któréj były głowy ukoronowane, marszałkowie Magnan i Péllissier tańczyli kankana, a Napoleon III śpiewał tłuste piosenki (III, 16); jak księżna Matylda, nazywając brata swego księcia Napoleona *mauvais drôle* (III, 286), ujmowała się jednak za nim, gdy l'imperatrice l'a traité l'autre jour avec une grossiereté inconvenante (III, 229); jak tenże książe gdy arcybiskup paryski przybył spowiadać umierającego jego ojca (Hieronim B. najgorszy wedle Guizota z Bonapartów, co pomarli, a najlepszy z tych, co zostali) wołał na służbę: nie puszczajcie ces misérables cafards (III, 173); co plotła w poufnych gawędach cesarzowa Eugenia o polityce; jak trudno zgadnąć co się dzieje pod ołowianą maską tego sfinksa (Napoleona III), którego przygasły wzrok tak rzadko się ożywia, któren nigdy nie straci flegmy, nie podnosi głosu, nie sierdzi się i raz tylko w życiu podobno gniew okazał, gdy izby odmówiły dotacyi Montaubanowi (Palikao) (III, 186, 318). Na prośbę tego sfinksa zwróconą do Kisielewa, aby opowiedział jak był prezentowany Ludwikowi XVIII na drugi dzień po jego śmierci, opowiadał poseł rosyjski, jako zaproszono go nie po śmierci, ale na dwa dni przed śmiercią króla na audiencyą w tym tylko celu, aby wydrukować potém w Monitorze wiadomość, że król przyjmował jenerał-adjutanta cesarza Aleksandra I-go; więc jeszcze żyje. Było-to we wtorek, a król umarł w piątek: uczesano króla, upudrowano i przywieziono na krześle do wielkiéj sali Ludwika XIV. — Niewidziałem nigdy — dodał opowiadający — aby ktokolwiek obchodził się w bardziéj nieludzki sposób z umierającym (III, 206).

Oprócz anegdotycznych szczegółów, mają te notatki wielki interes historyczny, służą za źródło, rzucają światło na wielkie wypadki europejskie. Interes ten słabnie stopniowo z latami, bo posuwającemu się w latach mężowi stanu ubywa stopniowo na bystrości sądu i ruchawości umysłu. Największego interesu pełen jest okres od 1856 do wojny włoskiéj 1859 roku. Oto naprzykład rady, które podawał Kisielew cesarzowéj w Berlinie 29 lipca 1857 (III, 32).

„Skorzystałem z rozmowy, aby wtrącić, że skoro raz kto stąpił na drogę postępu, nie może już cofać się i dyskredytować władzę wahaniem, które u nas szkodliwsze niż gdziekolwiek bądź; że trzeba naprzód wiedziéć czego chcą i na ile chcą, że przebyte zahamowanie wszelkiego postępu ma służyć za naukę, że trzeba umiéć miarkować (enrayer), lecz nie wstrzymywać postęp, że drogi żelazne, bez których obrona kraju niepodobna, są potrzebą czasu, lecz ich wprowadzenie do Rosyi stworzy nowe warunki życia w pewnych względach niedogodne, z któremi trzeba sobie poradzić, że wolne

wydawanie zagranicznych paszportów, zmiana taryfy, zmniejszenie procentów, wreszcie prace około emancypacyi włościan są to tylko pierwsze słupki wytyczne (jalons) nowéj fazy dla Rosyi; że robota będzie bardzo wielka i bardzo trudna; że trzeba brać się do niéj odważnie i być przygotowanym na mnóstwo zawodów (mécomptes), że trzeba podnieść się do wysokości roli przez opatrzność przeznaczonéj dla panującego, a głównie trzeba unikać przechylania się raz w jedną, drugi raz w drugą stronę, bo to zachwiewa wszelką ufność względem rządu. Raczéj nie zaczynać, niżby wstecz się cofać; szkodliwe to jednakowo i w wewnętrznéj i w zewnętrznéj polityce. Rozmowa ta półgłosem trwała przez cały obiad. Nie wiem czy byłem oceniony i pojęty, lecz zrobiłem to w interesie kraju, a zatém i dynastyi. Może kiedyś przypomną— i to będzie wygrana. W Petersburgu taka rozmowa byłaby niepodobieństwem.“

Wielkiéj wagi w tymże 1857 roku we wrześniu było spotkanie się dwóch cesarzów na neutralnym gruncie u króla Wirtembergskiego w Sztutgardzie. Francya chciała szczerze zbliżenia się do Rosyi i okazywała wielką niechęć względem Austryi. W maju 1857, w czasie bytności W. Ks. Konstantego w Paryżu, Napoleon III zarzucał kwestyą czy nie chce Rosya przyłączyć do swoich krajów Galicyą. Obaj monarchowie rosyjski i francuzki oświadczali swoje rzekome zadowolenie ze zjazdu Stutgardzkiego, francuzcy wszakże autorowie (Taxile Delord) przytaczają jakoby słowa oburzenia cesarza Aleksandra II po widzeniu się z Napoleonem III: on a osé me parler de la Pologne. Kisielew, którcn był na zjeździe i wszystko notował, ani słowa nie przytacza o tego rodzaju rozmowach, stąd sama rozmowa w téj materyi podlega jeszcze wątpliwości, którą w przyszłości może kto inny ze spółczesnych rozstrzygnie.

Poseł rosyjski miał trochę przesadzone, zbyt wysokie wyobrażenie o potędze i trwałości dynastyi napoleońskiéj, nie podobna jednak nie przyznać trafności uwagom Kisielewa, że instynktowy wstręt Napoleona III ku intelligencyi, a szczególniéj ku wpływowym resztkom partyi orleańskiéj, był błędem z jego strony wielkim, a jak się okazało późniéj, zgubnym, bo właściwiéj byłoby pociągnąć ku sobie conajwpływowszych ludzi czynu zeszłego panowania, chociażby na to tylko, aby sprawić rozprzężenie się téj plejady ludzi do działalności przywykłych i przykrzących sobie nieczynność, ale wola monarchy ulega interesowanym zabiegom jego otoczenia, co jest fatalném następstwem jéj pochodzenia.

Po zamachu Orsiniego sfinks tuilleryjski majaczył i grał podwójną rolę rzucając tajemnicze niepokojące słowa, w mowie do ciała dyplomatycznego na Nowy rok 1859 i w mowie przy otwarciu izb,

w któréj kończył z naciskiem, że jego stosunek względem cesarza rosyjskiego *a plus le caractére dela plus franche cordialité.* Były to blichtry, równie jako i układy bardzo czynne na pozór co do kongresu europejskiego dla załatwienia spawy włoskiéj, zaproponowanego przez rząd rosyjski. Prawdziwy wątek sprawy włoskiéj snuł się w głębokiéj tajemnicy pomiędzy Napoleonem i Cavourem, któren przyjeżdżał 26 marca 1859 roku do Paryża, ale u Kisielewa niebył (III, 96). Szkodliwa osobistość, zanotował poseł, cesarzowi nienależałoby się jemu zwierzać (117). Poseł zaczyna domyślać się, że le sphinx pourrait n'être qu'un jongleur. Pamiętniczek jego pełen gorzkiego pesymizmu: można cały świat zawichrzyć, gdy zamiast drążka służy spryt własny, a za punkt oparcia się cudze głupstwo (III, 88). Drugie cesarstwo zamierza urzeczywistnić swoje idee; prawny porządek ma być oddany na ofiarę. Traktaty międzynarodowe europejskie mają być zastąpione przez mądrość polityczną, któréj wygłoszeniem potentat paryski cały świat zadziwił. Tradycye Napoleona I wstają z martwych (III, 98). Teorya narodowości płuży tylko demagogom, wstrząsającym podstawy społeczeństwa, ale nie nada się panującym, którzy chcą budować. Cesarz stojący na czele nowatorów powinien zaniechać myśli ufundowania dynastyi, owszem narazić się na wszystkie przypadkowości socyalnych rewolucyj? Czyż może on na seryo myśléć, że masy ludowe, pytane przez powszechne głosowanie, by sobie rząd nadały, oszczędzą jego władzę i tron. Chciałbym aby wypowiedział się on ostatecznie czém być chce: monarchą fundatorem dynastyi czy wściekłym trybunem? (III, 198).

Stosunki dworów petersburskiego i paryskiego mocno popsuły się i ochłodły po wojnie włoskiéj; nie mogły ich poprawić proponowany Rosyi przez Francyą już wtedy Batum dla zaokrąglenia posiadłości zakaukazkich. Kisielew skarżył się, w styczniu 1860 r., że trzyletnie jego prace około skojarzenia aliansu rosyjsko-francuzkiego chybiły (153). Nieco przedtém w październiku 1859, przy widzeniu się z Kisielewem w Warszawie, cesarz Aleksander II-gi uprzedzał go względem Napoleona III-go, że *ses allures ne sont pas corréctes.* Kisielew asystował w Warszawie w październiku 1860 r. zjazdowi dwóch cesarzów: rosyjskiego i austryackiego, oraz regenta pruskiego, uchylił się od zrobionéj mu propozycyi zostania prezydentem rady państwa, wrócił do Paryża, miał mnóstwo nieprzyjemności z powodu podjętéj sprawy polskiéj, mającéj gorącego orędownika w księciu Napoleonie, wreszcie podał się do dymisyi w maju 1862 r. Stanowisko po nim zajął w Paryżu baron Budberg. Kisielew tak przywykł do Paryża, że już na stałe w nim zamieszkał. Przeżył on i siostrzana swego M. Milutyna tkniętego uderzeniem krwi do mózgu

w 1866 i upadek Napoleona. Wojna francusko-pruska zniewoliła go do przeniesienia się na mieszkanie do Ouchy nad jeziorem genewskim, koło Lozanny. Umarł w Paryżu 25 listopada 1872 roku.

Autor życiorysu Kisielewa, Zabłocki-Desiatowski kończy swoję pracę słowami pamiętnika byłego ministra i posła, pisanemi na kilka miesięcy przed śmiercią a malującemi dosadnie przekonania sceptyczne prawie ateuszowskie starego filozofa, które trącą jeszcze wiekiem XVIII, Kisielew zapisał je z powodu fajerwerku widzianego w Ouchy: „Blask chwilowy, dym potém, następnie nicość, konieczny wynik wszystkiego co miało początek. Nieśmiertelném jest tylko co niema początku: Bóg czy natura.“

Zanim skończyliśmy to pobieżne sprawozdanie, przeniósł się do wieczności biograf Kisielewa Zabłocki Desiatowski zmarły 4 stycznia 1882 n. st. w Petersburgu. Skrzętnie zebrane, obfitujące w szczegóły, podobne do mozaiki dzieło Zabłockiego Desiatowskiego, niezawodnie jest jedném z najobfitszych wydanych dotąd źródeł do dziejów panowania cesarza Mikołaja.

ZAMIAST KRONIKI.

W ciągu ubiegłego miesiąca prasa nasza zajmowała się tak zwaną kwestyą żydowską dosyć żywo, nie do takiego jednak stopnia, ani tak wyłącznie, aby już należało obawiać się „pogrążenia w stan społecznego hypnotyzmu“ i zapobiegać temu przypomnieniem, że u nas nietylko stosunki żydowskie potrzebują reformy i poprawy. Temu ostatniemu zdaniu nikt bezwątpienia nie zaprzeczy, ale i to prawda, że do wspomnionéj przestrogi nie było dostatecznego powodu. Wszakże w tym czasie czytaliśmy studya nad garderobą Sary Bernard, tak gruntowne i nacechowane taką erudycyą, że niemal wdzięczność czujemy dla dyskretnego badacza, iż ograniczył się na szczegółach zewnętrznych i od niewidzialnych nas uwolnił; wszakże jednocześnie poświęciliśmy na ołtarzu krytyki teatralnéj wiele słów i papieru, wykazując przytém istotną głębokość umysłu i zadziwiającą subtelność spostrzeżeń. Nie koniec na tém, boć znaleźliśmy czas i miejsce do kruszenia kopii za „głosowaniem z listy“ i dokładnego obliczenia szans, jakie projektowana liga arabska w północnéj Afryce ma przed sobą. Z tych kilku przykładów (a jakże nam daleko od zupełnego ich wyczerpania) czytelnicy przekonać się mogą, za wcale do martwego zapatrzenia się w jeden punkt nie jesteśmy skłonni, że raczéj ruchliwość i uniwersalność przyznaćby nam wypadało; nie ma téż dotąd wcale obawy, aby nas kwestya żydowska zhypnotyzować mogła.

Obowiązkiem prasy jest nietylko, jak zwykle mówią, poruszać kwestye ale je badać, wyświetlać, dyskutować, dążyć do wszechstronnego, o ile to być może, ich poznania. Na to trzeba pewnego czasu, trzeba wysłuchania głosów z różnych obozów wychodzących, trzeba może postarać się o odpowiednie cyfry statystyczne, któreby temu lub owemu głosowi dały podstawę faktyczną. Dotąd czytaliśmy tylko mniéj lub więcéj udatne improwizacye, dobremi bez zaprzecze-

nia chęciami podyktowane; przedwcześnie więc dzwonić na zamknięcie dyskusyi pierwéj zanim się rozpoczęła.

Zaburzenia uliczne, których nikt się u nas nie obawiał, nikt prawie ich możliwości nie przypuszczał, wykazały dotykalnie, jak mało wiemy o prądach, które w sferach ludności miejskiéj, mało lub wcale nieoświeconych, krążą i do gwałtów je popchnąć są w stanie; opinie zaś, z jakiemi, po tych wypadkach, można się było tu i owdzie spotkać czasem śród sfer uchodzących za oświecone, budziły wątpliwość, azali wszyscy w tych warstwach mają świadomość instynktów, jakie gnieżdżą w nich, w stanie utajonym zwykle. Słysząc pewne głosy, zdawało się, że powszechnie uznane zasady moralności przeszły przez sito wielce podejrzanéj kazuistyki. Naturalném następstwem burd ulicznych było obustronne rozdrażnienie: w żydach—gdyż na nich zawierucha uderzyła bezpośrednio, o czém nie żydom pamiętać należy; —wśród chrześcian, bo—cokolwiek by tam mówiono, dla pocieszenia się, o hołocie i fusach społecznych—taić przed sobą nie mogli, że z pomiędzy nich wyszedł kontyngens napastników, że ta hołota sama się za chrześcian uznaje. Wstyd i poczucie niemocy w zahamowaniu napaści łatwo rozdrażnienie po téj stronie tłómaczą. Żydzi rozumiéć to powinni.

Nie potrzeba dowodzić, że obok wsparcia pokrzywdzonych, pierwszym obowiązkiem było używać na rozdraźnienie środków łagodzących czy to w stosunkach prywatnych między jednostkami, czy—tém bardziéj—na widowni publicznéj, jaką jest dziennikarstwo. Tu, każdy, zabierający głos w téj kwestyi, winien był jasno zdawać sobie sprawę z położenia, które wytworzyły wypadki. Taić się z przekonaniami, maskować je—byłoby szkodliwym błędem, ale między tajeniem przekonań a dawaniem folgi uprzedzeniom przestrzeń jest znaczna, a na niéj dość miejsca do rozpraw choćby najgłębszych, byle chłodnych, rozważnych, objektywnych. To, co temi czasy czytać nam się zdarzyło, nie zawsze wspomnionych granic strzegło, nie zawsze téż odznaczało się tą odwagą i szczerością do których jednocześnie zachęcało. Prawda, w pismach czasowych potępienie wybuchu ulicznego było powszechne i jednomyślne, ale charakteryzowanie go i towarzyszące temu refleksye chromały niejednokrotnie.

Czytaliśmy np. do wzmianki o rabunku i uiszczeniu rzeczy żydowskich przyczepioną uwagę, tyle skuteczną co *woda uśmierzająca* Raspaila, że „przeciwko osobom gwałtów dopuszczano się wyjątkowo tylko (kto wie, czy nie dla udowodnienia tych dwóch głębokich prawd, że *nulla regula sine exceptione*, że owszem *exceptio firmat regulam*), a nawet gdy się ich dopuszczano, czyniono to, jak się wyrażał jeden z najwybitniejszych bankierów i finansistów warszawskich,

„z pewną dobrodusznością.“ Otóż i nowa dziedzina dla autorytetu bankierskiego... odkryta przez tych, którym niedawno jeszcze ten autorytet w rzeczach bankowo-kredytowych podejrzanym się wydawał. Dotychczas podobno kwestya dobroduszności należała do psychologii, o gwałtach i rabunkach decydowały sądy z pomocą policyi, a bankierzy—o kurscetlach. My ze słów „jednego z najwybitniejszych finansistów“, jeżeli były tyle szczere ile dyplomatyczne, ten jeno wniosek wyprowadzić możemy, że mieszkanie owego bankiera nie na Solcu i nie na Grzybowie chyba się znajduje, zkąd słuszna rodzi się otucha, że dobroduszność uliczna ani jego osoby, ani mienia „wyjątkowo“ zaczepić nie potrafi.

Przysłowie głosi, że złe nigdy jedno nie przychodzi: owóż i dobre lubi chodzić w parze. Za jedném odkryciem pośpieszyło w ślady drugie. „Niszczono przedewszystkiém szynki i domy nierządne. Niedorostkom *widocznie* zaświtała niefortunna myśl służenia sprawie moralności za pomocą gwałtów i awantur.“ Co tu było fortunniejszém, czy myśl niedorostków, mająca siedlisko w pięści, czy drukowany komentarz téj myśli—niech sam czytelnik rozsądzi; my zaś zaznaczymy, że w wykazie urzędowym obok 246 zniszczonych szynków a 78 bawaryj dwa tylko domy prostytucyi figurują, że więc prąd moralizujący dosyć jednostronnie się objawił, gdy Bachus sto pięćdziesiąt z górą razy większego doznał prześladowania aniżeli Afrodyta: szumowiny uliczne dla téj, którą piana morska zrodzić miała, okazały pewną pobłażliwość, jak na krewniaków przystało.

Podnoszono wielokrotnie, że nietylko żydzi byli ofiarą zaburzeń, że i znaczna liczba chrześcian poniosła szkody, na co kładziono nacisk w tém może przekonaniu, że *solamen miseris socios habuisse malorum.* W wykazie szkód ułożonym przez delegatów znajdujemy 83 właścicieli domów chrześcian przy ogólnéj liczbie 2011 poszkodowanych; straty tych właścicieli ocenione zostały przez delegatów na 6.258 rubli, kiedy ogólna suma szkód wynosi po sprawdzeniu na gruncie 767.339 rubli.

Czytaliśmy w dziennikach że jeden dystylator chrześcianin utracił wskutek zaburzeń całe swoje mienie, cały dorobek długoletniéj pracy, wykaz nieodróżniając chrześcian od żydów, naucza, że ucierpiało pięciu dystylatorów i piwowarów, z tych jeden, pomieszczony w kategoryi drugiéj „bardzo potrzebujących wsparcia,“ poniósł szkody oszacowane na 200 rubli, czteréj zaś których sprawdzone straty wynoszą razem 9.000 rubli, zaliczeni zostali do kategoryi czwartéj „niepotrzebujących“ wsparcia.

Więc mniemana pociecha dla żydów mało się zgadza z urzędowemi cyframi, nie mówiąc już o tém, że chrześcianie rozumieją to do-

brze, iż lubo ucierpieli, ciosy jednak nie na nich były wymierzone, gdy żydzi nie mogą sobie robić żadnego w tym względzie złudzenia. Zamiast tedy téj rzekoméj pociechy, skuteczniejsze *solamen* dla żydów mogły przynieść składki. Posypały się one, a pisma ochoczo stwierdzały tę okoliczność, że i chrześcianie śpieszyli z pomocą. Jest to prawdą, która jednak w ścisłe cyfry ująć się daje — nie zawsze bowiem wskazywano wyznanie dających składki. Rozmaite przecież listy ofiarodawców po uważaném ich przejrzeniu takie robią wrażenie: żydzi głównie ponieśli straty, żydzi téż przeważnie złożyli się na fundusz, z którego wsparcia są rozdawane, i odwrotnie jak straty materyalne chrześcian są stosunkowo bardzo małe, tak téż i jałmużna z rąk chrześciańskich popłynęła nie zbyt obficie, co radzibyśmy objaśnić powszechném i niebezzasadném utyskiwaniem na ciężkie czasy.

Bądź co bądź, znalazły się i takie indywidua (na szczęście nie liczne), które obawiając się powodzi, próbowały zatamować i ten leniwo płynący strumyk ofiarności chrześciańskiéj. W tym celu wskazywano np. że społeczeństwo oprócz wsparcia zrabowanych ma inne jeszcze potrzeby, jak gdyby dla zaspokojenia jednéj konieczném było od drugiéj się odwracać, prorokowano że na żydów naszych obfite składki napłyną z zagranicy, zalecając tym sposobem całemu społeczeństwu rolę równie dogodną jak zaszczytną żebraka nadstawiającego obie dłonie pod wspaniałomyślną ofiarę cudzoziemców; dodawano wreszcie i to, że żydzi skorzystają z wypadków, szkody swoje wykazywać będą wyższemi nad rzeczywistość i na rabunku, któremu ulegli, dobry interes zrobią.

Istotnie przesada pod tym względem okazała się znaczna. Wszelako nie jest to cechą wyłącznie żydowską, ale ludzką wogóle, że tylko swoje szkody czujemy, a czujemy tak bardzo, że je przeceniamy nad miarę, że krzywdy przez nas doznane ciężko nas bolą, a te które sami wyrządziliśmy błahemi nam się wydają. O pierwszém wiedzą z doświadczenia wszystkie towarzystwa ubezpieczeń, o drugiém przekonywa codzienna praktyka sądowa w sprawach o obelgi mianowicie. W obecnym przypadku z wykazu urzędowego widzimy, że jak żydzi przesadnie ocenili swe straty, tak téż i chrześcianie (ob. pozycyą „Właściciele domów") omylili się również co do wysokości szkód swoich. Ale jak pomiędzy brzegiem puharu a pochylającemi się doń ustami spragnionego jest chwila przedziału, przez którą śmierć się przesunąć może, tak między zachciankami, gruntującemi się na przesadzie a zrobieniem dobrego interesu zachodzi pewna różnica. Delegowani podane straty oceniali według własnego przekonania, a musieli robić to ściśle, wiedząc że ogólna suma skła-

dek nie wystarcza na wynagrodzenie zupełne. Gdyby głosy, więcéj namiętne aniżeli rozważne, pozwoliły sobie na ten raz małego zbytku i odezwanie się poprzedziły zastanowieniem, oszczędziłyby nam, którzyśmy dopiero co na niewesołe rzeczy patrzyli, nowego a smutnego widoku. Dotychczas zwierzchność miejska w czasie ciężkich mrozów rozdawała ubogim tylko drzewo i węgiel: téj zimy wypadło natomiast udzielać publicznie jałmużę duchową w postaci katechizmowéj moralności, obdarzać porcyjkami przyzwoitości i logiki. Odwróćmy oczy w inną stronę.

Byłoby to ciężkim grzechem przeciwko prawdzie, gdybyśmy utrzymywali, że prasa nasza samych się tylko błędów dopuszczała; nie podzielamy téż zdania tych, którzy, w najlepszych bezwątpienia intencyach, nadmierne, widać, stawiają względem niéj wymagania, skoro mówiąc o jéj działalności w tych czasach, samemu tylko uczuciu niezadowolnienia dają wyraz. Jeżeli wszędzie przyjęto za pewnik, że prasa żyjąca w warunkach normalnych, ma prawo i obowiązek poruszania wszelkich możliwych kwestyj, choćby najdrażliwszych,—to u nas na to przynajmniéj zgodzić się należy, że roztrząsanie kwestyi, niewzbronionéj z góry, narzuconéj przez fatalne wypadki, a o któréj wszyscy rozprawiają, jest prawem i obowiązkiem naszego dziennikarstwa. Przeczenie temu byłoby dobrowolném zacieśnianiem i tak już niezbyt obszernych szranków, byłoby rzuceniem trudnéj do rozwiązania kwestyi na pastwę rozprawom ustnym, od których nic powstrzymać nie zdoła, rozprawom bez początku i końca, urywanym i znowu zawiązywanym, mającym własność roznamiętnania uczestników, przynoszącym w rezultacie częstokroć zwycięstwo tubalnego głosu nad najsłuszniejszemi racyami, a co najważniejsza, rozprawom usuwającym się z pod wszelkiéj kontroli. Dyskusya publiczna w czasopismach toczyć się musi w innych warunkach, dlatego téż i sama bezpieczniejszą jest od szkopułów, o które ustne debata zwykle się rozbijają i służy dla nich za zbawienną przeciwwagę, jeśli nie za drogowskaz. A jeśli użyliśmy wyrazu *dyskusya*, to już tém samém dopuszczamy wolność (i potrzebę) objawiania się za pośrednictwem dzienników wszelkim, choćby najsprzeczniejszym zdaniom i mniemamy, że w ostateczności lepiéj i ból znieść cierpliwie, byle zbliżyć się do pożądanego celu.

Uwagi powyższe nie mają pretensyi zwiastowania światu jakichś prawd nowych, nieznanych: wypowiedziano je już dawno i wymowniéj, a powtarzano wielokrotnie. Ani téż wątpić wolno, że surowe krytyki na naszą prasę, które się słyszéć dawały, zmierzały nie do tego *co*, ale *jak* prasa pisała,—że oburzano się nie tyle na poruszenie kwestyi, ile raczéj na sposób wzięcia się do rzeczy, na niektóre

recepty dla jéj załatwienia. My i z tego powodu oburzać się nie możemy; co nam wydawało się niestosownem wyżéj już wytknęliśmy, ale zmuszać do milczenia nikogo nie pragniemy: gdyby wszyscy obywatele kraju jednakie mieli poglądy i przekonania, dyskusya byłaby zbyteczna, nie byłoby jéj też tak dla braku uczestników, jak dla braku przedmiotu, ale też wtedy nie byłoby i kwestyi żydowskiéj, która w teoryi przynajmniéj zostałaby rozwiązana. Do tego jednak jeszcześmy się nie dobili, nie można więc za złe brać prasie, że roztrząsając ten przedmiot wygłasza różne opinie.

Rozejrzawszy się w tych opiniach, nie możemy wydać o nich innego sądu jak tylko, że płyną one ze szczerego przekonania, które jeśli w pewnych szczegółach mylne, zawsze natchnione były dbałością o interes publiczny, ogólny.

„Wiek“ w szeregu artykułów, zbyt żywym tonem pono brzmiących, szukając przyczyn objawiającéj się niechęci do żydów, dopatruje ich w różnicach przeważnie zewnętrznych i obyczajowych, na co, jak się zdaje, powszechna jest zgoda. Dodaje daléj, że te różnice dziś są równie wielkie jak przed 20 laty, bo i dziś dziecko rodziców izraelskich od kołyski przyucza się do szwargotu, który potém za swój rodzinny język uznaje; że następnie uczy się w chederze, nieulegającym kontroli, gdzie duchem separatyzmu przesiąka; że podrostek w 14 roku życia żeni się i zakłada nową rodzinę, wbrew jawnym przepisom prawa; że zbyt wcześnie obarczony rodziną skupia wszystkie siły umysłu na zdobycie dla niéj środków utrzymania, i dla tego celu nie przebiera w środkach; że do obowiązków moralnych jeśli się poczuwa, to jeno w ciasném kółku rodziny, gminy a co najwyżéj—spółwyznawców. Ten obraz we wszystkich szczegółach nie jest pozbawiony podstawy faktycznéj: szwargot słyszymy na ulicach, widzimy go coraz bardziéj rozpościerającym się po szyldach, istnienie chederów nie jest tajemnicą, a zawieranie przedwczesnych związków małżeńskich nie zupełnie ustało. Ale czy mimo to wszystko obraz skreślony w „Wieku“ jest dokładnym? Chyba nie.

Zbyt ochoczo uogólniając szczegóły choćby rzeczywiste, łatwo miniemy się z prawdą. „Wiek“ całą masę ludności żydowskiéj dzieli na dwie tylko kategorye: gmin ciemny i nieliczną garstkę inteligencyi. Sądzimy, że tu się znajduje główne źródło błędu. Przy zupełnéj między żydami równości praw cywilnych, przy równości praw politycznych (polegających na opłacie podatków, jeżdżeniu za paszportem i dostarczaniu rekruta) niepodobne byłoby istnienie obok siebie dwóch klas, ostro odgraniczonych. Nie ma ich téż wcale; jest natomiast cała gama odcieni, stopniowań: pod względem zamożności i form życiowych—poczynając od tandeciarza chodzącego po po-

dwórzach a kończąc na potentatach królujących na giełdzie; pod względem ukształcenia — przedział pomiędzy wychowańcem chederu a studentem uniwersytetu wypełniają uczniowie szkół publicznych, ci którzy w domu staranniejszą otrzymali edukacyą i autodydakci. W ruchu asymilacyjnym jest także gradacya, nie wszyscy jednym krokiem dążą, ani dążyć mogą, ale ruch zaprzeczyć się nie da: jednemu łatwiéj jeszcze mówić szwargotem, ale dba o to, aby dzieci jego mową krajową dobrze władały; drugi o krok daléj się posuwa i do dzieci nie mówi inaczéj jak po polsku, dla trzeciego polszczyzna jest wyłącznym językiem domowym i towarzyskim; ten i na służbę swoję wpływ pod tym względem wywiera, inny starań swych nie ograniczył na języku, ale wpaja w potomstwo uczucia obywatelskie, ów praktyką życia daje synowi żywy tego przykład.

Chodziłoby jeszcze o ujęcie tego ruchu w pewne przybliżone cyfry. Nie mogąc ich podać, narażamy się może na zarzut, że ruch, na który wskazujemy, i liczebnie nie jest znaczący i w natężeniu słaby. Usuwając się od sporu o to, który przy braku cyfr łatwo mógłby się zmienić w spór *de lana caprina*, powiemy, że absolutne twierdzenie, jakoby od lat 20 „kwestya żydowska ani na krok nie postąpiła, że w niéj nie zrobiono nic, albo prawie nic," jest absolutnie błędną. To „nic albo prawie nic" autor artykułów w „Wieku" w ten sposób poszczególnia.

1. Inteligencya założyła gminę, ale ta na ciemną masę żadnego wpływu nie wywiera i jest przez nią za grono odszczepieńców uważana, tylko stosunki kredytowe wiążą jednych z drugimi. Nam zdawałoby się słuszniejszém może powiedzieć, że wpływ gminy jest w niektórych kierunkach słaby, że napotyka opór; ale nie uznajemy się za kompetentnych do rozprawiania w téj materyi i wyrażamy życzenie, aby który z członków gminy starozakonnych rzuconą rękawicę podniósł, do czego i „Wiek," co chętnie uznajemy, otwarcie wzywa ze swéj strony.

2. Zbudowano synagogę, do któréj „chałaciarze" nie chodzą. Trochę to brzmi zabawnie, bo przecież ani cała ludność żydowska zmieścić się w synagodze na Tłomackiém nie może, ani też chyba istniał zamiar ściągania do niéj chałaciarzy. Wznoszącym synagogę chodziło pewnie tylko o to, aby nowy przybytek modlitwy skupił w jedno ognisko tych, którzy z przesądami, ciemnotą i nieochędóstwem pogodzić się nie mogli, ognisko niezależne od zacofanéj a górującéj liczbą masy, pociągające ku sobie w następstwie wszystkich tych, którzyby do postępu mieli skłonność, a przy braku ogniska na oderwanie się od ciemnéj masy nie mieli odwagi. Myśl w naszych oczach praktyczna i pożyteczna.

3. Otworzono kilka szkół i ochron wyłącznie dla żydów, co podtrzymuje separatyzm. O tém rozmaite swego czasu wypowiadano zdania, polemika dziennikarska nie doprowadziła do żadnéj stanowczéj konkluzyi, tyle się wszakże wyjaśniło, że jeśli te zakłady robią pewną konkurencyą chederom, to na surowe potępienie nie zasłużyły.

4. Wychodzi pismo tygodniowe „Izraelita,“ co „jest najgorszym pomysłem; warstw ciemnych nie dochodzi, dla oświeconych jest zbytecznem, bo ci czytają wszystkie pisma krajowe; nie jest organem wyłącznie konfesyjnym — czemże więc jest i dla kogo? W dodatku drażni najniewcześniejszemi polemikami stosunki już i tak rozdrażnione i t. d.“ Trudno się oprzéć chętce powiedzenia: *medice, cura te ipsum*; jeśli „Izraelita“ chętce téj oprze się; w cóż się obrócą zarzuty? Pytanie: dla kogo pismo wychodzi, niech sobie robi redakcya jego, kłopot aby znalazlo czytelników pozostawiamy wydawcy czy nakładcy, sami uspokajamy się tą myślą, że pismo które już wiele lat życia liczy, musi zapewne miéć stałych przedpłacicieli. Że działalność „Izraelity“ podlegać może krytyce na równi z innemi pismami — temu nie zaprzeczamy.

Zamknąwszy obrachunek takim pesymistycznym bilansem, „Wiek“ przechodzi do „środków, którychby w kwestyi żydowskiéj użyć należało,“ a mianowicie:

a) Zniesienie kahałów, pod których opieką organizują się tajemne zmowy *(hajzówki i herym)* na szkodę osób trzecich; dochody, które z tego źródla pobierane są na cele religijne, mogłaby zastąpić składka proporcyonalna do zamożności od wyznawców zakonu Mojżeszowego. Na tę propozycyą „Izraelita“ odparł twierdzeniem, że kahały dawno zostały zniesione. Prawda, — ale wobec ciężkiego zadania: jak zapewnić zgodę między mieszkańcami jednéj ziemi, nie godziłoby się igrać wyrazami, dyskusyą zamieniać na taniec w mijanego. Kahały urzędowe zostały prawnie rozwiązane, lecz praktyka życia, długim szeregiem wieków wyrobiona, nie poddała się woli prawa, zachowała swą organizacyą i po prowincyach trzyma masy spółwyznawców w surowym rygorze, nowéj niewoli, tym razem już nie egipskiéj, tłumiąc w lepszych jednostkach szlachetniejsze instynkta, że już o krzywdach, jakie na chrześcian z tego źródła płyną, rozwodzić się nie będziemy. Moralne podniesienie proletaryatu izraelskiego nie da się osiągnąć bez zniweczenia tych tajemnych organizacyj.

b) Powierzanie obowiązków rabina tylko osobom wykwalifikowanym i mianowanym przez gminę warszawską i ustanowienie kontroli nad wszelkiemi zjazdami do innych synagog prócz miejsco-

wéj, w każdéj gminie religijnéj. Środka cokolwiek podobnego niegdyś już próbowano, z takim skutkiem, że naslanemu z góry rabinowi, którego ortodoksya nie odpowiadała wymaganiom starowierczym, gmina płaciła pensyą byle się zgadzał zostać komparsem i parawanem, po za którym starszyzna miejscowa po dawnemu réj wodziła, uznając za głowę duchowną tego, kto urzędownie nie był rabinem. Przy znanéj solidarności żydów, represya przekroczeń prawa w téj mierze okazywała się bezwładną.

c) Wydanie ksiąg świętych w tekście zaaprobowanym przez gminę warszawską wraz z ich przekładem, a także zakaz szerzenia wszelkich innych książek hebrajskich lub w żargonie pisanych. Środek to, według naszego zdania, nie dający się usprawiedliwić w całości, a bezskuteczny i bezcelowy. O ile wiemy, żydzi nie uznają żadnéj hierarchii duchownéj, poddają się tylko dobrowolnie powadze osób biegłych w zakonie. Jeżeli gmina warszawska w oczach tutejszych „chałaciarzy“ uchodzi, jak „Wiek“ mówi, za odszczepieńców, tém bardziéj wątpić można, aby u Żydów prowincyonalnych była *in odore sanctitatis.* Księgi przez nią zatwierdzone można rozesłać, ale jak zmusić do ich używania? Przeciwnie, księgi zakazane, dla tego właśnie że zakazane, nowego nabiorą uroku, a choćby nie drukowano ich w kraju, drukarnie pruskie i austryackie dostarczą przemycanego towaru.

d) Żądanie, aby tylko rabin udzielał ślubów, z zachowaniem przepisów prawa o wieku nowożeńców, i aby wszelkie w tym względzie wykroczenia karane były według kodeksu — uznajemy za słuszne i pożyteczne. Złe skutki zbyt wczesnych małżeństw, tak fizyologiczne jak ekonomiczne, wykazała nauka, a społeczeństwo ma prawo od nich się ubezpieczać. Chodziłoby tylko o dobór środków zapewniających skuteczność istotną przepisom kodeksowym.

e) „Każdy mianujący się kupcem czy faktorem opłacić powinien odpowiedni konsens i patent, a niewykazujący środków utrzymania, ani sposobu zajęcia, oddani będą pod surowy dozór policyjny.“ Pierwsza połowa tego prawidła, natury fiskalnéj, nie wielką w nas budzi otuchę, gdyż wątpimy, aby skarb mógł w ściąganiu swoich dochodów rozwinąć większą gorliwość, aniżeli dotąd to czynił. Drugiéj połowy dobrze nie rozumiemy: co to jest „surowy dozór policyjny“ w ogóle, zastosowany naraz do wielkiéj liczby indywiduów, i jakie będzie jego znaczenie dla ludzi bez zajęcia a ubogich w szczególności. Czy ich będą osadzać w areszcie? wtedy i żywić by ich wraz z rodzinami wypadło.

f) Zniesienie wszelkich szkół wyłącznie żydowskich (o czém uż była wzmianka), oraz „wszelkich w ogóle instytucyj nie noszą-

cych charakteru czysto religijnego.“ Do tych ostatnich, o ile domyślać się można, autor zalicza szpitale, przytułki, ochrony, kuchnie tanie, kasy, kapitały posagowe i inne fundacye dla starozakonnych. Byłoby istotnie pożądanem, aby dobroczynność pozbyła się wyłączności konfesyjnéj, wcale jednak nie są pożądane przepisy krępujące wolę ofiarodawców. Z zakładów dobroczynnych korzystają przeważnie ludzie ubożsi, a ci właśnie najgorliwiéj zachowują prawidła co do pokarmów, w tém téż podobno leży jedna z głównych przyczyn podziału wyznaniowego tych instytucyj.

g) Obostrzenie przepisów wzbraniających żydom szynkowania po wsiach, oraz obowiązek zamykania wszystkich szynków i karczem od soboty wieczorem do poniedziałku zrana. Wszystko, co przyczynić się może do ukrócenia, jeśli już nie wytępienia pijaństwa bardzo jest do życzenia. Ale na samych zakazach poprzestawać— nie na wiele się przyda. Wypadałoby postarać się, aby po zamknięciu szynku czy karczmy miał lud podane sposoby innéj przyzwoitéj zabawy; wypadałoby raz położyć koniec wypłacaniu robotnikom należności dziennéj lub tygodniowéj po szynkach, co się szczególniéj przy budowie domów praktykuje: dając jeden bilet bankowy na kilku ludzi, zmusza się ich do tego że dla zmiany papierka i rozrachunku wnet do szynku idą i część zarobku zaraz tam zostawiają. Wypadałoby użyć innych jeszcze sposobów, o których nie tu miejsce mówić, gdyż się z kwestyą żydowską nie wiążą.

Treść środków powyższych i forma w jakiéj podane przez „Wiek“ zostały, pokazują, że bez interwencyi rządowéj wejść by w wykonanie nie mogły, czyli, że użycie ich wcale od nas nie zawisło. Szereg ten zakazów i nakazów (za wyłączeniem ustępów *d* i *g*), nie taimy, uczynił na nas wrażenie przykre. Nieproszona reglamentacya tyle nam się nieraz dała we znaki, że brak zapału ku niéj winien być zrozumiały. Przytém, rzecz niejednokrotnie potrąca o wyobrażenia religijne, a cokolwiek możemy o nich sądzić, nie należymy do zwolenników tak zwanéj walki kulturowéj, i lubo żydzi pruscy byli jéj stronnikami w sejmie berlińskim, nie widzi się nam słuszném wetować to na ich spółwyznawcach w Królestwie. Przodkowie nasi, mając bezwładnych królów, wiecznie się obawiali i skarżyli na *absolutum dominium*; my w całkiém inném znalazłszy się położeniu, czyliżbyśmy i gusta tak rdzennie zmienili, że zaczynamy sami dopominać się pomnożenia nakazów, zakazów i środków przymusowych? W starożytności opowiadano, jak żaby natarczywie Jowisza błagały o króla, a gdy im spuścił kloc drzewa, niezadowolnione z tak mało energicznego władcy, nowe podniosły krzyki, aż się dostały pod zwierzchność bociana. Apolog na tém się kończył, gdyż żaby nie

występowały dalej z roszczeniem o dodanie czapli w pomoc bocianowi.

Takież lub podobne przewidywania i względy skłoniły kronikarza „Niwy“ do kategorycznego oświadczenia się przeciwko wszelkim przepisom wyjątkowym. W obszernym artykule, zastanawiając się nad tą łatwością, z jaką ludzie dali się uwieść dzikiemu szałowi, pisarz ten zwraca przedewszystkiem uwagę nie w stronę zniszczonych, lecz w stronę niszczycieli. Mniema on, że złe płynie z dwóch źródeł: 1) z szerzenia się demoralizacyi po wsiach i miastach, i 2) z lekkomyślności ludu, mianowicie w Warszawie, — a w każdéj z tych kategoryj rozróżnia liczne czynniki. Do pierwszéj należą; brak dobrych szkół elementarnych, usunięcie od nich duchowieństwa, nieprawdę panującą w stosunkach gminnych, „osłabienie pojęcia własności, wywołane różnemi aktami i procesami, na które my żadnego wpływu mieć nie możemy;“ wreszcie, szerzenie się pijaństwa, zwłaszcza po miastach, gdzie liczba szynków nie ulega żadnemu ograniczeniu, na wsiach zaś przemycana wódka w pasie nadgranicznym i wypuszczanie przez obywateli ziemskich karczem żydom podobnegoż dokonywa dzieła. Lekkomyślność znowu ludu warszawskiego jest, jak „Niwa“ powiada, wynikiem nader licznych przyczyn, jak: temperament wrodzony, zaniedbanie, w jakiém zostawiają czeladź i młodzież rzemieślniczą najbliżsi ich zwierzchnicy, brak dla niéj pokarmu duchowego, dzienniki zapełniające szpalty skandalami i wieściami niedorzecznemi, brak moralnego nadzoru nad widowiskami, „nadewszystko zaś brak naturalnego a wielce niezbędnego.... czucia między władzą municypalną z ludnością.“

Jakkolwiek téj klasyfikacyi szkodliwych wpływów to i owo dałoby się zarzucić, przyznać należy, że obraz powyższy ma w sobie wiele realnéj prawdy. Dodajmy jeszcze z jednéj strony zdumiewającą łatwowierność, i to nietylko w warstwach ludowych, a z drugiéj kamienny upór, stawiany przeciw wszelkiemu rozumowaniu, jeśli ono do walki z uprzedzeniami występuje, a zrozumiemy całą trudność zadania, które na inteligencyą spada, które inteligencya bądź co bądź spełnić musi. Musi—czy z pobudek podnioślejszego charakteru, czy z interesu własnego, bo któż jéj zaręczyć jest w stanie choćby tę zwłokę czasu, którą się apatya i egoizm Ludwika XV-go pocieszały.

Przechodząc do równo-uprawnienia żydów w r. 1862, „Niwa“ przytacza motywa prawodawcze i wykazuje, że nie wszystkie zamierzone wtedy reformy doszły do skutku: na urządzenie stosowne wychowania elementarnego żydów i organizacyą zwierzchności konsystoryalnéj wyznania Mojżeszowego czasu nie stało. Pomimo tego,

prawo z r. 1862 wywarło skutek: jednostki wchodzą „na drogę zespolenia się ze społeczeństwem“, które w nich „zyskuje niemało, jeżeli nie pod moralnym, to pod materyalnym i umysłowym względem“. Dla tego też powrotu do dawnych praw wyjątkowych lub zaprowadzenia nowych „żaden rozważny obywatel kraju pragnąć nie może. Wszelkie tego rodzaju ograniczenia same przez się ujemny wpływ na społeczeństwo wywierają, a w naszém położeniu nader mogą być niebezpiecznémi. Prawa wyjątkowe! Obosieczny to miecz na dwie strony ciąć i ranić może. Nie powinni wzdychać do nich ci, co sami na sobie miecza tego doświadczali i doświadczają... Wprawione w nowy ruch, Bóg wié, gdzie się ostrze ich zatrzyma.“

Powtórzyliśmy tę przestrogę „Niwy“ dosłownie, życząc by ją każdy z nas zawsze miał na pamięci. Nie możemy jednak zgodzić się na dalszy wywód, jakobyśmy powinni pragnąć „zniesienia tych praw, jakie żydzi wyjątkowo posiadają“, a „których nam brak.“ Prawami temi mają być: możność stowarzyszania się, uczenia dzieci w szwargocie, używania niewykwalifikowanych nauczycieli i usunięcie rabinów i szkolników z pod wszelkiéj kontroli. Mniejsza o to, że żydzi niektórym z tych „praw“ zaprzeczają istnienia, a od innych pragną być wyzwoleni,—mniejsza o to: nas, w obecném naszém położeniu, nie tyle te szczegóły zajmują, ile ogólna zasada formułowania pragnień. Do równości dwojaką drogą dążyć można: albo przez dodawanie rzeczy brakujących, albo przez odejmowanie. Za pierwszém oświadczał się twórca „Przedświtu“ i „Psalmów“, drugie praktykować lubią i Tarkwiniusze Pyszni i różne Maraty i maraciki. Z tych i innych względów, pomimo wszelkich przewidywanych korzyści, nie mamy ochoty domagać się zniesienia, nazywając „przywilejem“ to, w czemby stosowniéj było widziéć prawo należne wszystkim zarówno.

Powyższe streszczenie poglądów „Niwy“ i „Wieku“, które najobszerniéj kwestyą żydowską roztrząsały, dało nam sposobność do wypowiedzenia własnych na nią zapatrywań, a tém samém czyni mniéj konieczném przytaczanie wyciągów z pism innych. Zaznaczymy więc tylko, że i prasa prowincyonalna uważała sobie za obowiązek (niespełniony dotąd przez niektóre dzienniki warszawskie) wyjaśniać czytelnikom tak ważny przedmiot i zwalczać tułające się uprzedzenia. Zasługują z tego powodu na wzmiankę listy otwarte, ogłoszone w Gazecie Lubelskiéj i Korespondencie Płockim.

Zanim złożymy pióro, wróćmy jeszcze raz do stawionego przez „Wiek“ pytania: ile zrobiono dotychczas w kwestyi żydowskiéj? I mało i wiele,—odpowiedziéć na to można. Mało—jeśli rozważać to, co do zrobienia zostaje, mierzyć odległość, która od celu nas dzieli.

Wiele—jeśli spojrzyć poza siebie, jeśli zdawać sobie sprawę z trudności położenia. Niewiele—jeśli obliczać jednostki przodujące na drodze reformy. Dużo—jeśli oceniać charakter tego ruchu. Dawniéj, jeśli świtała u nas myśl reformy, to obcą była samym żydom, a wśród chrześcian wydatniejsi tylko ludzie, mężowie stanu, przeświadczeni byli o jéj konieczności. Obecnie, myśl ta zakrzewiła się między wyznawcami starego zakonu, wzrosła tam, a początkowanie reform wewnętrznych już od nich samych wychodzi. Dwadzieścia lat upłynęło,—wołacie z żalem—a w rezultacie „nic, albo prawie nic.“ Żal zrozumiały: któżby nie pragnął cieszyć się już większym owocem? Zapominacie jeno, że lat dwadzieścia nie takie ma znaczenie w rozwoju społeczeństwa jak w życiu jednostki. Prawda, że od hańby delegacyjnéj pierwszego rozbioru do sejmu wielkiego, wciągu niespełna lat dwudziestu, postąpiliśmy naprzód, ale jakże krok to był niepewny, gdy zawierucha Targowicka mogła znieść całą robotę tak, iż zostało po niéj tylko wspomnienie chlubne. Dwadzieścia lat niedługo dobiegnie od chwili jak rolnik został właścicielem ziemi, a wieleż to lud wiejski podniósł się w kulturze umysłowéj? W dwadzieścia lat dojrzewa nowa generacya,—lecz poprzedniczki jéj nie wymierają przecież doraźnie: żyją one i zwykle hamują ruch siłą swego oporu, czy wagą bezwładności. A droga postępu jest ścieżką wązką i pełną zawad, więc po niéj ledwie krokiem żółwia sunąć można: wymownie, a bardzo w porę wyjaśnił nam to prawo dziejowe prof. Pawiński („Słowo“ N. 11 i 12).

I nas téż czeka zadanie długie i ciężkie, i trzeba doń wielu pracowników. „Wiek“, wątpiąc, aby się tacy ludzie wśród inteligentych żydów w kraju znaleźli, nie chce nikomu poświęcenia rzucać na barki. My przeciwnie, przekonani będąc, że każdą masę ludową tylko inteligencya, wyszła z jéj łona, skutecznie prowadzić naprzód może, musimy liczyć na nią i tylko na nią; mamy prawo domagać się od niéj poświęcenia, a ściśléj mówiąc, spełnienia swego obowiązku społeczeńskiego, i tuszymy mocno, że ludzi dobréj a wytrwałéj woli nigdy nie zabraknie. A co uznajemy za obowiązek inteligentnych żydów w stosunku do gminu izraelskiego, toż samo cięży na inteligencyi chrześciańskiéj w stosunku do naszych klas ludowych.

Wydawca, **W. Spasowicz.**—Redaktor **Piotr Chmielowski.**

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „Ateneum“

w ciągu m. Stycznia 1882 r.

---

1. **Hiszpania.** Listy z podróży *Adolfa Pawińskiego.* Tom I i II. Warszawa. Gebethner i Wolff, 1881.
2. **Mowa nasza i lud.** *Feliksa Michałowskiego.* Warszawa, 1881.
3. **Niestrawność** (dyspepsia) p. *Mikołaja Rejchmana.* Warszawa 1882.
4. **Juljan Bartoszewicz.** Anna Jagielonka. Dwa tomy w jednym. Kraków 1881.
5. **Panteon wiedzy ludzkiéj** p. *Bronisława Trentowskiego.* Tom III. Poznań 1881.
6. **Etyka Spinozy.** Krytycznie rozebrana i z tegoczesnym materyalizmem zestawiona p. *Aleksandra Raciborskiego.* Lwów 1882.
7. **Stanisław Smolka.** Wycieczka do Węgier. Lwów 1882.
8. **System ekonomii społecznéj,** napisał *Dr. Leon Biliński.* Tom II, 2. Lwów 1882.
9. **Ból fizyczny i moralny.** Studyum *D-ra Juljana Ochorowicza.* Odbitka z Kosmosu. Lwów 1882.
10. **Słownik geograficzny** królestwa Polskiego etc. Zeszyt XXV. Tom III (Haag-Hnieździłów). Warszawa 1882.
11. **Śpiewnik polski** dla ochronek szkół ludowych i wydziałowych, ułożył *Jan Czubski.* Część II. Dla klasy 2 i 3. Lwów 1881.
12. **Zur psychologie der Sittlichkeit** von *Dr. Heinrich v. Struve,* Professor der Philosophie in Warschau. Philosophische Monatshefte 1882.
13. **Obłąkani.** Tragedya w 5 aktach, napisał *Kazimierz Gliński.* Warszawa 1882.
14. **Uroczysko dziewicze,** przez *Romualda Świerzbińskiego.* Warszawa 1881. (Cena kop. 60. Czysty dochód przeznacza się na pomnik A. Mickiewicza).
15. **Dzieła Lucyana Siemieńskiego.** Tom VIII. Wieczornice. — Mozaika. — Brodziński.—Okruchy. Warszawa. Nakład i druk Józefa Ungra, 1881.
16. **Aleksander Hirszberg.** Przymierze z Francyą z roku 1524. Ustęp z dziejów polityki polskiéj za Zygmunta I. Lwów 1882.
17. **Karł Appel.** Nieskolko słow o nowiejszem psichołogiczeskom naprawlenij jazykoznania. Warszawa 1882.
18. **Szkice Klina.** Część druga. Zeszyt pierwszy. I. U drogowskazu. Warszawa 1882.
19. **H. Gliński.** Notatnik bibliograficzny za rok 1880 i pierwszą połowę 1881 r. St.-Petersburg 1882.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE,

wychodzić będzie w roku 1882 jak dotychczas na początku każdego miesiąca zeszytami, najmniéj 12 arkuszy druku zawierającemi.

Redakcya zawiadamia szanownych czytelników, że i w roku bieżącym starać się będzie o jak najstaranniejsze spełnienie programu, przedstawionego w prospekcie na rok 1881. Rozbierać jasno ważniejsze zagadnienia, jakie społeczeństwu naszemu rozwój stosunków stawia, rozpowszechniać zdobycze naukowe w świecie cywilizowanym dokonane, śledzić bacznie objawy umiejętne i literackie wśród narodu naszego, zdając o nich sprawę krytyczną, podawać dla umysłu przedmioty do rozwagi a fantazyi karm zdrową; oto główne cele, które osiągnąć zamierzyła sobie redakcya.

Warunki przedpłaty.

Prenumerata **Ateneum** w Warszawie, w guberniach Królestwa i Cesarstwa oraz we wszystkich krajach należących do związku pocztowego wynosi:

Rocznie . . . . **Rs. 12.**
Półrocznie . . . . „ **6.**
Kwartalnie (tylko w Warszawie) . . . . „ **3.**

Prenumeratorów z prowincyi upraszamy o nadsyłanie prenumeraty bezpośrednio

DO REDAKCYI ATENEUM

Włodzimierska, 14.

Дозволено Цензурою. Варшава, 19 Января 1882 года.